www.tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 39 (977)
24-30.09.2018
Cena 5,80 zł
(w tym 8% VAT)

STEFAN CHWIN: NASZA PIĘKNA, BEZSILNA EUROPA

JAROSŁAW KALINOWSKI: PiS ATAKUJE KŁAMSTWAMI

ZAKOPANE – NAJAZD DEWELOPERÓW

FESTIWAL W GDYNI – POLSKA JAK Z FILMU

# PERFIDNE OGŁUPIANIE

## CHROŃMY DZIECI PRZED REKLAMAMI

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
39
9 771509 311805

eprasa.pl 3233531b64

# TEATR CAPITOL

Lars Albaum
& Dietmar Jacobs

# Cud

Reżyseria
Andrzej Rozhin

Przekład
Izabela Rozhin

Najgorętsza komedia tej jesieni! · KUP BILET · teatrcapitol.pl

Breszka Lenartowicz Kalus Grzywna Radel Malinowski Fidusiewicz Maciejewski Kowalska Śleszyńska Wróbel

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 3233531b64

## CYTATY

**ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI,**
**BYŁY PREZYDENT**
*Nie mogę słuchać, jak premier Morawiecki kłamie i atakuje każdego, kto nie jest z PiS.*
**„Rzeczpospolita"**

**DANIEL PASSENT,**
**KOMENTATOR**
*Kiedyś walczyliśmy o wolność Europy, a teraz walczymy o wolność OD Europy.*
**„Polityka"**

**KS. ADAM BONIECKI,**
**REDAKTOR SENIOR**
*Papież Franciszek widzi źródło obecnego kryzysu Kościoła w klerykalizmie.*
**„Tygodnik Powszechny"**

**HENRYK MARTENKA,**
**KOMENTATOR**
*Boeingi 787, którymi chlubi się LOT, mają wadliwe silniki Rolls-Royce'a, co rozpaczliwie próbuje naprawić ich producent.*
**„Angora"**

# MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

## Referendum w sprawie Fort Trump

Wyprawę prezydenta Dudy do Trumpa można by opisać jako spotkanie przestraszonego petenta z potentatem o wybujałym ego. Albo jako spotkanie mężczyzny z wielkiego kraju po przejściach z mężczyzną bez szczególnych właściwości z małego. A jedyne, co ich łączy, to skromne perspektywy na przyszłość. I może też niezbyt sprawni urzędnicy, którzy pracują na zapleczu obu prezydentów. Duda ma, niestety, tak marną ekipę, że nie ma dnia, by czegoś głupiego nie palnęła. Ale jaki może być jej profesjonalizm, skoro jest to zbiór kolegów prezydenta z Krakowa, ich znajomych i krewnych? Zawodowych dyplomatów „dobra zmiana" wycięła równo z trawą. A ci, którzy ich zastąpili, są jak dzieci we mgle. Nie mogą być dla nikogo partnerami. Wstyd, że tak niekompetentni ludzie reprezentują Polskę.

Wyproszona po trzech latach prezydentury, a może wymodlona, bo tak dewocyjnej głowy państwa jeszcze nie mieliśmy, wizyta miała bardzo skromną oprawę.

Szczególnie mocno to widać, gdy porównamy ceremoniał, z jakim prezydent Bush witał prezydenta Kwaśniewskiego. Wtedy było wszystko, co amerykańskie. I jasny przekaz dla świata, że USA goszczą polityka szanowanego. I partnera, a nie petenta. Ale to był Kwaśniewski. Kraje te same, tylko prezydenci z innej półki. Dolnej. Kwaśniewski był pięć razy w Gabinecie Owalnym. I zawsze na siedząco. A Duda nawet z tym miał problem.

Cały świat już wie, że w Polsce rządzi ekipa szczególnie łasa na komplementy. Za garść historycznych pochwał można drogo sprzedać gaz, a jeszcze drożej broń. I że polskie władze bezpieczeństwo państwa chcą oprzeć na bazach z odległego mocarstwa, najchętniej stacjonarnych. Taką mają fantazję, że wrogów szukają przy granicach, a przyjaciół jak najdalej.

Duda zadeklarował, że Polska jest gotowa zapłacić za te bazy wiele miliardów dolarów.

A skoro tak, to trzeba wrócić do początku. Czyli do pytania o uprawnienia prezydenta Dudy do decydowania o budowie w Polsce stałych baz amerykańskich.

Duda nie ma takiego mandatu.

Uważam, że decyzja o tak ogromnym znaczeniu dla wszystkich obywateli wykracza też poza prerogatywy rządu. Jeśli więc Polacy mają przyjąć u siebie i wziąć na utrzymanie wojska amerykańskie, powinien w tej sprawie wypowiedzieć się cały naród. W referendum.

Amerykanie nie będą oponować. Bo przecież u nich od „My, naród" zaczyna się konstytucja.

**FAUL**

## CEJROWSKI BEZ…

A mówiliśmy, żeby dzieci trzymać z daleka od prawicy. Szczególnie tej pisowskiej, która zagarnęła media państwowe. Nikt tam nie jest bezpieczny. Nawet dzieci w wieku 4-12 lat oglądające kanał TVP ABC. Bo mogą trafić na przyśpieszoną lekcję edukacji seksualnej. W wykonaniu Wojciecha Cejrowskiego, prawicowego bigota. I na jego reportaż z Amazonii. Z cenną informacją o ekstraeliksirze. Rzeczywiście ekstra, bo gwarantującym „siedem razy bez wyciągania". A że Cejrowski to guru prawicy, człowiek dokładny, więc chyba bez weryfikacji by tego nie ogłosił.

**BĄKOWSKI**

eprasa.pl 3233531b64

# W NUMERZE


**KRAJ**

8 **Atak PiS jest okropny. Bo oparty na kłamstwie**
– rozmowa z Jarosławem Kalinowskim

12 **Perfidne ogłupianie**
Chrońmy dzieci przed reklamą

18 **Zakopiańskie pole cudów**
Deweloperka rządzi w mieście

20 **Nasza piękna, bezsilna Europa**
– rozmowa ze Stefanem Chwinem

30 **Szkoła nierówności**
Edukacja po reformie

34 **Transport postawiony na głowie**
– rozmowa z Karolem Trammerem

**ZAGRANICA**

24 **Szczyt obietnic**
Amerykańskie echa wizyty w Białym Domu

27 **Maassen prowokator**
Korespondencja z Berlina

**KULTURA**

38 **Kino chce zmienić Polskę**
Korespondencja z Gdyni

42 **Cisza, szum i zgiełk**
Sezon teatralny 2018/2019

46 **Qulturalia**

66 **Józef Wilkoń. Ręczna robota**

**HISTORIA**

48 **Czy napaść na Polskę umożliwił dopiero pakt Ribbentrop-Mołotow?**

**OBSERWACJE**

52 **Utopia dla realistów**
Pieniądze za nic

**NAUKA**

56 **Satelita dla każdego**
Polacy budują system

**ZDROWIE**

58 **Ściema z witaminą C**
Cudowne działanie nieudowodnione

**EKOLOGIA**

60 **Jeż byle czego nie zje**
Sprzymierzeniec parków

**FELIETONY I KOMENTARZE**

3 **Jerzy Domański**
Referendum w sprawie Fort Trump

17 **Jan Widacki**
Murzyńskość

33 **Roman Kurkiewicz**
Na co komu napadać na Polskę???

41 **Tomasz Jastrun**
Niewidoczny lejek

45 **Ludwik Stomma**
Ucieczka przed Tupamarem

57 **Edward Mikołajczyk**
Siódme życie Europejczyka

30

KRAJ

## SZKOŁA NIERÓWNOŚCI
Edukacja po reformie

34

WYWIAD

## TRANSPORT POSTAWIONY NA GŁOWIE
– rozmowa z Karolem Trammerem

38

KULTURA

## KINO CHCE ZMIENIĆ POLSKĘ
Korespondencja z Gdyni

Projekt: Iza Mierzejewska

FOT. FOTOLIA, ARCHIWUM


eprasa.pl 3233531b64

## Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

**HISTORIA**
Hańba wyprawy na Zaolzie

**KRISTINA SABALIAUSKAITĖ, pisarka litewska**
Kto ty jesteś? Dwa narody

**WIESŁAW KOT**
Nie tylko „Kler", czyli o księżach w kinie

**EKOLOGIA**
Wilki wchodzą do miast

### Co kogo zadziwia

Pan Stefan Chwin (PRZEGLĄD nr 38) dziwi się, że „polskie społeczeństwo podchwyciło hasło (o Polsce w ruinie)! Przecież ono było absolutnie surrealistyczne!". A ja nie rozumiem tego zdziwienia. (…) Po tym, jak premier Szydło ogłosiła to hasło na tle zrujnowanej fabryki nici w Nowej Soli, natychmiast podniósł się krzyk, że Nowa Sól to miasto kwitnące dzięki inwestycjom ściągniętym przez jej burmistrza. Burmistrz Nowej Soli otoczył miasto Specjalną Strefą Ekonomiczną, ściągnął inwestorów i dziś pogrążone wcześniej w bezrobociu miasto kwitnie. W ten ton uderzyły i PO, i TVN, i „Gazeta Wyborcza". Nikt się nie zastanowił tylko, kim był pracownik w zrujnowanej obecnie fabryce nici, a kim jest dziś „w strefie". Kwitnąca Nowa Sól jest Polską w pigułce. Zadufane w sobie elity chwalące swój geniusz i osiągnięcia, spijające śmietankę i zadowolone z życia. Niedostrzegające i zupełnie nierozumiejące ludzi, którzy na nich pracują.

*Zdzisław Nowak*

### Czy w ofertach pracy powinna być obowiązkowo zamieszczana informacja o płacy?

Stanowczo tak. Pomogłoby to w zwalczaniu nierówności płacowych, dyskryminacji płacowej ze względu na płeć czy pochodzenie. Zapewne i tak podawane byłyby widełki, w ramach których płaca byłaby ostatecznie negocjowane z czołówką kandydatów. Dla zupełnej transparentności powinny być także podawane kwoty netto, na rękę. I jeszcze firmy musiałyby się na to przygotować wewnętrznie. Nie tylko na zakomunikowanie siatki płac swoim pracownikom, ale i na kryzysy z tym związane. Podejrzewam, że rozrzut wysokości płac i różnorodność umów regulujących świadczenie pracy odbiłyby się głośną czkawką w wielu przedsiębiorstwach. Byłaby to trudna, ale ważna zmiana, wpływająca na pozostawiającą wiele do życzenia kulturę biznesu w Polsce.

*Karolina Dulnik*

**Nie ten Santander**

W tekście „A złodzieje ciągle hardzi" (PRZEGLĄD nr 38) błędnie napisaliśmy, że Bank Zachodni WBK to dziś Santander Consumer Bank. W rzeczywistości Bank Zachodni WBK zmienił nazwę na Santander Bank Polska. Santander Bank Polska S.A. oraz Santander Consumer Bank S.A to dwa niezależne banki, działające w oparciu o odrębne licencje bankowe. Za pomyłkę przepraszamy

Redakcja

## ZDJĘCIA TYGODNIA

Urzędujący prezydenci Andrzej Duda i Donald Trump podczas podpisywania porozumienia o strategicznym partnerstwie Polski i USA w 2018 r. oraz były prezydent Lech Wałęsa i przyszły prezydent Donald Trump na spotkaniu w 2010 r.

FOT. FACEBOOK.COM/LECHWALESA, TWITTER/@REALDONALDTRUMP



eprasa.pl 3233531b64

**Europejski Trybunał Praw Człowieka** wydał wyrok w sprawie wydobycia z grobów szczątków ofiar katastrofy smoleńskiej bez zgody ich rodzin. Polska złamała Konwencję Praw Człowieka. Państwo musi wypłacić odszkodowania.

**Gabriela Lazarek** z grupą przyjaciół od prawie roku przychodzi na rynek w Cieszynie. Czyta posłanie **Piotra Szczęsnego**, który podpalił się pod Pałacem Kultury i Nauki, i protestuje w obronie konstytucji, przeciwko agresji i nienawiści.

**Krystyna Janda** otrzymała **Nagrodę im. Tadeusza Żeleńskiego-Boya** przyznaną przez polską sekcję AICT. Laudację wygłosił jej prezes dr **Tomasz Miłkowski.**

**25 mln turystów**, najczęściej Niemcy, Amerykanie i Brytyjczycy, odwiedziło Warszawę w 2017 r. Najwięcej wydali tu Japończycy, przeciętnie 3,7 tys. zł.

**„Falstaff" (Opera Nova w Bydgoszczy) i „Legenda Bałtyku" (Teatr Wielki w Poznaniu)** uznane zostały za najlepsze spektakle muzyczne i otrzymały Teatralne Nagrody Muzyczne im. Jana Kiepury.

359 tys. cudzoziemców ma **ważne zezwolenie na pobyt w Polsce.** Większość, 192 tys., dostało zgodę na pobyt czasowy.

Odkąd PiS w 2015 r. przejęło władzę, **liczba urzędników w ministerstwach** wzrosła o 1,2 tys. osób. Najwięcej nowych osób zatrudniono w resortach, które podlegały premierowi Morawieckiemu. W resorcie finansów zatrudnienie wzrosło o 30%, a rozwoju – o 25%.

**Krajowa Rada Sądownictwa** powołana za czasów PiS **została zawieszona** w prawach członka **Europejskiej Sieci Rad Sądownictwa** (ENCJ), bo „nie jest instytucją niezależną od władzy wykonawczej oraz ustawodawczej".

**Magdalena Kołodziej,** prokurator, która **umorzyła śledztwo** w sprawie pobicia kobiet przez narodowców 11 listopada 2017 r., ma na koncie także umorzenie sprawy głosowania w Sali Kolumnowej Sejmu oraz odmowę śledztwa dotyczącego niewpuszczenia dziennikarzy do Sejmu.

**Roman Karkosik i jego żona Grażyna** manipulowali akcjami **spółki Boryszew.** Taki jest prawomocny wyrok sądowy. Zadziwiające jest tłumaczenie Karkosika, że sprzedawanie między sobą akcji było elementem optymalizacji podatkowej.

**Rafał Milczarek**, prezes zarządu **LOT SA**, to modelowy prezes tzw. dobrej zmiany. Pomiata załogą i związkami zawodowymi. Państwową Inspekcję Pracy lekceważy. A na spotkania Rady Dialogu Społecznego nie przychodzi.

# PRZEBŁYSKI

## Odlot Guziała

Wybory to jednak poważna sprawa. A już w Warszawie to ho, ho. O to, by jednak nie wszystko było na poważnie, dba Patryk Jaki, pechowy nadzorca więzień. Co występ – to śmieszniejszy. Jego nowy pomocnik jest równie egzotyczny. Piotr Guział to sprawdzony polityk. Za co się wziął, to spieprzył. Na Ursynowie był burmistrzem i do dziś dzielnica liże rany. Namiętnością Guziała są rozmaite wybory. Długo mamił SLD jakimiś milionami, które ma na kampanię wyborczą. Ale zanim Czarzasty się zdecydował, Guział stanął obok Jakiego. Co będzie z tego związku dwóch odlotów?

## Pan Misiek na Wiśle

„Wisła pany", śpiewają od lat kibice tego klubu. Ale teraz pany to bandyci. O bliskich relacjach krakowskich przestępców z klubem piłkarskim wiedzieli wszyscy o inteligencji ponad 70 IQ . Wiedzieć, a widzieć, to jednak różnica. Pokonał ją Szymon Jadczak („Superwizjer" TVN). Pokazał, kto naprawdę rządzi tym klubem. Prezesem Wisły jest Marzena Sarapata. Wiceprezesem Damian Dukat, szef kibiców. A w tle jest Paweł M. „Misiek", wynajmujący w klubie lokal na siłownię. Tenże „Misiek" w 1998 r. rzucił nożem w głowę Dina Baggia. A przed sądem broniła go… dzisiejsza prezes Wisły, Sarapata. „Misiek" ma u niej lokal, choć sam ma 32 zarzuty i ukrywa się ścigany listem gończym. A Dukat? Zdaniem Jadczaka zorganizował w 2014 r. ostrzelanie stadionu racami. Na piersi ma wytatuowany symbol gangu Sharksów. By ten obraz był jeszcze bardziej ponury, dodajmy, że do niedawna księgową Wisły była konkubina „Miśka".

## PiS za najsilniejszymi

No i wyszło szydło z worka. Pardon za małą literę. Bo to przecież nie kto inny, jak premier Szydło opowiadała, że najważniejsi są Polacy. Brawo. Tę samą opowieść ma Morawiecki. Gadać można. Ale jak przyszło co do czego, to polscy artyści, muzycy, filmowcy, dziennikarze itp. nie dostali poparcia PiS. A chcieli tylko, żeby Facebook, Google czy YouTube nie okradały ich na żywca. Żeby cokolwiek im płaciły. Za teksty, utwory, filmy. Kogo w tym sporze poparli europosłowie PiS, pisowskie gazety i TVP? To widać. Słychać. I czuć.

## Margines broni Jaruzelskiego

Na brak rozrywki nie mogą narzekać czytelnicy „Polska The Times", wydawanej przez Grupę Polska Press. Co samo w sobie jest zabawne. Bo im więcej Polski, tym więcej kapitału niemieckiego. Prawdziwą pychotką, taką golonką po bawarsku, jest rozmowa Agatona Kozińskiego z Dariuszem Karłowiczem. Tym, który wymyślił Orszak Trzech Króli i jest prezesem Fundacji Świętego Mikołaja. Widać, że facet twardo stąpa po ziemi. Choć głowę ma w niebie. Może u swojego świętego. Obydwaj panowie mają wspólnego bohatera. Obrotowego szpiega Ryszarda Kuklińskiego. I cieszą się, że Jaruzelskiego broni tylko skrajny margines. Wspólnie wymyślili nową definicję marginesu. Musi mieć chociaż 50%.

FOT. YOUTUBE,TWITTER

eprasa.pl 3233531b64

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

# PYTANIE TYGODNIA | Czy Polacy coraz słabiej znają historię własnego kraju?

**DR DOBROCHNA KAŁWA,**
*Instytut Historii UW*

Pytanie sugeruje, że wcześniej znali ją dobrze, a to nie do końca prawda. Tak czy inaczej, zainteresowanie przeszłością rośnie, choć jest to niestety przeszłość narodu rozumianego w kategoriach etnicznych. Coraz więcej osób fascynuje się historią w wersji heroicznej, opowieściami o walce i poświęceniu, o ofiarach i bohaterach niezłomnych. Tyle że z mojej perspektywy mamy do czynienia z pielęgnowaniem pamięci, a nie zdobywaniem wiedzy historycznej. W tym kierunku idzie również obecnie szkolna edukacja, która budzi skojarzenia z czasami Władysława Gomułki. Mimo obecnego antykomunizmu przekaz jest podobny. Równolegle obserwujemy – na szczęście – inny nurt, powrót zainteresowania historią ludową oraz myślenie o dziejach Polski uwzględniające perspektywy mniejszości narodowych.

**PRZEMYSŁAW KMIECIAK,**
*inicjatywa Przywróćmy Pamięć o Patronach Wyklętych*

Mamy do czynienia z pewnym paradoksem. Z jednej strony, coraz więcej osób deklaruje zainteresowanie historią, trafiła ona na nawet na koszulki i murale, coraz więcej jest jej w mediach i w publicznych dyskusjach, wydaje się więc, że znajomość dziejów rośnie. Z drugiej – widać, że od rzetelnej wiedzy historycznej większą popularność zdobywają proste klisze i stereotypy związane z wydarzeniami z przeszłości. Historia stała się ważnym narzędziem walki propagandowej, a propaganda zazwyczaj się nie wgłębia w niuanse i dąży do tego, by prezentowana przez nią wizja była jak najprostsza i czarno-biała. Tego rodzaju sytuacja służy wprawdzie zwiększaniu zainteresowania historią, ale kompletnie nie służy popularyzacji rzetelnej wiedzy na jej temat.

**EWA MIESZCZYŃSKA,**
*nauczycielka historii i WOS w XI LO w Olsztynie*

Jeśli chodzi o młodzież ze szkół średnich, to mam wrażenie, że rzeczywiście zna ona historię coraz słabiej, a przynajmniej coraz bardziej wybiórczo. Najlepiej znane są te wydarzenia historyczne, które są mocno nagłaśniane, również medialnie. Jednak gdy zapytamy o przyczyny tych wydarzeń, ich skutki czy płynące z nich wnioski na przyszłość, wówczas często się okazuje, że i ta wiedza jest powierzchowna. Część młodzieży żywo interesuje się historią dość i chętnie angażuje się w różne projekty czy formy upamiętniania przeszłości. Są jednak i tacy uczniowie, którzy wprost deklarują, że historia nie jest im do niczego potrzebna. Podsumowując, w młodym pokoleniu jest wielu pasjonatów historii, ale również wielu całkowitych ignorantów historycznych.

*czytelnicy PRZEGLĄDU*

**SZYMON BRATEK**

A czy Pałac Kultury mocno ucierpiał w powstaniu warszawskim?

**JAN KOHLMAN**

Coraz lepiej znają pewien aspekt historii militarnej, coraz gorzej rzeczywistą historię społeczną.

**MARIA ŁAKOMY**

Tak, i coraz mniej myślą o przyczynach i skutkach. Najważniejsze to pluć na „komunę" bez refleksji, że w PRL żyli ich rodzice i dziadkowie. A według najnowszej narracji: żyli, przeżyli, więc kolaborowali.

**ALEKSY WÓJTOWICZ**

Polacy i Polki tak dobrze znają historię własnego kraju, jak jego kulturę, sztukę i literaturę.

*Not. Michał Sobczyk*



eprasa.pl 3233531b64

# ATAK PiS JEST OKROPNY. BO OPARTY NA KŁAMSTWIE

Wielu księży wprost mówi z ambony, że „dobra zmiana" to jest to, na co Polska czekała

Rozmawia Robert Walenciak

**Mamy kampanię wyborczą i co widzę? PiS nikogo tak mocno nie atakuje jak PSL. Jesteście wrogiem numer 1.**

– To nie przypadek, że PiS nas atakuje. Tych przyczyn jest kilka. Jeśli chodzi o najbliższe wybory – wiadomo, jesteśmy bardzo mocni w samorządach. I tak naprawdę to my stoimy PiS na drodze do przejęcia – nie wszystkich, ale znaczącej części – sejmików wojewódzkich. Oczywiście niżej też. Choć tam będzie PiS trudniej, zwłaszcza na poziomie wójtów, burmistrzów. Drugi powód ataków – nasze elektoraty się nakładają. Ostatnio spoglądałem na sondaże dotyczące, równolegle, wyborów do sejmików i parlamentu. W sejmikach pokazano nam 14% poparcia, a do Sejmu – 5%. PiS do Sejmu dostało trzydzieści parę procent, a na poziomie sejmików 5-6 pkt proc. mniej. Gołym okiem widać bliskość naszych elektoratów. I oni to wiedzą.

**I was atakują.**

– Ten atak jest okropny. Bo oparty na kłamstwie. Rozumiem – emocje, kampania, każdy coś obiecuje, krytykuje. Ale tu wychodzi premier rządu i bez mrugnięcia okiem kłamie. Choć wielokrotnie mu to udowodniono. A on i tak przypisuje swojej partii „kosiniakowe". A co opowiada o prywatyzacji?!

**Że PSL wszystko sprzedało.**

– Nas w tamtym czasie, w latach 90., nazywano hamulcowymi prywatyzacji. W roku 1993 byliśmy przeciwko ustawie o PPP (Programie Powszechnej Prywatyzacji). Potem, gdy Waldemar Pawlak został premierem, nie mógł jej odwołać, bo już była realizowana. Ale wycofał kilkadziesiąt firm, w tym strategicznych, z różnych branż. Jak odchodziliśmy z rządu w roku 1997, kapitał zagraniczny w polskiej bankowości nie przekraczał 20%. To

**JAROSŁAW KALINOWSKI**

– poseł do Parlamentu Europejskiego, przewodniczący Rady Naczelnej PSL. Był m.in. prezesem PSL (1997-2004), wicemarszałkiem Sejmu, wicepremierem i ministrem rolnictwa.

było już po restrukturyzacji i dokapitalizowaniu sektora bankowego, które przeprowadziliśmy na podstawie przygotowanego programu. Zapisane w nim zostało, że po zakończeniu restrukturyzacji sektora bankowego kapitał zagraniczny nie może przekroczyć 30%. Pierwszą uchwałą rządu AWS i UW uchylono ten program i barierę 30%!

**I zaczęła się prywatyzacja.**

– AWS rzuciła na rynek srebra rodowe – PZU, KGHM, TP SA, całą masę firm z branży spożywczej, cukrownie, Polmosy, zakłady zbożowe, Pudliszki, Winiary. Wszystko hurtem, jak szło. A Mateusz Morawiecki? Był dyrektorem w tamtym rządzie. A za chwilę stał się największym beneficjentem prywatyzacji banków na usługach finansjery zagranicznej. I on mówi teraz, że to my, PSL, wszystko sprywatyzowaliśmy!

## KŁAMSTWO POWTÓRZONE STO RAZY

**Dlaczego kłamie? Przecież to wszystko można sprawdzić w pięć minut. Zastanawiał się pan?**

– Został postawiony na szpicy, chce się przypodobać Kaczyńskiemu. Ale to żadne usprawiedliwienie! Bo taki sposób prowadzenia polityki pociąga za sobą skutki. Młodzi się temu przyglądają! I jakie wyciągają wnioski? Że polityka w Polsce polega na tym, że walczy się o wyborców, bezczelnie kłamiąc. Czy tak to ma wyglądać? Premier ma dawać taki przykład? Tłumaczę ludziom: No dobrze, staje przed wami premier i przed chwilą wam udowodniłem, że kłamie. Żeby odnieść swoje osobiste i partyjne korzyści. A jak was okłamuje, to wyraża szacunek do was czy pogardę? Czy nie traktuje was jak, cytując Kurskiego, ciemny lud, który wszystko kupi?

**I co mówią?**

– Ktoś tam zaklaszcze…

**Trzeba przypominać, jak było.**

– Robię to! Mam tę wadę, że pamiętam o rzeczach, o których dzisiejsi pisowcy chcieliby zapomnieć. Wyciągnąłem ostatnio listę posłów AWS, którzy głosowali za prywatyzacją, za wyprzedażą – jak mówi dziś Mateusz Morawiecki – majątku narodowego, banków itd., którzy głosowali w obronie Leszka Balcerowicza. W roku 1999 w imieniu PSL składałem w Sejmie wniosek o odwołanie Leszka Balcerowicza. Byłem sprawozdawcą. W tym wniosku podnosiliśmy także kwestię prywatyzacji.

**Wniosek został odrzucony.**

– A ja mam listę tych, którzy wtedy bronili Balcerowicza i tamtej prywatyzacji. Proszę, jakie nazwiska… Arciszewska, Cymański, Jurgiel, Mariusz



eprasa.pl 3233531b64

Kamiński, Smirnow, Sobecka, Tchórzewski, Jackowski, Jasiński… Sellin, dziś minister, wtedy rzecznik prasowy tamtego rządu. Czarnecki – wtedy minister! Wypominam im to, a oni udają, że nie słyszą. Jarosław Kaczyński, zabierając głos w tamtej debacie, mówiąc o liberalnej polityce gospodarczej i prywatyzacji w wykonaniu AWS, rozwinął skrót KPP – kompromitacja polskiej prawicy. W tym momencie trzeba również dodać, że za rządem AWS murem stał NSZZ Solidarność, dając zgodę na wyprzedaż majątku narodowego.

## To my stoimy PiS na drodze do przejęcia sejmików wojewódzkich.

**A oni powtarzają, że to PSL.**

– Jakie zasady wyznają? Że kłamstwo powtórzone sto razy staje się prawdą. To są stare zasady, bolszewickie, goebbelsowskie… Niestety, trzeba tak powiedzieć. A mają telewizję i tam bez przerwy uprawiają tę propagandę. Mówiliśmy na początku o nakładaniu się naszych elektoratów. Dodam więc, że nasi wyborcy, mieszkańcy mniejszych miejscowości, oglądają przeważnie tylko jedną telewizję – publiczną. „Wiadomości" i serwisy informacyjne. A tam łopatą kładzie się ludziom do głowy te kłamstwa. Ta ich propaganda jest, niestety, bardzo skuteczna, a sprzyjają im jeszcze inne okoliczności. Bo sprawy sądownictwa czy Trybunału mało ludzi interesują. Uważają wręcz, że ich to nie dotyczy. Nie interesują się też tym, że pomimo bardzo dobrej koniunktury gospodarczej dług publiczny ciągle rośnie.

**A co ich interesuje?**

– Odpowiadają: Żyje nam się lepiej! 500+ dali! A jak mam dwoje dzieci, to mam tysiąc!

**Unia daje więcej.**

– Unia na razie daje. Choć do nowej perspektywy budżetowej ma być dołączona klauzula warunkowości, że owszem, kraj będzie miał dostęp do środków unijnych, ale warunkiem jest przestrzeganie zasad państwa prawa! I bardzo prawdopodobne, że tak się stanie. Ale to dopiero po 2021 r. Teraz płacą!

## PRAWDZIWYCH ROLNIKÓW CORAZ MNIEJ

**Drugim, po premierze, atakującym PSL jest minister rolnictwa Jan Ardanowski.**

– Też był w AWS. Znam go z tamtych czasów, był prezesem Krajowej Rady Izb Rolniczych. Tak się złożyło, że został nim głosami PSL. To minister na wybory, po Jurgielu. Na jego tle może błyszczeć. Choć po wyborach szykuje bardzo przykrą niespodziankę kilku branżom w rolnictwie. Bo wszystko wskazuje, że 1 stycznia wejdzie zakaz importu do Polski soi genetycznie modyfikowanej. A jeżeli wejdzie, to hodowcy trzody dostaną po kieszeni, a jeszcze bardziej branża, która w Polsce najlepiej się rozwija, ma największą produkcję w Unii Europejskiej i eksport, czyli drobiarstwo. Ta decyzja to będzie nokaut, bo oznaczać będzie wzrost kosztów produkcji od kilkunastu do 20%. Problem jest taki, że 90% podaży światowej na rynku stanowi soja modyfikowana. A ta niemodyfikowana jest dwa razy droższa. Jeżeli wejdzie zakaz importu soi modyfikowanej – będzie trzy razy droższa. I ktoś za to zapłaci. Nasza przewaga konkurencyjna na rynku unijnym zniknie.

19 sierpnia politycy PSL – Władysław Kosiniak-Kamysz, Jarosław Kalinowski, Adam Struzik oraz Piotr Zgorzelski – spotkali się z rolnikami protestującymi w Rębowie na Mazowszu.

**Na rolnictwo spadły plagi: jest susza, sadownicy są w tragicznej sytuacji… PSL nie potrafi tego wykorzystać?**

– Widzi pan przecież, co się dzieje w przestrzeni medialnej. Prezes Kosiniak-Kamysz jak może i gdzie może grzmi. Ma spotkania z rolnikami, uczestniczy w protestach: i na Lubelszczyźnie, i w branżowych, i z sadownikami. Tylko kto to pokazuje? Jest także inny problem – efekt skali. Prawdziwych rolników jest coraz mniej. Zróbmy szybki rachunek – 1,3 mln osób składa wnioski o dopłaty bezpośrednie. Ale w tej liczbie rolników, którzy rzeczywiście orzą, sieją i z tego się utrzymują, będzie może 400 tys.

**A reszta?**

– Są właścicielami mniejszych lub większych kawałków, które najczęściej odziedziczyli po rodzicach. Składają więc wnioski o dopłaty, a tę ziemię orze sąsiad. Rolnik. Tylko że ten rolnik dopłat na to nie bierze, nie może wziąć odszkodowania za suszę, bo ta ziemia nie na niego, nie może wziąć paliwa rolniczego. Więc tych rolników, o których rozmawiamy, że mają problemy, jest coraz mniej. PiS w tych sprawach też się orientuje. I celuje szerzej, bardziej na tych nierolników. Ja to widzę. Teraz pracujemy w Brukseli nad nowymi zasadami Wspólnej Polityki Rolnej i pojawiła się propozycja, żeby w całej Unii Europejskiej obowiązywała definicja „aktywnego rolnika". To znaczy, że ci, co uprawiają, mieliby możliwość składania wniosków o dopłaty, a właściciele gruntów dostawaliby czynsz dzierżawny. PiS jest przeciwnikiem tego rozwiązania. Jest stanowisko polskiego rządu, żeby tego nie wprowadzać.

**A na Kościół możecie liczyć?**

– Kto może liczyć? My nigdy nie mogliśmy liczyć. Nawet trudno było liczyć na neutralność. Żadna tajemnica, że ambona jest miejscem uprawiania

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, MATERIAŁY PRASOWE, STANISŁAW KOWALCZUK/EAST NEWS



eprasa.pl 3233531b64

polityki, nawet jeśli nie bezpośrednio, to pośrednio. Byłem niedawno na dożynkach lubuskich. Mówiła pani marszałek, mówił wojewoda, ja również mogłem krótko się wypowiedzieć. Powiedziałem m.in., że w świetle polityki prowadzonej przez PiS może się spełnić plan dla wsi Jarosława Kaczyńskiego, który jako premier w 2006 r. w Brukseli proponował likwidację dopłat. Wtedy się nie udało, ale dzisiaj, okrężną drogą, przez złamanie zasad praworządności w Polsce, Unia może zatrzymać pieniądze. Gdy skończyłem, obecny na uroczystościach biskup wstał i wyszedł, mówiąc, że nie będzie słuchał polityki. Ktoś inny odpowiedział biskupowi: Ekscelencjo, ale my w kościołach też musimy słuchać polityki.

Wielu księży wprost mówi z ambony, że „dobra zmiana" to jest to, na co Polska czekała. I są tego efekty. Oczywiście są biskupi i księża bardziej powściągliwi w tych ocenach. Są też tacy, którzy przestrzegają, że angażowanie się w spór polityczny po jednej stronie źle się skończy dla Kościoła w Polsce. Takie postawy stanowią niestety mniejszość.

## JEDEN-DWA MANDATY BĘDĄ DECYDOWAŁY

**To ile sejmików PiS wam zabierze?**

– Mamy taką sytuację, że do momentu przedstawienia wyników nie wiadomo, jak to będzie. To może być jeden-dwa mandaty w jedną lub drugą stronę.

**I może być szok, jak cztery lata temu.**

– Wiadomo, nam wtedy pomogła książeczka, w której trzeba było zaznaczyć swój wybór.

**A wy wylosowaliście jedynkę, więc byliście na pierwszej stronie!**

– I to nam pomogło. Tak jak pomogło PiS cztery lata wcześniej, bo na Mazowszu już wtedy była książeczka i to PiS miało jedynkę. Ciekawa sytuacja… Otóż nie we wszystkich powiatach szliśmy do wyborów jako PSL. W trzydziestu paru procentach powiatów nasi ludzie rejestrowali się jako komitety samorządowe, lokalne. To sprawiło, że dwójka stała się w tej książeczce jedynką. A dwójką było PiS. I socjolodzy to zobaczyli – w tych powiatach, gdzie na pierwszym miejscu było PiS, ono zanotowało paroprocentową górkę, a komitety peeselowskie miały dołek.

PSL zgłosiło projekt ustawy o zwrocie kosztów poniesionych przez rolników na wprowadzanie zasad bioasekuracji przed afrykańskim pomorem świń. Jednak rząd PiS jest przeciwny takiej ustawie.

**Twarda walka się zapowiada.**

– Pokazują to badania. Lubelszczyzna, Mazowsze, również Świętokrzyskie, nawet Łódzkie! W tych województwach jeden-dwa mandaty będą decydowały o zwycięstwie. My dostaniemy mniej niż cztery lata temu. Ale tu o innych chodzi. Platforma – mam wrażenie, że to nie będzie tyle, ile powinno być. A wielki dramat – że lewicy nie ma. Na razie PiS wszystko sprzyja. Myślę o koniunkturze, o gospodarce. Dopóki wielu ludziom w uszy się nie naleje, dopóki nie dotkną ich negatywne efekty rządów PiS, będziemy tak mieli. Trzeba też dodać, że to jest walka o istotę samorządności w Polsce. My jesteśmy za decentralizacją i zasadą pomocniczości. PiS odwrotnie – za centralizacją, co udowodniło, zabierając sejmikom kompetencje i pieniądze, proponując nadzór rządowy nad wszelkimi decyzjami rad gmin z możliwością ich unieważnienia.

**Kumulacja negatywnych skutków rządów PiS będzie po roku 2021.**

– Wtedy Unia będzie mogła uruchomić swoje instrumenty. Ale jest jeszcze jeden znak zapytania – zobaczymy, jakie będą efekty wyborów europejskich w roku 2019. Mamy w Polsce problem, ale on dotyczy całej Europy. Czechy, Włochy… Dzieje się źle. Oczywiście katalizatorem byli uchodźcy. Wszędzie.

**Siłą PSL zawsze byli wójtowie, burmistrzowie miast, oni cieszyli się szacunkiem, ich ludzie słuchali.**

– Jeden z moich kolegów, jestem przekonany, że nadal będzie wójtem, niedawno opowiadał mi, jak to jest. Że przychodzą do niego ludzie i mówią: Panie wójcie, niech pan się nie przejmuje, my i tak będziemy na pana głosować. Ale wyżej, to wie pan… Nam się trochę poprawiło.

**Przy ludziach z autorytetem działacze PiS prezentują się słabo.**

– Tu nie chodzi o osoby. Tu chodzi o wyborczą retorykę. PiS mówi ludziom: Oni już byli, złodzieje, bandyci, teraz wy! Teraz to wszystko dla was! Nikt o was nie dbał, my dbamy! Będziecie nową elitą, otworzymy przed wami kariery. Bolszewickie metody, ale część to chwyta.

> Pytam ludzi: Czy premier, który was okłamuje, wyraża szacunek do was czy pogardę?

**Minister Ardanowski zapowiada, że tych dobrych wójtów będzie przeciągał na swoją stronę.**

– Bo pisowcy przeciągają! Teraz czytałem, że była posłanka SLD Grażyna Ciemniak będzie startować z ich listy. W głowie się nie mieści… Więc śmiejemy się z PiS – dlaczego oni boją się uchodźców? Przecież tylko z uchodźców się składają! I z PZPR mają, i z SLD, z AWS, z Unii Wolności, z PO… I z PSL. Na dodatek oni wszyscy mówią, że nie rządzili!

## NASZE SPOŁECZEŃSTWO WOLNO SIĘ ROZPĘDZA

**Czyli dla was Lepper to było małe miki w porównaniu z PiS.**

– Lepper nie miał możliwości złapania tych lejców, tego, gdzie



eprasa.pl 3233531b64

naprawdę tym wszystkim się steruje. Kaczyński w niszczeniu Polski jest niezwykle skuteczny. I wszyscy za to zapłacimy. Pewnych rzeczy już nie odwrócimy. To zaufanie, które mieliśmy w Unii, już nie wróci. Nie ma mowy, trzeba kilkudziesięciu lat, żeby to odrobić. Kaczyński… Mam jego wypowiedzi na temat Unii, jeszcze sprzed referendum. Był wtedy i dziś jest przeciwko Unii. Takiej, jaka ona jest. Oczywiście wprost tego nie powie. Ale robi wszystko, żeby Unię rozsadzić od środka.

**Mówi, że chce Europy ojczyzn.**

– Czyli strefa wolnego handlu i tyle. Ale tak nie będzie. Nie Kaczyński będzie o tym decydował. Zwróćmy uwagę na jego ataki na Unię. Że niemiecka. Że Niemcy łamią solidarność europejską, bo budują Nord Stream II. Przecież nie byłoby Nord Stream II ani Nord Stream I, gdyby podejrzliwa polska prawica wyraziła zgodę na budowę drugiej nitki gazociągu jamalskiego. Przez Polskę.

**Za AWS.**

– To był rok 1999. Najpierw krzyczeli, że Rosjanie będą nas szpiegować, bo światłowody wzdłuż gazociągu nam położą. Potem, jak już to wyjaśniono, znaleziono inny pretekst. Rosjanie chcieli gazociąg budować przez Białoruś. A polski rząd odpowiedział: Nie, musi być przez Ukrainę! Więc zbudowali po dnie Bałtyku. To do kogo mieć pretensje? Do Niemców, że chcą mieć gwarancję tańszych dostaw gazu? Rozwiązaniem była wspólna polityka energetyczna UE, której inicjatorami były PO i PSL. PiS tę inicjatywę tak naprawdę pogrzebało.

**Był taki moment, że wieś była otwarta na Europę.**

– Dalej jest! Wiosną ukazał się kolejny raport prof. Jerzego Wilkina z Instytutu Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN o polskiej wsi. Pokazuje on, że takiego poparcia wsi i rolników, jakie ma dzisiaj PiS, nie miał nikt. I jest tylko jeden obszar, w którym poglądy mieszkańców wsi i rolników różnią się od tego, co PiS robi i chce robić – to stosunek do Unii Europejskiej. Tyle że to jeden obszar, a w pozostałych absolutnie są razem. Ale na razie otrzymują dopłaty.

**Uważają, że wszystko w porządku i tak będzie zawsze?**

– Nasze społeczeństwo jest takie, jakie jest. Wolno się rozpędza. Ale przyjdzie moment, że ludzie dojrzeją. Nie ma siły. Tylko może to potrwać i straty będą nie do odrobienia. Unia… Pieniądze z Unii to wtórna sprawa! Bardzo ważna. Ale ważniejsze jest jeszcze coś innego – bezpieczeństwo! Unia powstała, żeby w Europie nie powtórzył się dramat I i II wojny światowej! Jesteśmy pierwszym pokoleniem od tysiąca lat – wielcy szczęściarze! – które nie doświadczyło wojny! Gdy tak ludziom mówię, jest cisza. Widać, że myślą. A potem… Aaaa. Taka jest wieś.

**A co pan mówi działaczom PSL, gdy idą na walkę z PiS?**

– Mówię: Nie martwcie się, nie tacy mocarze bywali. Przekonacie się sami, PiS nie będzie, a PSL – będzie. Oni odpowiadają, że dadzą radę, więc razem mówimy: Nie damy się!

*Robert Walenciak*

W bieżącym numerze także:

Loïc Ramirez
Wzlot lewicy i zagrożenie dla pokoju

Julien Brygo
Wyścig o amerykańskie drogi

Jean-Arnault Dérens, Laurent Geslin
Chorwacja – jak żyć na wyspie?

Achille Mbembe
Wróg, ten Inny, którym jestem

Thomas Piketty
Truciciele środowiska muszą płacić

Do nabycia w salonach prasowych empiku
Roczna prenumerata (12 numerów): 82 zł
Konto: 44 1500 1777 1219 1033 3847 0000
Kredyt Bank IV Oddział w Warszawie
Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa"
ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa, telefon: 22 624 17 27
e-mail: redakcja@monde-diplomatique.pl

www.monde-diplomatique.pl




eprasa.pl 3233531b64

Katarzyna Wierzbicka

# PERFIDNE OGŁUPIANIE

Czy nie powinno się zabronić adresowania reklam do dzieci?

Dorosły powiedziałby: lalka. To słowo nie pada jednak w telewizyjnym spocie reklamującym zabawkę. Zamiast niego słychać wymawiane półszeptem: magiczny, zaczarowany, niezwykły. I zachęty: stwórz, odkryj, zobacz. Sam produkt nosi imię znanej bohaterki jednego z najnowszych filmów dla dzieci. Przez 30 sekund widzimy, jak ośmiolatka naciska plastikowe gwiazdki na sukience filmowej postaci. Z naciśnięciem każdej usta dziewczynki otwierają się szeroko, a buzia wyraża na zmianę zachwyt, euforię i niedowierzanie.

Druga reklama: niewielkie figurki z plastiku, kupowane pojedynczo lub w zestawach („Zbierz je wszystkie!"). Produkt ma być zabawką „dla dziewczynek". Twórcy spotu nie szczędzą więc różu, a figurki służą jako pierścionek, błyszczyk lub lakier do paznokci. Zmieniającym się co sekundę kadrom, jaskrawym kolorom i piskliwym okrzykom: Super! i Wow! towarzyszy piosenka, w której dominującym słowem jest markowa nazwa produktu.

Twórca trzeciej reklamy stawia na bliskość i poczucie bezpieczeństwa: atmosfera zabawy i błogości, kojarzona z czasem spędzanym z rodziną, przejawia się tu dodatkowo w jedzeniu „bogatych w mleko" batoników, mających umożliwiać dzieciom dalszą intensywną zabawę, która – jak wiadomo – jest warunkiem prawidłowego rozwoju.

Jeden spot reklamowy trwa 30 sekund. Zgodnie z wytycznymi Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji reklamy adresowane do najmłodszych mogą być emitowane przez 12 minut na godzinę, co daje 24 spoty reklamowe. Producenci zabawek i żywności w pełni wykorzystują ten przydział, prześcigając się w liczbie aplikowanych dzieciom bodźców mających przyciągnąć ich uwagę. A jest o co się bić: według „Gazety Wyborczej" rynek zabawek w Polsce to ok. 2,5 mld zł. Z kolei rynek słodyczy, jak podaje portal Wirtualne Media, wart jest już ponad 6,3 mld zł.

Wobec natłoku reklam twórcy poszczególnych spotów stawiają na nadmiar – ciężką do zniesienia kombinację jaskrawych kolorów, drażniących dźwięków i piosenek, które wpadając łatwo w ucho, mają nauczyć dziecko dokładnej nazwy produktu. Do tego dochodzi szybka zmiana kadrów, która może oszołomić nawet dorosłego odbiorcę. Jak podkreślała psycholożka kliniczna i specjalistka od rynku Sylwia Pawłowska w programie „Teraz Solska!" na antenie TOK FM, twórcy spotów wiedzą dobrze, że aby dziecko obejrzało reklamę, trzeba zatrzymać jego uwagę już w pierwszych sekundach jej wyświetlania. Dlatego nie tylko utrzymuje się drażniącą zmysły estetykę, ale i podkręca głośność, tak



eprasa.pl 3233531b64

by zignorowanie filmiku było niemal niemożliwe. – Są to tzw. bodźce peryferyczne, mające wybić reklamę z tła innych programów – wyjaśniał specjalista od zachowań konsumenckich dr Paweł Wójcik. – Nasz aparat poznawczy jest tak skonstruowany, że mimowolnie zwracamy uwagę na to źródło, które najbardziej wybija się z tła.

Poza przyciągnięciem uwagi chodzi też o to, żeby wzbudzić odpowiednie emocje, dziecko ma je skojarzyć z produktem. W wydaniu reklamowym są one skrajne: radość staje się euforią, zadowolenie – zachwytem. Emocjonalny *roller coaster* bohaterów reklam ma spowodować te same reakcje u małego odbiorcy. Wieczna zabawa, w którą często zaangażowani są reklamowi rodzice, i rodzinna atmosfera przywołują sytuacje, jakich przeciętne dziecko na co dzień nie doświadcza. Skuteczny twórca reklamy jest iluzjonistą, który – za pomocą kiczu – stwarza krainę niedostępnego w rzeczywistości szczęścia.

## WYCHOWYWANIE WZORCOWEGO KONSUMENTA

– Chodzenie z nią do sklepu nie jest łatwe – mówi Agata o pięcioletniej córce. – Kup mi to, kup mi tamto. Staram się odmawiać, ale to trudne, kiedy ona zaczyna wyć, a ja czuję na sobie oceniający wzrok innych.

Obraz leżącego na sklepowej podłodze kilkulatka, kategorycznie żądającego natychmiastowego kupienia mu jakiejś rzeczy, wydaje się symbolem początku XXI w.

Zgodnie z Kodeksem Etyki Reklamy spot reklamowy dla dzieci nie może zawierać instrukcji przekonywania rodziców do zakupu produktu. Jednak, jak podaje portal eGospodarka, badanie sprzed kilku lat pokazuje, że dzieci wpływają na decyzje zakupowe aż 96% Polaków, z czego u dwóch trzecich jest to wpływ silny lub bardzo silny. Inne badanie dowodzi, że tylko jednemu na dziesięcioro dzieci nie udało się przekonać rodzica do kupienia ubrania, którego zakupu pierwotnie odmówił.

Nawet jeśli rodzice są wystarczająco stanowczy, by nie zaspokajać wszystkich zachcianek, potrzebę posiadania tego, co reszta, wywołuje automatycznie samo obserwowanie tych kolegów, którzy mają więcej. – Dzieci są konsumentem stadnym – wyjaśniała Sylwia Pawłowska w rozmowie z Joanną Solską. – Jeśli już produkt „zaskoczy", to jego sukces jest spektakularny.

Hanna Szewczyk, nauczycielka w jednej z warszawskich szkół podstawowych: – Sytuacje, w których dzieci niemające najnowszego gadżetu muszą znosić kpiny rówieśników, nie są częste, ale się zdarzają. Oczywiście my, nauczyciele, bezwzględnie tępimy takie zachowania. Ale wiadomo, że jak jedna osoba ma dziesięć gadżetów, a druga jeden albo żadnego, to jest jej przykro.

Pozostaje jeszcze obawa o rozwój dziecka. Jeśli więc rodzice poddadzą się pod presją kilkulatka, zrobią to z troski o jego kontakt z rówieśnikami. Sylwia Pawłowska zwraca uwagę na zjawisko fetyszyzacji dzieciństwa, związane z przekonaniem, że szczęście dziecka jest kluczowym warunkiem jego rozwoju. Tyle że szczęście bywa często mylone z zaspokajaniem zachcianek. – Dzieci są miękkim podbrzuszem rodziców – mówi badaczka. – Argument „wszyscy to mają" budzi w rodzicu lęk o dobre samopoczucie dziecka, o to, czy doświadczenie frustracji nie odbije się negatywnie na jego rozwoju, np. przez odrzucenie przez rówieśników lub obniżenie samooceny.

Potwierdzenie tego znajdujemy w internetowych sklepach z zabawkami. Większość poza klasycznym podziałem na „edukacyjne", „gry" itd. oferuje osobną kategorię produktów reklamowanych w telewizji. Część sklepów chwali się wręcz, że innych w swojej ofercie nie ma.

Agresja przekazu reklamowego jest podwójna. Z jednej strony, w reklamach wykorzystuje się postacie dobrze znane dzieciom z treści niereklamowych. Z drugiej – treści reklamowe są programowo wprowadzane w poszczególne sfery życia. „Do najmłodszych dzieci także kieruje się szereg programów lojalnościowych", czytamy w publikacji z 2017 r. „Tajemnice reklamy. O tym, jak reklama wpływa na dzieci i młodzież" Anny Marii Zawadzkiej i Małgorzaty Niesiobędzkiej, badaczek z Uniwersytetu Gdańskiego i członkiń stowarzyszenia Dziecko Bez Reklamy. „Spora grupa zabawek to odpowiedniki gadżetów dla dorosłych. Dzieci (…) np. bawią się telefonem komórkowym marki Alcatel, który został złożony z klocków typu Lego".

Wszystko to służy przyzwyczajaniu dzieci od najmłodszych lat do roli wzorowego konsumenta. „Znane jest w psychologii zjawisko efektu czystej ekspozycji. (…) Polega ono na zmianie stosunku emocjonalnego wobec obiektu na skutek zwiększenia liczby kontaktów z nim – piszą badaczki. – Odbywa się to bez konieczności świadomego rozpoznawania bodźca. Mechanizm jest dość prosty: ludzie bardziej lubią te bodźce, które prezentowano im częściej niż inne. Nawet wówczas, gdy nie zdają sobie sprawy z faktu, że widzieli je już wcześniej".

Siła reklamowej perswazji opiera się bowiem na ciągu odwołań. Produkty z wizerunkiem postaci z bajek i dziecięcych idoli mają budzić pozytywne emocje dziecka. I tak film, który sam w sobie nie jest reklamą, staje się dla niej żyznym gruntem. Po premierach filmów dla dzieci w kolejce po licencję ustawiają się producenci ubrań, przyborów szkolnych, zabawek i żywności.

Wojciech, tata ośmioletniego Stasia: – Po obejrzeniu „Gwiezdnych wojen" wszystko musiało być z Lordem Vaderem.

W reklamie są emocje skrajne: radość staje się euforią, zadowolenie – zachwytem.

Szczęście bywa często mylone z zaspokajaniem zachcianek.



eprasa.pl 3233531b64

Bogna, mama sześcioletniej Kasi i dziewięcioletniego Piotrka: – My w ogóle nie mamy w domu telewizora. Ale córka i tak zna dokładne nazwy wszystkich gadżetów i męczy mnie, żeby jej kupić, „bo wszyscy mają".

Podział na tych, którzy mają, i tych, którzy nie mają, nie jest jedyny. Choć promowanie jakichkolwiek nierówności jest niezgodne z Kodeksem Etyki Reklamy, przekaz reklamowy utrwala stereotypy płci. W reklamach adresowanych do chłopców królują samochody, sport i nauka. W tworzonych z myślą o dziewczynkach – pieski, lalki, księżniczki i błyszczyki. Chłopcy eksplorują, dziewczynki ładnie wyglądają. – Dostrzegalne jest także rozróżnienie płci w samych reklamach – dodaje psycholożka Magdalena Bogusz. – W tych, które reklamują np. samochody, częściej zobaczymy chłopców, a w reklamujących lalki – dziewczynki.

Oba te podziały sprzyjają wychowaniu wzorcowego konsumenta. Stereotypowe rozdzielenie na zabawki „dla chłopców" i „dla dziewczynek" przygotowuje do kupowania w przyszłości prawdziwych samochodów i prawdziwych błyszczyków.

Ostrzegają przed tym Anna Maria Zawadzka i Małgorzata Niesiobędzka. Zwracają uwagę na komercjalizację dzieciństwa – jego elementy stają się przedmiotem handlu, a dzieci – wciąż poszerzającym się rynkiem zbytu.

„Postępująca komercjalizacja dzieciństwa (…) – czytamy w analizie – to coś więcej niż sprzedaż zabawek. To promowanie określonych wartości i zachowań. Komercjalizacja powoduje problemy związane z otyłością, zaburzeniami odżywiania, przemocą wśród młodych ludzi, seksualizacją dzieciństwa". Trudno z tym się nie zgodzić, oglądając ubrane na różowo kilkulatki, nakładające na usta błyszczyk.

## REKLAMOWA DIETA

Poza reklamami zabawek ważną kategorią są reklamy żywności. I choć od 2010 r. Kodeks Etyki Reklamy zabrania adresowania ich bezpośrednio do dzieci poniżej 12. roku życia, to opierając się przede wszystkim na niebezpośrednich środkach przekazu, mogą one wywołać pożądany efekt także u dzieci nawet wtedy, kiedy teoretycznie są adresowane do rodziców. – W reklamie mamy do czynienia nie tylko z samą treścią, ale i z różnymi ukrytymi komunikatami, doskonale znanymi psychologii. Budowa spotu, jego uczestnicy itd. to nie są elementy przypadkowe – wyjaśnia Magdalena Bogusz. – Obserwując niektóre reklamy, jestem przekonana, że są w sposób ukryty kierowane do dzieci.

Jej zdaniem o tym, kto jest faktycznym adresatem telewizyjnych spotów, świadczy m.in. występowanie w nich dzieci czy wykorzystywanie przyjaznych im postaci: stworków, misiów, smoków itd. Znany reklamowy zabieg polega też na odwołaniu się do rodzicielskiego autorytetu („Mama wie, co dobre") albo do podstawowych tęsknot dziecka, np. za wspólną zabawą z rodzicami. Dlatego głównym motywem wielu reklamowych narracji jest zabawa z rodziną czy wspólne jedzenie śniadania. – Żeby trafić do dziecka, wystarczy poruszyć ważne dla niego obszary – mówi psycholożka.

Już samo kojarzenie pozytywnych emocji z konsumpcją wydaje się niezdrowe z punktu widzenia psychicznego i fizycznego rozwoju dziecka. Staje się to jeszcze groźniejsze, kiedy w grę wchodzi konsumpcja wysoko przetworzonej żywności. Mimo że twórcy reklam zapewniają o wartościach odżywczych niektórych produktów, większość składa się przeważnie z cukru i sztucznych aromatów. – Mówienie o witaminach w serkach smakowych to wyłącznie chwyt marketingowy. Podstawową rzeczą jest skład – podkreśla Sylwia Wychowałek z poradni Mój Dietetyk w Łodzi. – A np. serek „o smaku truskawkowym" zawiera 2-3% truskawek, za to sporo cukru, co sprzyja próchnicy.

Tymczasem gdyby czerpać wiedzę o zdrowej diecie z reklam, można by dojść do wniosku, że dosładzany sok zaspokaja 20% dziennego zapotrzebowania na owoce i warzywa, a serwatkowe batoniki stanowią „idealne drugie śniadanie", które „dostarczy twoim dzieciom energii na dzień pełen wrażeń". – Częściowo prawdą jest, że szklanka soku może zastąpić jedną porcję owoców i warzyw – pod warunkiem jednak, że to sok wyciśnięty ze świeżych owoców, najlepiej samodzielnie. Soki z dodatkiem cukru, często uzyskiwane z zagęszczonych soków owocowych, to nie najlepszy wybór. Najzdrowsza jest woda mineralna – zaleca dietetyczka. – Co do mlecznych batoników, rzeczywiście drugie śniadanie powinno dawać energię, żeby dziecko mogło się skupić przez następne godziny w szkole. Tyle że „mleczne kanapki" i tym podobne artykuły zawierają przede wszystkim cukry proste, które wchłaniają się bardzo szybko, żeby równie szybko zniknąć. Energia pojawia się na krótko, a chwilę później następują senność, dekoncentracja, czasem rozdrażnienie. I, niestety, ochota na kolejną słodką przekąskę – dodaje Sylwia Wychowałek.

– W ramach obszernych badań przestudiowano wpływ reklamy na nawyki żywieniowe dzieci – uzupełnia Magdalena Bogusz. – Pokazały one, że wysoki odsetek reklam kierowanych do dzieci dotyczy cukierków,

**Dopiero pięciolatek jest zdolny odróżnić reklamę od innych audycji, ale nie potrafi rozpoznać jej rzeczywistego celu.**

**Dzieci wpływają na decyzje zakupowe aż 96% Polaków, z czego dwie trzecie deklaruje, że to wpływ silny lub bardzo silny.**

**Główny motyw wielu reklamowych przekazów to zabawa z rodziną czy wspólne jedzenie śniadania.**



eprasa.pl 3233531b64

fast foodów i przekąsek, a to przekłada się na większe spożycie tych produktów. Kilka analiz wykazało też ścisłe powiązanie między wzrostem liczby reklam niezdrowej żywności a wzrostem otyłości u dzieci.

– 20-30 lat temu zdarzało się jedno, może dwoje otyłych dzieci w szkole – zauważa Hanna Szewczyk. – Teraz to jedna, dwie, czasem trzy osoby w każdej klasie. A nie mówimy o nadwadze, tylko o wyraźnej otyłości.

Potwierdzają to również ustalenia NIK, które pokazują, że aż 22% dzieci badanych w roku szkolnym 2015/2016 miało nieprawidłową masę ciała. Odsetek ten od roku 2012 zwiększył się o 5 pkt proc. Z raportu Światowej Organizacji Zdrowia wynika z kolei, że w ciągu ostatnich 20 lat trzykrotnie wzrosła w Polsce liczba dzieci z nadwagą. „Polskie 11-latki są grubsze niż ich rówieśnicy w Europie i USA", alarmuje miesięcznik „Zdrowie".

Szkoły podstawowe realizują wprawdzie program edukacyjny dotyczący zrównoważonej diety, ale niewiele z tego wynika, jeśli natłok reklam łączy się z szeroką dostępnością niezdrowych przekąsek, chociażby w szkolnych automatach, których zawartość zależy od decyzji dyrekcji. „Skuteczność programów osłabiała m.in. dostępność niezdrowych produktów w części sklepików szkolnych czy też podawanie uczniom w szkole obiadów niejednokrotnie przekraczających normy żywienia dla dzieci i młodzieży", czytamy w raporcie NIK.

– U nas akurat nie sprzedaje się słodyczy, choć walka z panem obsługującym te automaty była dość trudna. Ale już w szkole mojej wnuczki można kupić ich dużo – przyświadcza nauczycielka.

## WSZECHOBECNOŚĆ

Granica reklamy zaciera się. Kodeks Etyki Reklamy wprawdzie zastrzega, że treść reklamowa musi być jako taka ogłoszona przez nadawcę, ale zdaniem Magdaleny Bogusz dopiero pięciolatek jest zdolny odróżnić reklamę od innych audycji, nie rozpoznając jednak jej rzeczywistego celu. Anna Maria Zawadzka i Małgorzata Niesiobędzka zwracają uwagę, że dzieci poniżej siedmiu lat rozumieją przekaz reklamowy wręcz literalnie. – Małe dzieci odbierają reklamę bardzo dosłownie – tłumaczy Sylwia Pawłowska. – Jeśli widzą, że ktoś dostaje np. deskorolkę, wsiada na nią i wykonuje różne manewry, to zakładają, że będzie ona działać dokładnie tak samo w ich przypadku. Wszystko to sprawia, że dziecko staje się idealnym obiektem manipulacji, a także środkiem dotarcia do rodziców.

Najbardziej oczywistym nośnikiem reklam są media i urządzenia elektroniczne. Ale nie tylko: logotypy firm, postacie z filmów Disneya czy zabawne stworki występujące w reklamie płatków śniadaniowych obecne są również na dziecięcych butach, ubraniach, książeczkach do nauki liczenia itd. „Już od pierwszych chwil życia wtłacza się dzieci w ramy kultury konsumpcji – gdy owijane są w kocyki z postaciami z bajek na licencji", czytamy w publikacji Zawadzkiej i Niesiobędzkiej.

Znanym reklamowym zabiegiem jest odwołanie się do rodzicielskiego autorytetu („Mama wie, co dobre").

Zakwestionowana przez UOKiK reklama Magmisiów sugerowała, że podanie żelków zlikwiduje problemy dziecka z koncentracją czy rozdrażnieniem i poprawi aktywność fizyczną.

Wkraczanie w wiek nastoletni wiąże się teoretycznie z większą nieufnością i krytycyzmem. Jednak, jak wyjaśniał dr Paweł Wójcik w rozmowie w Joanną Solską, nawet na nastolatki są sposoby: – Charakterystyczną cechą nowszych działań marketingowych staje się interaktywność, angażowanie konsumenta. Chodzi o takie zabiegi, które uruchamiają mechanizmy związane z dynamiką społeczną, poczuciem przynależności, rywalizacji.

W przypadku kilkuletnich dzieci będą one polegać głównie na kolekcjonowaniu. Strategie stosowane wobec nastolatków kładą nacisk na szansę zdobycia popularności, sprawdzenia się na tle innych. Furorę robią kampanie, w których ogłasza się np. konkurs na spot reklamowy. W jednej z nich zwycięski filmik miał zostać wyświetlony w amerykańskiej telewizji w czasie najwyższej oglądalności. – Nastolatki to uwielbiają – podsumowuje Sylwia Pawłowska. – Zaistnienie w przestrzeni internetowej jest dla nich niezwykle nagradzające.

Badania wykazały ścisłe powiązanie między wzrostem liczby reklam niezdrowej żywności a odsetkiem otyłości u dzieci.

Prawdziwym oceanem marketingu stał się jednak internet. Pokazuje to opracowanie Centrum Badania

FOT. FOTOLIA, YOUTUBE



eprasa.pl 3233531b64

Opinii Społecznej „Polacy w sieci", z którego wynika, że niemal połowa (45%) dzieci korzysta z internetu codziennie lub prawie codziennie. Co więcej, o ile czas trwania i pora wyświetlania telewizyjnych spotów podlegają kontroli Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, o tyle reklam internetowych nikt nie nadzoruje. Tymczasem na YouTube obok „ustawowych" reklam i programów dla dzieci znaleźć można np. 15-, 30-, a nawet 45-minutowe filmiki, które teoretycznie pokazują jakąś zabawę, faktycznie jednak są reklamą.

Do nastolatków natomiast trafia się za pośrednictwem tzw. influencerów – celebrytów i blogerów, którzy, używając określonych produktów, są *de facto* ambasadorami ich marki. – Bloger nie musi nawet wspominać nazwy danego produktu – mówi dr Paweł Wójcik. – Wystarczy, że podczas krótkiego filmiku na YouTubie napije się określonego napoju albo będzie nosił bluzę określonego producenta.

Przekaz kierowany do nastolatków opiera się zatem na mechanizmie identyfikacji, tak ważnym dla okresu dorastania – o ile nastolatek neguje oficjalne autorytety, o tyle bloger, deklarujący często podobny stosunek do „systemu" i będący w zbliżonym wieku, budzi jego zaufanie.

**Dzieci poniżej siedmiu lat rozumieją przekaz reklamowy dosłownie.**

– Rzeczywiście następuje zatarcie granic pomiędzy treścią redakcyjną a reklamową – stwierdza Zbigniew Gajewski, prezes Związku Stowarzyszeń Rada Reklamy. – Ale Komisja Etyki Reklamy reaguje na skargi i w tej sprawie. Nawet jeśli reklamodawca twierdzi, że oceniany przekaz nie jest reklamą, i tak podlega ocenie KER, która może uznać treść za reklamową.

Kilka lat temu skandal wywołały telewizyjne reklamy środków odchudzających, wyświetlane na zmianę ze spotami reklamującymi wysoko przetworzone produkty dla dzieci. Protesty wzbudziły też internetowe reklamy rajstop dziecięcych, pokazujące kilkuletnie dziewczynki wystylizowane na wampa, z przesadnym makijażem. Inna skarga dotyczyła reklamy prezerwatyw Skyn wyświetlanej w internecie bezpośrednio przed bajką dla dzieci. We wszystkich tych przypadkach Komisja Etyki Reklamy uznała spoty za naruszające normy obyczajowe i zagrażające rozwojowi dziecka.

Rzecz jednak w tym, że komisja nie może wymusić na twórcach spotów ich usunięcia lub modyfikacji. – My nawet nie próbujemy udawać, że jesteśmy instytucją prawną – mówi Zbigniew Gajewski. – Nasza działalność skupia się wyłącznie na etycznej ocenie reklam komercyjnych.

Niezależnie od tego, jak restrykcyjne będą zalecane standardy reklam dla dzieci, trudno kontrolować przekaz zawoalowany. Współczesnego kilkulatka bombardują różnorodne formy ukrytej perswazji, wobec których jest bezradny. Pytanie, czy w tej sytuacji utrzymanie standardów etycznych jakichkolwiek treści reklamowych adresowanych do dzieci jest w ogóle możliwe. Czy nie powinno się po prostu zabronić adresowania reklam do dzieci?

*Katarzyna Wierzbicka*

eprasa.pl 3233531b64

Z Galicji

Jan Widacki

# MURZYŃSKOŚĆ

Murzyńskość to termin wprowadzony do publicznego obiegu przez Radosława Sikorskiego w czasie jednej ze słynnych debat u Sowy i Przyjaciół. Ostatnio ten termin wypełnił się nową treścią. Stało się to w czasie pielgrzymki prezydenta Dudy do Waszyngtonu. Łaszący się bezskutecznie do Trumpa polski prezydent został upokorzony przy podpisywaniu porozumienia, gdy dopuszczono go do skrawka biurka amerykańskiego prezydenta i pozwolono podpisywać na stojąco, podczas gdy Donald Trump siedział przy biurku rozparty w swoim fotelu.

Nie było to jakieś niedopatrzenie czy wynik nieporozumienia. W dyplomacji nie ma aż takich przypadków. W ten sposób egocentryczny, bufonowaty Trump pokazał, że polskiego prezydenta traktuje jako mało ważnego petenta.

Minister spraw zagranicznych Jacek Czaputowicz niezręcznie tłumaczył, że już dopuszczenie do tego, by ktoś dotknął biurka prezydenta Stanów Zjednoczonych, jest zaszczytem. I dostąpił go Andrzej Duda. Naprawdę? To taki zaszczyt dla prezydenta dumnego narodu, co to właśnie wstał z kolan?

Wolę już dowcipny w założeniach komentarz ministra Szczerskiego, który zażartował sobie, że tylu ludzi domaga się, by prezydent siedział, więc on na przekór im stał przy podpisywaniu porozumienia z Trumpem. Dowcip taki sobie, z gatunku resortowego poczucia humoru i kto wie, czy ostatecznie nie dwuznaczny? Że niby jak? Jak w Polsce będzie siedział, to w Ameryce przynajmniej postoi? Miało być dowcipnie, wyszło nie bardzo lojalnie. Ministra Szczerskiego kłopot.

Media rządowe przedstawiły wizytę (pielgrzymkę?) jako wielki sukces pisowskiej polityki zagranicznej. Jakie są jej efekty? Trump powiedział, że Polacy są wielkim narodem. Czy z tego coś wynika? O wizach dla obywateli polskich nawet się nie zająknął. Jakoś administracja amerykańska nie chce wpuszczać do swojego kraju przedstawicieli tego „wielkiego narodu". Może wolą mniejsze?

Bez takiej oceny Trumpa bylibyśmy narodem mniejszym? Coś z tej naszej wielkości wynika? Co sam Trump gotów jest zrobić dla tego „wielkiego narodu"? Gotów jest sprzedawać temu „wielkiemu narodowi" gaz (droższy od rosyjskiego). Myślę, że po tej cenie gotów byłby sprzedawać także narodom mniejszym. Byleby chciały kupić i miały czym płacić. Nawiasem mówiąc, wtedy gdy polski prezydent pielgrzymował do USA, jego węgierski przyjaciel Orbán akurat pojechał do Rosji i spotkał się z Putinem. Od niego będzie nadal kupował tańszy, rosyjski gaz. Amerykańskiego, zdaje się, nie chce.

Chciał też prezydent Duda, aby Trump obiecał, że przyśle nam na stałe – a nie tylko rotacyjnie, jak dotąd – choćby batalionik żołnierzy. Trump nic konkretnego nie obiecał. Nie pomogły zaklęcia, że baza amerykańska w Polsce będzie się nazywać Fort Trump. Trump gładko pochlebstwo przełknął, ale zapełnić żołnierzami bazy swego imienia nie obiecał. Nawet nie zrewanżował się obietnicą, że w czasie najbliższych ćwiczeń gdzieś w Nevadzie czy Arizonie pierwszy wykonany przez amerykańskiego żołnierza okop nazwie Okopem Dudy. A przecież mógł. Co by mu to szkodziło?

Okazało się, że ów mityczny Fort Trump gotowi jesteśmy (no my, podatnicy!) zapełnić amerykańskimi żołnierzami za miliardy dolarów rocznie. Czyli mielibyśmy sobie wynająć za słoną cenę ochronę amerykańskich żołnierzy. Krótko mówiąc, w Forcie Trump byliby tacy ni to ochroniarze wynajęci do ochrony, ni to wojska najemne. Trump, który wielokrotnie publicznie kwestionował nakaz wynikający z art. 5 traktatu NATO, miałby się wykręcić z wynikających z tego artykułu zobowiązań jakimś batalionem zakwaterowanym w polskim Fort Trump i jeszcze zarabiać na tym dużą kasę. Może to i dobry interes dla Ameryki. Ale dla nas?

Obsesyjne dążenie do tego, by w Polsce stacjonował na stałe oddział (a choćby pododdział) żołnierzy amerykańskich, świadczy o tym, że tak naprawę sami nie wierzymy, że USA dotrzymają zobowiązań wynikających z art. 5 i dopiero, jeśli ich żołnierze zostaną zaatakowani na polskim terytorium, to ruszą nam (im?) z pomocą. To może zamiast kupować sobie za miliardy ochronę w USA i sprowadzać stamtąd wojska najemne, lepiej przekonywać ich prezydenta, aby jednak zechciał poważnie traktować pakt NATO. Przekonywać byłoby zapewne łatwiej, gdybyśmy to robili wspólnie z całą Unią Europejską. Ale z Unią jesteśmy skłóceni, a na skutek własnej postawy zmarginalizowani. Razem z Unią przekonywać nie jesteśmy w stanie.

Trump może powiedzieć kilka komplementów Polsce i Polakom. To nic nie kosztuje. Poza tym Polska liczy się dla niego tylko na tyle, na ile jest lub może być dla firm amerykańskich rynkiem zbytu: drogiego gazu, drogiego i nie zawsze sprawnego uzbrojenia. Ameryka nie prowadzi polityki, kierując się sentymentami, tylko interesami. Pamięć Kościuszki czy Pułaskiego, najszczersze nawet, a nie tylko udawane, uznanie dla polskiego wkładu w rozmontowanie komunizmu nie mają najmniejszego wpływu na politykę tego supermocarstwa.

Ameryka potrzebuje też Polski do drażnienia Rosji, ale w ostatecznym rachunku i tak z Rosją musi się dogadać, i prędzej czy później to nastąpi. Prawdziwe interesy amerykańskie lokują się teraz głównie w Azji i na Bliskim Wschodzie, nie w Europie Środkowej. Rosja potrzebna jest Ameryce w walce z terroryzmem islamskim. Potrzebna jest też jako przeciwwaga dla Chin. Tego kierunku amerykańskiej polityki nie zmienią żadne przymilania się przywódców z Europy Środkowej, żadne forty Trumpa wypełnione żołnierzami najętymi za miliardy dolarów.

**Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl**



eprasa.pl 3233531b64

# ZAKOPIAŃSKIE POLE CUDÓW

Pod Tatrami jak grzyby po deszczu wyrastają „obiekty pensjonatowe". Większość to po prostu apartamenty na sprzedaż

Paweł Grocholski

Są profesjonalni i eleganccy, także bardzo uprzejmi. Twierdzą, że w Zakopanem ceny nieruchomości będą stale rosły, a inwestycja w apartament lub hotel przyniesie pewny zysk – od 7 do 10% w skali roku. Co się kryje za słowami o „inwestycjach z klasą" w „urzekające pięknem" obiekty?

„Przygotowaliśmy dla Państwa ofertę inwestycji w nieruchomości, która daje możliwość posiadania własnego luksusowego apartamentu, a jednocześnie czerpania korzyści finansowych z wynajmu. Potencjał wzrostu wartości posiada szczególnie Zakopane, które prężnie się rozwija. Popyt na wynajem w górach utrzymuje się przez cały rok, co powoduje, że ceny wynajmu utrzymują się na wysokim wzrastającym poziomie, co zapewnia szybki zwrot z inwestycji", czytam w ogłoszeniu na stronie internetowej Otodom.

## MAŁYCH NIE FINANSUJEMY

Najpierw przykład inwestycji na małą skalę. Mieszkanka Zakopanego chce przenieść i zrekonstruować XIX-wieczny góralski dom. Stworzy w ten sposób miejsca noclegowe dla dwóch osób lub rodziny z dziećmi. Dzwoni do banku z pytaniem o kredyt hipoteczny. Reakcja pracownika jest entuzjastyczna. – Dom w Zakopanem na wynajem? To pewna inwestycja, dostanie pani kredyt, nie ma najmniejszego problemu.

Ale problemy pojawiają się już po chwili. – Co? Tak mało metrów i taki niski kredyt? Małych nie finansujemy – kończy rozmowę przedstawiciel banku.

Tymczasem po tym, jak wiosną 2017 r. w Zakopanem zniknęły stare drzewa, niemal na każdej ulicy wyrastają „obiekty pensjonatowe". Część nigdy nie będzie pensjonatami, to po prostu apartamenty na sprzedaż. Oszustwo widać od razu, bo jeszcze zanim ruszy budowa, zaczyna się sprzedaż mieszkań. Ale „obiekty pensjonatowe" mogą być większe. Zajmują więc niemal całe działki, a przepis wymagający, by część terenu pozostała zielona („biologicznie czynna"), inwestorzy omijają, budując parkingi z płyt ażurowych.

W miejscu wysmakowanych zakopiańskich willi wyrastają kilkupiętrowe apartamentowce.

## Z ZACHOWANIEM ELEGANCKIEJ PROSTOTY

Znikają przy tym zabytkowe zakopiańskie wille. Fotografuję zgliszcza jednej z nich. Po drugiej stronie ulicy żołądkuje się jakiś zażywny, łysawy mężczyzna. Budynek, z którego prawdopodobnie wyszedł, stoi w miejscu Płazówki, drewnianego domu Stanisława Płazy, znanego zakopiańskiego pediatry. Po śmierci doktora, mimo protestów mieszkańców Zakopanego, ale dzięki zgodzie wydanej przez Janusza Majchra, ówczesnego burmistrza, nowi właściciele rozebrali Płazówkę i postawili murowany budynek przyozdobiony falistymi daszkami pokrytymi czymś czarnym, udającym gont. Najpierw zniknął postawiony z dbałością o każdy detal dom z bali, potem otaczające go drzewa. W następnej fazie pojawiła się dziura w ziemi, w końcu stanął „obiekt pensjonatowy" tak rozłożysty, że zabrakło miejsca na ogród. Oddajmy jednak sprawiedliwość inwestorom: w północno-zachodnim sektorze działki, 50 m od tyłów zakładu pogrzebowego Charon, pozostawili trawnik, na którym zmieściły się trampolina dla dzieci, dwie ławeczki oraz stolik dla rodziców lub gości.

Na stronie internetowej nowego obiektu nazywającego się willą czytamy: „Architektura nawiązuje do stylu zakopiańskiego. Wnętrza są urządzone elegancko, z zachowaniem prostoty oraz funkcjonalności, co pozwala na idealny wypoczynek". Protesty mieszkańców przeciw likwidacji Płazówki i otaczającej ją zieleni



eprasa.pl 3233531b64

inwestor określa mianem nagonki. Przytoczenie opinii historyka sztuki o tym, co ta „willa" ma wspólnego ze stylem zakopiańskim, byłoby najpewniej elementem kampanii nienawiści, powstrzymam się więc od tego.

Okrągły pan z narażeniem życia przeskoczył już w miejscu niedozwolonym ruchliwą ulicę Nowotarską i w niewybrednych słowach żąda, abym przestał fotografować. Zachowuje się, jakby chciał mnie pobić, ale utrzymuję bezpieczny dystans i mówię: – To przecież zabytek, mogę fotografować zabytki.

Mężczyzna wybucha okraszoną wulgaryzmami przemową o bezdomnych podpalających domy. I spontanicznie tłumaczy się, że on przecież nie może bez przerwy pilnować i nie wie, kto i kiedy tam wchodzi. Bandy podpalaczy to rzeczywiście trapiąca Zakopane plaga, ale nie spotkałem jeszcze osoby, która wierzyłaby w ich bezdomność.

Podobnym strachem reagują przedstawiciele lokalnych samorządów. Najpierw deklarują, że nie chcą, by Zakopane stało się terenem nieuczciwych i przeskalowanych inwestycji, następnie powtarzają, że nie mogą odpowiadać za błędy poprzedniej ekipy, aż w końcu z lękiem mówią: – Oni wytoczą nam procesy i przegramy.

Na szczęście, kiedy piastujący wysokie stanowiska mężczyźni boją się, głos zabierają kobiety. Beata opowiada o swoim przypadku. – „Mój" deweloper był bardzo miły, własnoręcznie chciał kosić trawę, ale chociaż jestem bezpośrednią sąsiadką inwestycji, nie zostałam wpisana jako strona. Musiałam się wybrać do starostwa, wtedy się dowiedziałam, że mój drewniany dom wpisali jako murowany, bo odległość od murowanego może być mniejsza. Zaprotestowałam w urzędzie, a inwestor od razu o tym się dowiedział i przyszedł, strasząc mnie, że ściągnę na siebie kłopoty, hordy ekspertów, którzy będą chodzić po moim domu i oceniać, czy jest drewniany. „A niech sobie chodzą", odpowiedziałam i pan deweloper przestał być tak niezwykle uprzejmy.

Podobnie brzmi opowieść Kingi. Deweloper mówi: „Ja nie przyszedłem burzyć, ja przychodzę, żeby budować. Dzięki mnie zyska cała dzielnica, dzięki mnie skorzystają wszyscy". Tak jak w przypadku Beaty deweloper natychmiast się dowiedział, że Kinga poszła do starostwa obejrzeć projekt inwestycji. I już nie był miły: – Niech pani nie próbuje powstrzymać mojej inwestycji, bo i tak jest to niemożliwe, a przeszkadzając mi, może pani tego pożałować. Bo wie pani, można prowadzić budowę tak i tak, cicho lub głośno... Mogę też zatrudnić moich prawników, niech siedzą i myślą, jak utrudnić pani życie.

Kinga reaguje przytomnie i odważnie: – W jakim sensie pożałuję? Co, podpalisz mi dom?

Deweloper zmienia ton i wraca do okrągłych formułek o świetlanej przyszłości i niewątpliwym zysku dla wszystkich. Tymczasem chce zburzyć stojący w rozległym ogrodzie drewniany domek i wyciąć niemal wszystkie drzewa. Jego celem są wielokondygnacyjne obiekty pensjonatowe z podziemnymi parkingami.

## Z DRUGIEJ STRONY

Marek Grocholski wspomina takie zdarzenie: październik, wieje halny, naprzeciwko nowej inwestycji stoi starszy, szpakowaty pan. Nie jest deweloperem, tylko wykonawcą, właścicielem firmy budowlanej. Panowie się znają. – Nie podoba ci się, co? – Tak, postawiłeś koszmarek – odpowiada Grocholski. – Przynajmniej nie klepię biedy jak ty – uśmiecha się smutno właściciel firmy.

Rozmawiam z kobietą, która odniosła tzw. materialny sukces, potem uwierzyła w opowieść o „stałym wzroście cen nieruchomości" i licząc na 8% zysku w skali roku, kupiła apartament w Zakopanem. Minęła dekada i jej zakopiańskie mieszkanie jest mniej warte niż kredyt, który musi spłacać. – Gdybym trochę się postarała, mogłabym wynajmować turystom, tu wszyscy tak robią, ale wtedy nie mogłabym przyjeżdżać na weekendy.

Jedziemy razem na Słowację szukać górskiej ciszy, bo pani jest już zmęczona tłumem. Lubi stare wille w ogrodach, słucha z zachwytem mojego opowiadania o kunszcie góralskich cieśli. Jest wstrząśnięta losem Turni – od lat dewastowanej przez właściciela zabytkowej willi, ale inwestując w apartament, przyczyniła się do wycięcia kilkunastu starych drzew, wzbogacenia się dewelopera i zniszczenia skrawka Zakopanego, straciła też na tym pieniądze. Patrzę na nią z boku: chude palce zaciśnięte na kierownicy, siwiejące blond włosy i długi nos. I już wiem, moja klientka przypomina mi Pinokia, który uwierzył, że jeśli zakopie na Polu Cudów złotą monetę, to wyrośnie z niej drzewko rodzące wiele złotych monet. Wierzyła w górski spokój i wspaniały widok, a trafiła w środek ula pełnego nieczystych interesów.

Ze względu na bezpieczeństwo rozmówców zmieniłem ich imiona i zaciemniłem szczegóły pozwalające na rozpoznanie miejsc. Zastraszanie osób, które nie chcą inwestycji, przybiera formę od bandyckich pogróżek wypowiadanych tak, żeby nie było świadków i dowodów, do grożenia sztabem prawników i niezwykłymi wręcz możliwościami wpływów. ■

**Oszustwo widać od razu, bo jeszcze zanim ruszy budowa „pensjonatu", zaczyna się sprzedaż mieszkań.**

W ciągu następnych miesięcy „z zachowaniem eleganckiej prostoty" obok opisanych zgliszczy dyskretnie, po jednym znikają stare i młode drzewa, nikną też krzewy i pozostałości domu. Góra odpadów przykryła miejsce, gdzie zwykle wiosną kwitły krokusy. Najbardziej żal mi wiekowego jawora. Nie popadajmy jednak w sentymentalizm, bo dzięki tym pracom porządkowym mieszkańcom nowej Płazówki już nic zielonego nie będzie zakłócało odpoczynku pod Tatrami. A na wyczyszczonej działce wkrótce rozłoży się solidny murowany obiekt nawiązujący stylem do...

## DOM DREWNIANY JAK MUROWANY

Rozmawiam z jednym z mieszkańców. Temat inwestycji deweloperskich zna od podszewki. Opowiada mi o stosowanych przez inwestorów sposobach na działanie w granicach prawa. Pokazuje też miejsca, gdzie prawo ewidentnie zostało złamane. Ale kiedy mówię, że chciałbym go zacytować, zaklina: – Nic nie pisz, zniszczą mnie i będę musiał uciekać z Zakopanego, a tego miasta i tak nie uratujesz.

FOT. PAWEŁ GROCHOLSKI



eprasa.pl 3233531b64

# NASZA PIĘKNA, BEZSILNA EUROPA

Wstrząs, który spowodowało wejście kilku milionów imigrantów, nie będzie zmianą lokalną. To się nie rozejdzie po kościach

Rozmawia Robert Walenciak

**Czy czuje pan, że zmienia się atmosfera? Studenci są inni niż 10 lat temu?**

– Oczywiście, że inni! Kiedy kończyłem studia w 1973 r., nie było lęku, który teraz im towarzyszy. Była pewność zatrudnienia. Natomiast teraz jest niepewność. I takie zawężenie życia, sprowadzenie go do balowania i walki o przetrwanie. Wieloosobowe, wynajmowane mieszkania, wspólnie, za jakieś grosze. I gonitwa, żeby złapać jakąś robotę, najczęściej dorywczą, chwilową. Co oczywiście wpływa na ich sposób myślenia o całej reszcie życia. Strona publiczna wydaje im się bardzo odległa od ich dotkliwego doświadczenia osobistego. Dlatego dla mnie jednym z większych zdziwień Polską było to, co się zdarzyło w zeszłym roku w lipcu, te młodzieżowe protesty w sprawie wolnych sądów. To absolutnie nie zgadzało się z moim rozpoznaniem ducha i stylu życia młodzieży studenckiej, z którą mam do czynienia. Ona jest raczej wycofana. Politykę traktuje pogardliwie, jako coś paskudnego, brudnego. Na zasadzie, że w ogóle nie warto tym się zajmować. Natomiast wtedy, w obronie sądów, pojawiły się tłumy młodych ludzi, którzy właściwie wystąpili w obronie abstrakcji, jakichś inteligenckich fanaberii. A to były dziesiątki tysięcy ludzi. Młodych. Mimo że były wakacje. To mi uświadomiło, że w tym pokoleniu następuje jakaś zmiana. Do tej pory rozpoznawałem je raczej jako grupę ciężko poparzoną przez umacniający się kapitalizm.

**Jeżeli większość ich czasu zajmuje walka o byt, trudno się spodziewać, by budowali świadomie ścieżkę swojej kariery.**

– Często się spotykam z taką wypowiedzią: Ja niczego nie odkładam, nie oszczędzam, bo i tak nie będę miał żadnej emerytury. To ich sposób myślenia o przyszłości. Przekonanie, że na dorywczym będą do końca życia. Ale oni są podatni na propozycje typu: poprzecie nas, to was uszczęśliwimy. Część studentów i doktorantów bardzo dobrze przyjęła reformę Gowina.

**Dlaczego?**

– Sytuacja materialna doktorantów na uczelniach nie była dobra. Dostawali symboliczne stypendia, a połączenie pisania doktoratu z pracą zawodową udaje się w jednym przypadku na dziesięć. Tymczasem teraz PiS chce im dać spore „pensje" doktoranckie, więc już trochę inaczej patrzą na władzę. Z drugiej strony – przecież od tego jest państwo! Pomoc dla rozwijającej się młodzieży to chyba jeden z jego obowiązków.

## W CIENIU PIŁSUDSKIEGO

**A my zapomnieliśmy, w tym galopie po roku 1989, jak to państwo powinno wyglądać, jakie powinno mieć obowiązki.**

– Nie prowadzę tej rozmowy w kierunku ani samobiczowania, ani oskarżania. Raczej widzę splot konieczności, w jakich działały kolejne rządy, które po prostu nie miały żadnego innego ruchu.

**Bo były w niewoli oczekiwań większości? I nie mogły tej większości się przeciwstawić?**

– W tej chwili sytuacja jest trochę podobna. W przypadku dużej części Polaków propozycja pisowska całkowicie się zgadza i z ich strukturą emocjonalną, i z ich postawą religijną, i z nastawieniem socjalnym.

**A ten pojawiający się brutalny język – też się podoba? Tego przecież nie było!**

– Ach! Pan wierzy w mit jakiegoś złotego wieku parlamentarnej polszczyzny. Zajmowałem się przez pewien czas kulturą polityczną 20-lecia międzywojennego. To, co się dzieje w tej chwili w Polsce w sferze języka politycznego, jest kaszką z mlekiem w porównaniu z tym, co się wówczas działo. Prasa endecka tamtego czasu. Prasa katolicka, która posługiwała się językiem jawnego antysemityzmu, brutalnego, bezwzględnego. Ze wskazywaniem osób po nazwisku! No tak, czepiają się wciąż Michnika, jednak nie ma tego impetu i takiej bezwzględności jak wtedy.

**Więc te ataki, ten język, to nic nowego?**

– Proszę pana, jakby pan poczytał sobie stenogramy obrad Sejmu po maju 1926 r., to, co Piłsudski robił, jak się zwracał do posłów! Nawet te „zdradzieckie mordy", które usłyszeliśmy, to drobiazg w porównaniu z tym, co on wyprawiał z polskim Sejmem i polską opozycją.

**A PiS to się podoba. Taki Piłsudski.**

– Z PiS jest ten problem, że to hybryda polityczna. Bardzo trudna do zdefiniowania, słyszałem rozmaite tego próby. Ja mam swoją definicję – prawicowo-kapitalistyczna lewica katolicka. Coś w tym rodzaju. Niech pan

Mam swoją definicję PiS – to prawicowo-kapitalistyczna lewica katolicka.

**STEFAN CHWIN**

– (ur. w 1949 r.) pisarz, eseista, historyk literatury, profesor Uniwersytetu Gdańskiego. Członek Rady Języka Polskiego. Ma w dorobku takie tytuły jak „Hanemann" (1995), „Esther" (1999), „Dziennik dla dorosłych" (2008), „Samobójstwo jako doświadczenie wyobraźni" (2010), „Panna Ferbelin" (2011), „Miłosz. Interpretacje i świadectwa" (2012), „Zwodnicze piękno" (2016), „Srebrzysko. Powieść dla dorosłych" (2016).



eprasa.pl 3233531b64

zobaczy, jak oni sprytnie wykorzystują nastroje antysemickie na radykalnej prawicy. Bo główna linia jest taka, że PiS absolutnie potępia antysemityzm. W tym sensie to jest podobne do Piłsudskiego, który ekscesy endeckie hamował. Z jednej strony, jego dyktatura była prawdziwą dyktaturą. Z drugiej jednak, uważał, że trzeba zachować jakąś formę parlamentaryzmu. Owszem, osłabił znaczenie Sejmu jako przestrzeni dyskusji politycznej – to mamy też w tej chwili – ale stał na stanowisku, że Polska powinna być konstelacją mniejszości narodowych, religijnych i politycznych. Nie był obsesjonatem rasowo-kulturowej czystki. PiS również się nie posuwa tak daleko, chociaż sprawa ustawy o IPN nie wygląda najlepiej. Mamy znów do czynienia ze strategią poruszania się na granicy. Trochę się przechylimy w jedną stronę, trochę w drugą. Ale nigdy – jednoznacznie. Otwieramy sobie pole.

**Ale gdzie tu lewicowa noga? 500+?**

– Nie mam nic przeciwko polityce socjalnej PiS. Uważam, że wielkim błędem lewicy było, że pozwoliła wyjąć to sobie z rąk. SLD powinien działać podobnie, kiedy sprawował władzę. I dziś Polska byłaby trochę jak dobrze zorganizowana, socjaldemokratyczna republika, taka, jaką dzisiaj są Niemcy. Dlaczego lewica tego nie zrobiła? Odpowiem panu – bo nie mogła.

## W NIEWOLI OKOLICZNOŚCI

**Nie miała takich pieniędzy, jakie ma dzisiaj PiS.**

– Ale też okoliczności polityczne były takie, że nie mogła tego zrobić. Lewica została po roku 1989 postawiona w paradoksalnej sytuacji – historia powierzyła jej restaurację kapitalizmu w Polsce. Należało to zrobić, bo naród chciał! A jak się robiło restaurację kapitalizmu, to oczywiście państwo opiekuńcze trzeba było odłożyć na bok.

**Musieli też przeciągnąć Polskę na Zachód.**

– I to zrobili. Znaleźli się w klinczu politycznym. Nawet gdyby mieli dobre chęci i próbowali robić coś takiego, to w tym momencie nastąpiłoby zahamowanie restauracji gospodarki wolnorynkowej, którą w Polsce instalowali. Nie mieli więc wyjścia. Tak samo jak nie mogli powiedzieć: nie wejdziemy do NATO! W tamtej sytuacji nastroje społeczne były takie, że to było absolutnie niemożliwe. W tych punktach SLD postępował zgodnie z oczekiwaniami polskiego społeczeństwa, nie łamał żadnych sumień. Ale teraz zbiera baty.

**Za brak socjalnej nogi…**

– Platforma też powinna to zrobić. A teraz wszystko zostało wyjęte z rąk.

**Platforma mówiła, że jest blisko socjaldemokracji. Tusk zarzekał się, że mogą go nazywać Gierkiem, to nie jest dla niego obraza.**

– To nie byłoby głupie. To, co robi PiS w sferze społecznej, socjalnej, jest sensowne. I gdyby do tego się ograniczyło... Absurdalna jest obsesja ideologiczna, która ich zżera.

**Szczucie na innych, szukanie wroga za wszelką cenę.**

– A pamięta pan szczucie na moherowe berety?

**To było raczej podśmiewanie się niż szczucie.**

– Może było słabsze, ale intencja była podobna. Te niby-żarty: zabierz babci dowód! Oczywiście, że szczucie to co innego. I rzeczywiście SLD tego nie robił, Platforma też nie.

**Czym to może się skończyć?**

– Teraz zbliżamy się do takiej fazy naszej rozmowy, że pan mnie zachęca, bym wystąpił w roli proroka. Bardzo tego nie lubię, bo wszystkie proroctwa są psu na budę. Ale nie wydaje mi się, żeby w krótkim czasie nastąpiła jakaś zmiana obecnej sytuacji. Nie widzę okoliczności, które by doprowadziły do ewolucji stanowisk, poglądów czy uczuć. Bo tu uczucia odgrywają główną rolę. Tych 7 mln Polaków popierających PiS. Żeby coś się zmieniło, 2 mln powinny przejść na stronę liberalno-demokratyczną. Mało to jednak prawdopodobne. Jak przekonać te 2 mln, żeby zagłosowały na opcję przeciwną? Paradoks polega na tym, że PiS jest partią, która ma chyba największe poparcie w dziejach Polski po roku 1989. I to cały czas się utrzymuje.

> Czując się członkiem plemienia, stoimy naprzeciwko innego plemienia. Nie widzimy konkretnych twarzy.

## NIEMCY I TRZĘSIENIE ZIEMI

**Pokazuje pan w książkach Polaków i Niemców, ich zetknięcie się, jedni**

FOT. WIKIPEDIA



eprasa.pl 3233531b64

**w Gdańsku jeszcze mieszkają, drudzy przychodzą jako zwycięzcy. I proponuje pan uczciwą rozmowę między dwoma narodami. A narracja PiS całkowicie to rujnuje. Tu nie ma miejsca na wzajemne odkrywanie się, próbę zrozumienia. Jest siekiera – Niemcy to wróg. Takie czasy?**

– Ma pan rację, ten sposób myślenia, który się pojawia w moich książkach, jest dosyć daleki od tego, z czym mamy teraz do czynienia. Bo dziś wykorzystywane są złoża plemienne ludzkiej duszy. One są bardzo silne. I okazują się bardzo skuteczne jako narzędzie prowadzenia polityki. A ja, jeśli pisałem moje książki, to również z myślą o tym, że duch Niemiec będzie inny. Że ta zmiana naszego myślenia znajdzie odpowiedź po stronie niemieckiej. Bo jeśli jest jednostronna, to jest pozbawiona sensu. I może nawet niebezpieczna.

Mówią mi moi niemieccy znajomi, że w najbliższych wyborach do Parlamentu Europejskiego może dojść do poważnych przesunięć politycznych w Niemczech i w innych krajach. I pojawi się sytuacja dla pisarza pasjonująca, kiedy np. PiS będzie rządziło w Polsce, a w Niemczech obejmie władzę jego tamtejszy odpowiednik! I obie partie będą krzyczały: Powstańmy z kolan! I będą prowadziły podobną politykę historyczną oraz imigracyjną. A jeszcze będą w Europie inne państwa myślące w podobny sposób. To mi trochę przypomina sytuację sprzed I wojny światowej.

**Sprzed I wojny?**

– Tak! Kiedy narody prężyły się, by odzyskać i umocnić swoją tożsamość i pozycję. Ta polityka powstawania z kolan prowadziła prosto do 1914 r.

## TO NIE ROZEJDZIE SIĘ PO KOŚCIACH

**W relacjach z tamtego czasu uderza mnie jedno – ta radość, że wreszcie jest wojna!**

– Że rozstrzygnie się wszystko! Że wynurzymy się z błota! Czy z dzisiejszych zaburzeń będzie wojna, czy nie, nie wiem. Ale czuję, że atmosfera w Europie i na świecie gęstnieje. I bardzo się niepokoję tym, że ten wstrząs, który spowodowało wejście kilku milionów imigrantów, nie będzie zmianą lokalną. Jeśli ktoś liczy, że to się rozejdzie po kościach – ma złudzenia. Przecież z tymi ludźmi coś trzeba zrobić. Można ich trzymać w obozach dla uchodźców i trzyma się ich tam. Taka strategia izolowanej bańki. Mamy tam ich, dajemy im jeść, oni uczą się języków. Ale w końcu stamtąd wyjdą! I nastąpią konflikty społeczne, problemy na rynku pracy. Dlatego jeśli myślę o tym, co się u nas dzieje, myślę też, na jakim dzieje się to tle.

**Że Niemcy się zmieniają, przechylają się ku skrajnej prawicy.**

– Ciekawe, jak PiS sobie poradzi z narodowo-konserwatywnymi Niemcami, które zechcą naprawdę powstać z kolan. Przecież dla niego interesem jest właśnie, żeby rządziła Merkel, chociaż mocno jej nie lubi.

**Kaczyński to mówi.**

– On mówi tylko, że to sprzeczne z jego polityką. Marzy o Europie ojczyzn, ale już pewnie rozumie, że dla Polski Europa ojczyzn wcale nie byłaby taka korzystna. Znacznie korzystniejsza jest ta miękko socjaldemokratyczno-liberalna. Bo ona jest bezsilna, ona nic nam nie zrobi. Ale jeśli tam dojdą do władzy potężne, nacjonalistyczne moce, to dopiero mogą nam przyłożyć!

**Czyli partie w pisowskim stylu… A on mówi, że jest za Merkel, ale robi wszystko, żeby ją osłabić.**

– Bo jest niewolnikiem swojego elektoratu. I aparatu partyjnego, w którym nastroje antyniemieckie są silne. Nie może więc wszystkiego. O, nie! Cały czas wsłuchuje się w nastroje. Mówi: *Vox populi, vox Dei.*

**Tylko że lud raz chce jedno, a za jakiś czas drugie.**

– Bo zmieniają się okoliczności. W tym przypadku główną przyczyną zmian w Europie będzie inwazja imigrancka. Ona tak samo dotyczy nas. Bo w bardzo poważnym stopniu pomogła zwyciężyć PiS. Przecież na tej nucie była robiona kampania wyborcza. Pokazywano tych strasznych ludzi, którzy przeskakują przez ogrodzenia z drutu kolczastego. Wołano: My was przed nimi obronimy! I PiS na tę melodię nadal będzie grało. Nie zrezygnuje z tej karty, bo to karta skuteczna.

**Czyli straszymy…**

– Wcale nie straszymy! Po prostu opisujemy rzeczywistość, siedząc so-

Wielkim błędem lewicy było to, że pozwoliła wyjąć sobie z rąk politykę socjalną. SLD powinien działać podobnie, kiedy sprawował władzę.

**Administrowania ludźmi.**

– Polityka polega na tym, że zdobywa się władzę nad ludźmi. To znaczy prawo zmuszania ich do tego, czego oni sami nie chcą. Oczywiście sposób mojego myślenia o Niemcach wyrastał z nadziei, że następuje jakieś mentalne zbliżenie w Europie. Ale na początku naszej rozmowy już sobie powiedzieliśmy, że to było złudzenie. Wcale to jednak nie oznacza, że w tej chwili wycofuję się z tego, co napisałem. Uważam, że to było sensowne. Może do pewnego momentu warto się kąsać, ale kiedyś trzeba powiedzieć: Dosyć! Lepiej współpracować, niż wiecznie się żreć. W ten sposób to widziałem. Niemniej jednak w tej chwili widziałbym to już trochę inaczej.

**Dlaczego?**

– Dlatego m.in., że do tanga trzeba dwojga. To znaczy zmianom naszego myślenia powinny towarzyszyć zmiany w myśleniu Niemców. Co jakiś czas jestem w Niemczech i słucham głosów niemieckich, które mówią mi, co tam jest. I wygląda na to, że my jeszcze do końca nie rozumiemy, jak gigantycznym trzęsieniem ziemi stała się aktualna inwazja imigrancka. Jej echo będzie szło przez Europę jeszcze wiele lat. To echo w Niemczech jest bardzo wyczuwalne. Zyskują wpływy partie, które przypominają PiS. To jest Alternatywa dla Niemiec, to są mniejsze partie prawicowe. Alternatywa przekroczyła już 20% głosów w Bundestagu. Niech pan zobaczy – Platforma ma 25%. To porównywalne wielkości.

Zawsze chciałem jako pisarz zachować równowagę między wolą pojednania a prawdą. Nie jest to łatwe. Jednak warto to robić.



eprasa.pl 3233531b64

bie w domku na Kaszubach, jezioro za nami, jest pięknie, chociaż mówimy o rzeczach poważnych.

## UNIA SIEDZI CICHO

**Czyli ta dobra Europa, która była po roku 2004, świat ludzi, którzy chcą współpracować, być zgodni, odpływa w przeszłość?**

– Wcale nie jest pewne, że odpływa. 20% elektoratu to jednak nie 100%. W Niemczech może być tak, że oni się zatrzymają na tej dwudziestce. Choć słyszałem, że to proces narastający. A w Polsce? Wydaje mi się mało prawdopodobne, żeby PiS chciało wyprowadzić Polskę z Unii Europejskiej. Nie widzę powodów, dla których miałoby to robić. Żadnego w tym interesu nie ma. Przecież może ciągnąć na dużą skalę fundusze, które pomagają mu w realizacji programów socjalnych. Miałoby sobie podcinać nogi? A sama Unia? Nie widzę, żeby miała jakąś moc dyscyplinującą, więc w niczym mu nie zagraża.

**Tam również mają nadzieję, że PiS przegra wybory i problem zniknie.**

– Może. Ale nawet jeśli PiS będzie na dłużej, Unia zgodzi się na wszystko, co w Polsce się dzieje. Dowód? Postawa Unii wobec tego, co się dzieje w Turcji. Niech pan zobaczy, rzeka uchodźców została u nich zatrzymana. I Unia godzi się na wszystko, co Erdoğan robi, byle tylko Turcja zatrzymała tę rzekę. Pod tym względem uważam, że mamy w Unii Europejskiej do czynienia z prawdziwym kryzysem wartości. Bo to jest kryzys wartości. Że z jednej strony uznaje się Kartę Praw Podstawowych, karci się rząd pisowski za rozmaite manipulacje przy sądach, a równocześnie zamyka się oczy na rzeczy straszne, które dzieją się w Turcji. A tam jest w tej chwili dyktatura na całego! Dziennikarze w więzieniach, sędziowie w więzieniach, nauczyciele powyrzucani z pracy… A Unia cicho sza, jakby nie było sprawy! To bardzo niedobra wróżba dla przyszłości liberalno-demokratycznej Europy.

**Jak by pan więc teraz pisał o Gdańsku?**

– W powieści „Esther" jest epilog przedstawiający sceny z powstania warszawskiego, które opowiedziała mi moja matka. Chodzi o likwidację szpitala powstańczego przez Niemców. Dlatego w żadnym wypadku nie jestem kimś, kto by próbował budować porozumienie na zasadzie nabierania wody w usta. Bardzo mi zależało jednak na tym, żeby dostrzec w kulturze niemieckiej pewne wartości uniwersalne, które i dla nas są ważne. Na przykład tradycję socjaldemokracji niemieckiej, która miała jakąś szansę, niewielką, na powstrzymanie brunatnego potopu. Kto zresztą nie wolałby Niemiec socjaldemokratycznych od Niemiec po 1933 r.?! Tak samo jak ważna jest dla mnie tradycja szczątkowej niemieckiej opozycji antynazistowskiej. Zawsze poruszała moją wyobraźnię postać pastora Dietricha Bonhoeffera, który protestował przeciwko nazizmowi właściwie sam jak palec. Ironia losu polegała na tym, że został on zamordowany w obozie koncentracyjnym parę dni przed wyzwoleniem przez Amerykanów. Trudno mi zrozumieć logikę morderców. Wszystko się już wali, nie będzie żadnej III Rzeszy, a oni idą do jego celi, wyciągają go i mordują. To jakaś okropna tajemnica ludzkiej duszy, której nie potrafię przeniknąć.

**Mordują go zamiast.**

– Może to jest ten mechanizm psychologicznej kompensacji. Niemniej jednak, kiedy o Niemcach pisałem, zawsze starałem się odnaleźć wśród nich kogoś lub coś, co nie pasowało do ogólnego, mrocznego obrazu plemienia.

**Że ktoś się wyłamuje?**

– Myślenie plemienne ujednolica. Czując się członkiem plemienia, stoimy naprzeciwko innego plemienia. Nie widzimy konkretnych twarzy. Ja byłem nastawiony na to, żeby w plemieniu dostrzegać odmienności, alternatywy, inne sposoby myślenia, inne tradycje, które warto przypomnieć. I zawsze chciałem jako pisarz zachować równowagę między wolą pojednania a prawdą. Nie jest to łatwe. Jednak warto to robić. Choćby dla spokoju własnego sumienia.

> Może do pewnego momentu warto się kąsać, ale kiedyś trzeba powiedzieć: dosyć! Lepiej współpracować, niż wiecznie się żreć.

*Robert Walenciak*

eprasa.pl 3233531b64

# SZCZYT OBIETNIC

Zanim jeszcze postawił krok w Białym Domu, Andrzej Duda został uznany za mało poważnego polityka z Europy

Mateusz Mazzini

Pierwsza wizyta Andrzeja Dudy w Białym Domu była mało optymistycznym, choć wiernym odzwierciedleniem stosunków polsko-amerykańskich. Z punktu widzenia Waszyngtonu Donald Trump spotkał się z przywódcą reprezentującym kraj odległy, niewiele znaczący w bieżącej amerykańskiej strategii międzynarodowej. Polska w ostatnich latach przestała być za oceanem tematem samoistnym. W tamtejszych mediach i opracowaniach organizacji pozarządowych pojawia się jedynie wtórnie. Najczęściej w tekstach o wzbierającej fali populistycznych rządów w Europie, gdzie Warszawa wymieniana jest zaraz za Budapesztem. Czasem zdarzają się też liberalne głosy zaniepokojenia naruszaniem w Polsce zasad praworządności. Jednak i te pojawiają się jedynie wtedy, gdy na scenę wkroczą instytucje Unii Europejskiej. Jednym słowem, Polska, która wprawdzie priorytetem polityki zagranicznej Stanów nie jest już od dekad, ale do 2015 r. była traktowana jako integralna część nienaruszalnego sojuszu ze zjednoczoną Europą, teraz spadła do kategorii dużo niższej. Jak pokazały hołd wasalny Andrzeja Dudy i jego groteskowa deklaracja o budowie Fortu Trump, nie jesteśmy dziś dla USA partnerem – co najwyżej klientem.

## CIEŃ NOWOZELANDZKIEJ WPADKI

Przed przyjazdem prezydenta Andrzeja Dudy do Waszyngtonu amerykańskie media zapowiadały, że głównymi tematami szczytu dyplomatycznego będą kwestie związane z obronnością, handlem i energetyką. Już na tym etapie zwracano jednak uwagę, że podejście Trumpa do Polski może się wydać co najmniej niekonsekwentne, jeśli nie schizofreniczne. Nawet tabloidowy „Washington Times" zaznaczał, że



eprasa.pl 3233531b64

celem Andrzeja Dudy będzie przede wszystkim uzyskanie gwarancji bezpieczeństwa, ochrony przed potencjalną rosyjską ekspansją. W dodatku będzie on oczekiwał deklaracji bardzo zdecydowanej, bo każda inna będzie traktowana po powrocie do kraju jako porażka. Dan Boylan z „Washington Timesa" ostrzegał jednak, że o gwarancje takie będzie niezwykle trudno, biorąc pod uwagę raczej miękki stosunek amerykańskiej głowy państwa do Kremla. W podobnym tonie wypowiadali się publicyści m.in. „Chicago Tribune", „Slate" czy radia NPR. Co ciekawe, za oceanem do przyjazdu polskiego prezydenta przygotowano się nad wyraz starannie. Dziennik „Houston Chronicle" w zapowiedzi szczytu prezydenckiego przypomniał ostatnią wpadkę Dudy, który podczas podróży do Nowej Zelandii odniósł się w przemówieniu do Polonii z Irlandii. Zanim jeszcze Andrzej Duda postawił krok w Białym Domu, został uznany za mało poważnego, na pewno nie priorytetowego polityka z Europy, którego interesy zostaną złożone na ołtarzu zbliżenia się Trumpa z Rosją.

Oczywiście w dużej mierze osłabienie roli Warszawy wiąże się z radykalną zmianą sposobu prowadzenia przez USA polityki zagranicznej, a właściwie z całkowitym zaniechaniem uprawiania dyplomacji. W obecnej administracji to sam prezydent jest nie tylko pomysłodawcą, ale też głównym egzekutorem wszelkich inicjatyw w relacjach USA z innymi państwami. Strategie (jeśli to słowo nie jest tu nadużyciem) w dużej mierze wymyśla on sam, w najlepszym wypadku dodając sugestie najbliższych współpracowników z Białego Domu. Od tworzenia amerykańskiej polityki zagranicznej odcięte zostały Departament Stanu i Departament Obrony, których urzędnicy funkcjonują w nieustannym napięciu, zredukowani do roli wykonawców gwałtownych decyzji prezydenta. Izolację dyplomatów najlepiej widać po cięciach budżetowych i brakach kadrowych. W Departamencie Stanu nieobsadzonych jest siedem z dziewięciu kluczowych stanowisk. Nie lepiej wygląda to w korpusie dyplomatycznym. Wciąż nie ma ambasadorów USA m.in. w Meksyku, w Chile, na Kubie, w Arabii Saudyjskiej, Turcji, Pakistanie, Szwecji i Australii. Jeśli dodamy do tego poparcie dla brexitu, wycofanie się Stanów Zjednoczonych z Rady Praw Człowieka ONZ, odrzucenie paryskich porozumień klimatycznych i ogólne zanegowanie roli organizacji międzynarodowych, zobaczymy, jak bardzo radykalna jest zmiana w polityce zagranicznej USA.

Mogłoby się wydawać, że Duda i Trump to idealni partnerzy. Niewiele sobie robią z rządów prawa, gardzą Unią Europejską. Po raz kolejny jednak potwierdziła się teza stawiana wielokrotnie przez wiodących ekspertów od populizmu, m.in. holenderskiego politologa Casa Muddego, o nietrwałości populistycznych sojuszy. Mudde zauważa, że antyliberalni liderzy z różnych państw dogadują się najczęściej tylko w obliczu wspólnego wroga, ale relacja ta nie jest konstruktywna. Ponieważ rządy populistyczne są z natury egocentryczne w polityce zagranicznej, potrafią natychmiast anulować jedno bilateralne porozumienie, jeśli na horyzoncie pojawi się inne, w danej chwili korzystniejsze. Najlepszym przykładem jest tu Viktor Orbán. Nikt nie porusza się równie umiejętnie między przyjaźnią z Kremlem a dyskretnym podawaniem ręki chadekom z Europejskiej Partii Ludowej.

„Houston Chronicle" w zapowiedzi szczytu prezydenckiego przypomniał ostatnią wpadkę Dudy, który w Nowej Zelandii mówił o Irlandii.

## NIE WYGLĄDALI PREZYDENCKO

Ani Trump, ani Duda nie dorównują jednak węgierskiemu premierowi, dlatego wizyta polskiego prezydenta u amerykańskiego przypominała bardziej spotkanie dwóch zagubionych w swojej pracy mężczyzn niż szczyt dyplomatyczny najwyższego szczebla. Widać to było zwłaszcza w mediach społecznościowych, gdzie korespondenci akredytowani przy Białym Domu jeden po drugim wrzucali zdjęcia z konferencji obu panów. Bardziej niż na ich słowa zwracali uwagę na groteskowe zachowanie. Daniel Dale z „Toronto Star" podkreślił mało poważny uśmiech na twarzy Dudy za każdym razem, gdy Trump krytykował Unię. Dla równowagi Mark Knoller z CBS News wypunktowywał amerykańskiego prezydenta, gdy ten szeroko rozkładał ramiona, mówiąc, że Rosja szanuje tylko siłę, a USA są najsilniejszym państwem świata. Krótko mówiąc, ani Duda, ani Trump nie wyglądali prezydencko.

Andrzej Duda poleciał do Waszyngtonu z tradycyjnym już zestawem celów do zrealizowania. Polska oczekuje zniesienia wiz, chce też poszerzenia stałej obecności amerykańskich wojsk na swoim terytorium i ściślejszej współpracy przy kontraktach zbrojeniowych. Pomimo szumnych zapowiedzi wrócił do kraju z pustymi rękami. Wizy dla Polaków zostaną, nawet mimo zaangażowania w kampanię na rzecz ich zniesienia państwowych PLL LOT. Na pokładach samolotów na trasach do USA załoga nadaje komunikaty o kampanii antywizowej, prosząc Polaków o poprawne zachowanie się przy kontroli celnej, a Amerykanów – o lobbowanie u swoich kongresmenów za całkowitym zniesieniem wiz.

Zgodnie z oczekiwaniami relacje prasowe i komentarze amerykańskich mediów po wizycie Dudy zdominował jednak temat amerykańskiej bazy wojskowej w Polsce. Zdecydowana większość ogólnokrajowych tytułów, od „Washington Post" i „New York Timesa" po serwisy internetowe BuzzFeed, Daily Beast czy prestiżowy Foreign Policy, skupiła się na groteskowym pomyśle nazwania bazy Fort Trump, ironicznie gratulując Dudzie znalezienia skutecznego sposobu na przyciągnięcie uwagi amerykańskiego prezydenta. Nie wszyscy dziennikarze byli jednak tak sarkastyczni. Gregg Re z Fox News, stacji telewizyjnej bodaj najbliższej Trumpowi i jego środowisku, tematowi poszerzenia amerykańskiej obecności militarnej w Polsce poświęcił większą część swojej relacji z wizyty Dudy. Podkreślił, że choć postawienie Fort Trump byłoby sprzeczne z umową Rosja-NATO z 1997 r., która zabrania

FOT. APF/EASTNEWS



eprasa.pl 3233531b64

Amerykanom budowania baz na terenie krajów byłego Układu Warszawskiego, Biały Dom i tak rozważa takie posunięcie. Fox News przypomina przy okazji, że Kay Bailey Hutchison, amerykańska ambasador przy NATO, już latem potwierdziła, że Ameryka bardzo poważnie bierze pod uwagę to rozwiązanie. W dalszej części tekstu Re wskazuje, że Polska jako jedno z niewielu państw Sojuszu systematycznie zwiększa wydatki na obronność, czego Trump domaga się od początku prezydentury. Chwali również amerykańskiego prezydenta za odważne i zdecydowane deklaracje poparcia dla sojusznika (Polski), będącego w geopolitycznym niebezpieczeństwie.

Poszerzona obecność wojskowa też nie została jednak zagwarantowana, przynajmniej na razie. Odpowiadając na pytania dziennikarzy na ten temat, sam Trump mówił bardzo nieprecyzyjnie: przeanalizujemy, rozpatrzymy, przyjrzymy się, weźmiemy pod uwagę. To dość niewiele jak na „sojusznika najwyższej rangi", za jakiego uważa się Duda. Odpowiedź Trumpa nie dziwi, gdy przytoczy się kontekst całej sprawy. W tej chwili na polskim terytorium stacjonuje 3 tys. amerykańskich żołnierzy i członków personelu wojskowego. Nad Wisłą przebywają na zasadzie rotacji. Co najważniejsze jednak, są tutaj jako siły NATO, co polskich decydentów mocno niepokoi. Mając w pamięci prymat relacji dwustronnych nad współpracą w organizacjach międzynarodowych, Pałac Prezydencki wolałby, aby gwarantem obecności Amerykanów w Polsce był sam Donald Trump. W dodatku obaj przywódcy mają coraz mniejszą wiarę w kolektywne zdolności Sojuszu Północnoatlantyckiego. Dudę denerwuje opieszałość innych krajów w powiększaniu budżetów obronnych, Trumpa – zbyt wysokie koszty ponoszone przez USA. Dlatego rozmowy te odbywają się bezpośrednio, a nie za pośrednictwem NATO. Wydawało się też, że Duda dał Trumpowi właściwy argument do przysłania większej liczby żołnierzy – i nie chodzi wcale o pomysł nazwania bazy imieniem amerykańskiego prezydenta, lecz o pieniądze. O miliardy dolarów, jakie Polska miałaby zapłacić za amerykańską obecność. I chociaż na konferencji prasowej po spotkaniu w Białym Domu Trump powiedział, że Duda zaoferował mu „coś więcej niż pieniądze", media w Waszyngtonie (m.in. „Washington Post", „New Republic", BuzzFeed) są zgodne, że aspekt finansowy będzie najważniejszym, o ile nie jedynym branym pod uwagę w tej kwestii.

## CHWILE W GABINECIE OWALNYM

Klientelizm w stosunkach polsko-amerykańskich najdobitniej opisał właśnie „Washington Post". Europejski korespondent dziennika Rick Noack w felietonie podsumowującym wizytę Dudy w USA stwierdził, że między dwoma prezydentami w czasie spotkania miało miejsce tyle nieporozumień i krępujących sytuacji, że żadna strona nie może go uznać za udane. Noack skupił się przede wszystkim na słynnym już zdjęciu z podpisania dokumentu o zwiększeniu współpracy bilateralnej. Trump podpisuje porozumienie, siedząc przy biurku w Gabinecie Owalnym, podczas gdy Duda zmuszony jest podpisywać swoją kopię na skraju blatu, stojąc, pokracznie pochylony nad biurkiem. Zdaniem wielu ekspertów było to nie tylko rażące naruszenie protokołu dyplomatycznego, ale także ogromne upokorzenie dla Andrzeja Dudy. Noack podkreśla jednak, że zdjęcie rozsierdziło jedynie polską opozycję. Sądząc po uśmiechu, sam prezydent nie jest specjalnie zakłopotany swoim zmarginalizowaniem. Korespondent „Washington Post" zakończył felieton wiele mówiącym zdaniem, że choć Trump obiecał „rozważyć" polską propozycję, zdjęcie z wizyty Dudy sugeruje zupełnie inne stanowisko w tej kwestii.

Podobnie powierzchowną nić porozumienia obaj panowie znaleźli w temacie Unii Europejskiej. Kiedy w czasie konferencji prasowej Trump nazwał przewodniczącego Komisji Europejskiej Jeana-Claude'a Junckera „paskudnym", Duda uśmiechnął się niczym chłopczyk, któremu psikus uszedł na sucho. Trochę mniej wesoło było w rozmowie w cztery oczy. Jak donosi korespondent „Washington Post" w Białym Domu Josh Dawsey, Trump miał powiedzieć Dudzie, że „Unia Europejska, której Polska jest częścią, regularnie zdzierała pieniądze z Ameryki". Słowa te padły w kontekście dyskusji o wojnie celnej, jaką amerykański prezydent wydaje powoli całemu światu (i która uderzy również w Polskę). Trump najwyraźniej zapomniał, że Polska jest teraz unijną czarną owcą, i potraktował Dudę jako współwinowajcę niekorzystnej jego zdaniem pozycji handlowej USA.

Skrytykował też po raz kolejny budowę gazociągu Nord Stream II, argumentując, że przyniesie ona korzyści wyłącznie stronie rosyjskiej. Dodał, że rozumie obawy Dudy przed ekspansywną polityką Kremla, biorąc pod uwagę „skomplikowaną" historię obu krajów. Były to jednak tylko słowa.

Podsumowując, dwie godziny spędzone przez Dudę w Białym Domu nie były specjalnie owocne pod względem politycznym. Natomiast z pewnością mocno uderzą po kieszeni polskiego podatnika. Oprócz miliardów dolarów na postawienie Trumpowi militarnego pomnika wydamy zapewne w najbliższych latach 8 mld zł na zestawy artyleryjskie HIMARS dla polskich wojsk lądowych. Zostaną kupione „z półki", czyli bez udziału polskiego przemysłu zbrojeniowego w procesie produkcji. Już te dwie informacje potwierdzają tezę o Polsce będącej w Waszyngtonie klientem. Trump i Duda mogą śmiać się razem z nielubianych przez siebie polityków, prawić sobie czułe słówka i nazywać swoimi imionami bazy wojskowe, ale na tym relacje polsko-amerykańskie właściwie się kończą. Ponad deklaracjami z konferencji prasowych są czyste interesy, na których Polska dużo traci, a zyskuje niewiele. Niestety, kupowanie sojuszników jest zarezerwowane dla mocarstw – Warszawa na pewno teraz do nich nie należy.

*Mateusz Mazzini*

**Zdecydowana większość ogólnokrajowych tytułów skupiła się na groteskowym pomyśle nazwania bazy Fort Trump.**



eprasa.pl 3233531b64

Wojciech Osiński
Korespondencja z Berlina

# MAASSEN PROWOKATOR

Kilka zdań szefa niemieckiego kontrwywiadu wystarczyło, aby wywołać kolejny kryzys w koalicji rządzącej CDU-SPD

Hans-Georg Maassen musi odejść i zobaczycie, że odejdzie – grzmiała przewodnicząca SPD Andrea Nahles, po tym jak szef niemieckiego kontrwywiadu wywołał kryzys w rządzie Angeli Merkel. 55-letni Maassen, który do zeszłego tygodnia kierował Federalnym Urzędem Ochrony Konstytucji (BfV), ściągnął na siebie krytykę słowami, jakimi skomentował ostatnie neonazistowskie bójki w Chemnitz. W wywiadzie dla dziennika „Bild" stwierdził, że nie było wiarygodnych informacji na temat nagonek na obcokrajowców, do których miało dochodzić na demonstracji w saksońskim mieście. Maassen wątpił ponadto w autentyczność nagrania wideo pokazującego grupę neonazistów, którzy gonili cudzoziemców.

Wszystkie późniejsze próby samoobrony Maassena przed komisjami parlamentarnymi nie zdołały już zatamować fali spekulacji na temat jego przyszłości. W ślad za pierwszymi wyrazami oburzenia Zielonych i Lewicy przyszły następne – z SPD. W obronie szefa BfV występował natomiast jego bezpośredni przełożony, minister spraw wewnętrznych i lider bawarskiej chadecji Horst Seehofer.

W ostatni wtorek okazało się wprawdzie, że Maassen odejdzie, co miało zażegnać konflikt w rządzie, tyle że dla SPD jego dymisja może być zwycięstwem osiągniętym za dużym kosztem. Zawarty kompromis przewiduje bowiem awans Maassena na stanowisko sekretarza stanu w MSW, co łączy się z wyższym uposażeniem. Seehofer nie tylko więc ocalił go przed przedwczesną emeryturą, ale nawet wynagrodził. A także zabezpieczył prawą flankę przed nadchodzącymi wyborami w Bawarii, gdzie jego partia CSU konkuruje o antyimigranckie głosy z populistyczną AfD. Liderzy tej partii dokładali w ostatnich dniach wszelkich starań, by wykreować Maassena na męczennika, prześladowanego przez polityczny mainstream i walczącego w słusznej sprawie.

Jednocześnie szef MSW upokorzył współrządzącą SPD, nonszalancko oświadczając, jakoby Nahles aprobowała tę decyzję bez zastrzeżeń. Amunicji do kolejnego ataku lewicowej opozycji na szefową socjaldemokratów dostarczyła informacja, że zatrudniając Maassena w MSW, Seehofer musiał wręczyć wypowiedzenie politykowi SPD. „Po rozwiązaniu konfliktu wokół Maassena w rządzie nie zapanuje spokój. Dopóki Merkel i Seehofer zasiadają razem w gabinecie, dopóty o spokojnym rządzeniu nie będzie mowy. Niechęć ministra do szefowej rządu jest tak duża, że skorzysta on z każdej okazji do konfrontacji", zauważa dziennik „Rhein-Zeitung". W podobnym tonie krytykuje decyzję rządu „Saarbrücker Zeitung". „Ten żałosny spektakl miał tylko jednego beneficjenta – Alternatywę dla Niemiec. W rządzie nie będzie porządku, bo sprawa Maassena pozostawiła po sobie zbyt wiele niezabliźnionych ran", pisze Stefan Vetter. Nawet Sigmar Gabriel, który ostatnio w domowym zaciszu uczył się powściągliwości, nie szczędzi krytyki pod adresem swojej partii. „Kto myśli, że z chwilą przeniesienia Maassena wszyscy w rządzie zachowali twarz, ten się myli", zaznaczył były szef niemieckiej dyplomacji.

Hans-Georg Maassen nie wychodził zbyt zmartwiony z przesłuchania przez komisję parlamentarną.

## ECHA WYDARZEŃ W CHEMNITZ

„W dobie fake newsów nasze społeczeństwo potrzebuje czasu, aby w mgle dezinformacji uporządkować fakty. Najważniejsza jest prawda", postulował Maassen w maju 2018 r. Pół roku później były szef kontrwywiadu sam musi się tłumaczyć z zarzutów manipulowania faktami. „Czyżby nagrania o rzekomych nagonkach na obcokrajowców zostały opublikowane tylko dlatego,



eprasa.pl 3233531b64

aby odwrócić uwagę od zabójstwa w Chemnitz?", zastanawiał się Maassen w wywiadzie dla „Bilda". Tymczasem zdaniem ekspertów autentyczność nagrania jest niezaprzeczalna: widać na nim grupę Niemców, którzy gonią przestraszonych muzułmanów i krzyczą do nich: „Wracajcie do swoich krajów!" i „Kanake!" (obelżywe określenie ludzi pochodzenia tureckiego).

Okazuje się zresztą, że te przypadkowe ujęcia to wierzchołek faszystowskiej góry lodowej. Na przełomie sierpnia i września w Chemnitz wydarzyło się znacznie więcej. Niewinnych cudzoziemców nie tylko przezywano, ale wielokrotnie również bito. Pewnej nieletniej Turczynce zerwano burkę z głowy. Atakowano także kontrmanifestantów. Kopano ich, nawet gdy leżeli już na ziemi. Sytuacja przerosła policjantów, którzy nie potrafili odciągnąć chorych z nienawiści napastników.

Hans-Georg Maassen żywi urazę do Angeli Merkel, bo nie powołała go na szefa Federalnej Służby Wywiadowczej (BND).

Ostatnio niemiecka prasa rozpisuje się o rosnącym w Niemczech antysemityzmie, obwiniając jednak głównie muzułmanów. Znany niemiecki projektant mody Karl Lagerfeld, krytykując politykę migracyjną Merkel, powiedział, że „Niemcy nie mogą pokutować za zbrodnie wobec Żydów, wpuszczając do RFN milion osób, które ich nienawidzą. Nie tędy droga". Ale niechęć neofaszystowskich manifestantów zwróciła się także przeciwko Żydom. To obywatele Niemiec rzucali w tych dniach cegłami w żydowską restaurację Shalom. „Tego rodzaju akcje pokazują, że sytuacja w Niemczech przekroczyła kolejną czerwoną linię. W latach 30. zdarzały się podobne rzeczy", martwi się Martin Schulz, były szef SPD.

Jak wiadomo, do zadań kontrwywiadu należy m.in. dbanie, aby do takich zdarzeń nie dochodziło. Dziś jednak wszyscy się zastanawiają, czy „niewidomy na prawe oko" szef BfV rzeczywiście temu przeciwdziałał. Maassen bowiem po zamachach w zachodniej Europie skoncentrował się na walce z terroryzmem islamskim. Na tym polu rzeczywiście się sprawdził, czym nie omieszkał się chwalić. Wielokrotnie występował przed kamerami, dumnie oznajmiając, jak to jego kontrwywiad udaremnił kolejny atak. „Jak na szefa BfV, zobowiązanego raczej do dyskrecji, dość często współpracował z mediami", zauważa Georg Mascolo, były redaktor naczelny „Spiegla", który skądinąd docenia Maassena. „Znam go od wielu lat i on naprawdę zasłużył się dla tego kraju, ale ostatnio popełnił kilka błędów. Skoro tak często występuje w mediach, to dlaczego ani razu nie powiedział o rosnącym zagrożeniu po prawej stronie sceny politycznej? Czemu ani razu nie wyraził współczucia dla obcokrajowców z Chemnitz?", pyta dziennikarz.

## CICHY CZŁONEK CDU

W gruncie rzeczy cała sprawa wygląda jeszcze gorzej, niż rysuje ją Mascolo. Były szef BfV nie tylko nie wyraził współczucia dla pobitych cudzoziemców, ale wręcz zakwestionował fakt, że istnieje w Niemczech takie zjawisko jak neonazizm. A skoro jest zbyt inteligentny (bo jest), by go nie zauważyć, to po prostu cynicznie je tolerował. „Jak inaczej można by nazwać to, co widać na nagraniu? Ilu neonazistów musiałoby gonić dwóch bezbronnych muzułmanów, aby pan Maassen zaakceptował określenie nagonka?", pyta wiceprzewodnicząca Bundestagu Petra Pau z Die Linke.

O swoich poglądach Maassen wypowiada się raczej zdawkowo. Przed jedną z lokalnych gazet urodzony w Mönchengladbach prawnik kilka lat temu nieco się otworzył. Wiadomo, że ożenił się z Japonką i pasjonuje się kulturą jej kraju. Tajemnicą poliszynela jest też, że przez wiele lat był ministrantem i nadal uchodzi za wierzącego konserwatystę. Tylko nieliczni zaś wiedzieli, że do dziś jest członkiem CDU. Opinia publiczna dowiedziała się o tym, dopiero gdy komisja parlamentarna zarzuciła mu bliskość z AfD, a Maassen zasłonił się legitymacją partyjną. Ale niby co to miałoby oznaczać? Wszak szef AfD Alexander Gauland i Erika Steinbach też mieli kiedyś legitymację CDU, zanim odwrócili się od Merkel.

I właśnie o to chodzi. Maassen także chciał się od niej odwrócić, ale jako szef BfV długo nie mógł sobie na to pozwolić. Żywi do niej urazę, bo w 2016 r. nie powołała go na stanowisko szefa Federalnej Służby Wywiadowczej (BND), cieszącej się większym prestiżem niż kontrwywiad. Kiedy jego przyjaciel i były szef BND Gerhard Schindler musiał zrezygnować z tej funkcji m.in. z powodu zaniedbań związanych z aferą podsłuchową NSA (kto ją jeszcze pamięta?) i krytycznej postawy wobec Merkel, Maassen uchodził za jego oczywistego następcę. Angela Merkel jednak doskonale już wiedziała, że wyznaje on podobne poglądy i wolała mianować na szefa BND swojego zaufanego Brunona Kahla.

Kiedy szefowa rządu jesienią 2015 r. zawiesiła konwencję dublińską, Maassen był ostrożniejszy niż Schindler i krytykował Merkel jedynie w zamkniętym gronie. Choć czasem nie wytrzymywał i wyładowywał frustrację w popierających go mediach. A w połowie września najwyraźniej coś w nim pękło. Musiał przecież się liczyć z konsekwencjami udzielenia takiego wywiadu w wysokonakładowym „Bildzie". Albo – mając już zapewnioną nową posadę – chciał na odchodne dać kanclerce przytyczka w nos.

## UPOKORZYĆ PANIĄ KANCLERZ

Maassen był najlepszym szefem BfV w historii tej instytucji – bronił go Gerhard Schindler. Na pewno można powiedzieć, że najbardziej konserwatywnym. Już w pracy doktorskiej, opublikowanej ponad 20 lat temu, czyli długo przed kryzysem migracyjnym i narodzinami AfD, prawnik z Mönchengladbach zżymał się na zbyt liberalną jego zdaniem politykę azylową w Niemczech. Padały tam takie słowa jak rosnąca przestępczość cudzoziemców i turystyka azylowa. Pod koniec lat 90. na sympozjum w bliskiej CSU Fundacji im. Hannsa Seidla Maassen krytykował działaczy, którzy w kościołach pomagają uchodźcom.

Jest przynajmniej kilka etapów w karierze tego urzędnika, które mogą zadać kłam pochwałom Schindlera. Gdy po atakach na World Trade



eprasa.pl 3233531b64

Cudzozmiemcy, wynocha! – takie hasło rzucało się w oczy w czasie demonstracji 27 sierpnia w Chemnitz. Słowo *kriminelle* (przestępcy) było znacznie mniej widoczne.

Center we wrześniu 2001 r. administracja George'a W. Busha wypowiedziała wojnę islamistom, Maassen był już wpływowym sekretarzem w niemieckim MSW. Kierował oddziałem zajmującym się prawem o cudzoziemcach. To on egzekwował wtedy decyzję, aby Murat Kurnaz, Niemiec tureckiego pochodzenia, pozostał w więzieniu Guantanamo, gdzie stosowano wobec przetrzymywanych bez wyroku dalece wątpliwe praktyki. Potem okazało się, że Kurnaz był niewinny.

Z drugiej strony stanowcza postawa Maassena wobec islamskich imigrantów, którą część jego kolegów poczytuje mu za zasługę, nie zawsze sprawdzała się w praktyce. Kiedy w grudniu 2016 r. tunezyjski zamachowiec Anis Amri wjechał ciężarówką na berliński jarmark bożonarodzeniowy, politycy od lewa do prawa oskarżali właśnie Maassena, którego urząd miał dopuścić się w tej sprawie zaniedbań.

W opinii wielu Niemców byłego szefa BfV obciążają obecnie nie tyle ostatnie wypowiedzi, ile nielojalność wobec Angeli Merkel. Gdy jego przełożonym w MSW był zaufany pani kanclerz Thomas de Maiziere, Maassen wiedział, że zbyt głośne wyrazy niezadowolenia pod jej adresem pozbawią go intratnego stanowiska. Teraz był świadom, że ma w ministerstwie potężnego sprzymierzeńca, któremu również zależy na tym, aby upokorzyć kanclerkę. Obok samego Maassena głównym wygranym tego konfliktu rządowego jest więc niewątpliwie minister Seehofer, który wprawdzie uhonorował ustępującego szefa BfV lepszą posadą, ale któremu nie można zarzucić, że nie wykonał polecenia szefowej rządu. Zobaczymy, czy i w jakim stopniu sprawa Maassena przełoży się na wynik nadchodzących wyborów do landtagu w Bawarii.

## PRZEGRANI KONFLIKTU

W tym samym czasie, gdy Seehofer publicznie bronił Maassena, w mediach pojawiły się nowe zarzuty. Z ustaleń dziennikarzy ARD wynika, że Maassen udostępnił posłom AfD fragmenty nieopublikowanego jeszcze raportu kontrwywiadowczego na 2017 r. Tak, tej samej antyimigranckiej partii, którą jego urząd niebawem miał wziąć pod lupę. Potwierdził to nawet polityk AfD Stephan Brandner, który w przypływie szczerości zdradził, że rozmawiał z Maassenem o metodach BfV w walce z islamskim terroryzmem.

Już wcześniej do poważnych mediów dotarły informacje, że Maassen w 2015 r. spotkał się dwukrotnie z ówczesną szefową AfD Frauke Petry, a także z jej następcą Alexandrem Gaulandem. Już wtedy, zanim populiści dostali się do Bundestagu, szef BfV miał więc ostrzec liderów ultraprawicy, że władze nakłaniają jego instytucję do obserwowania ich partii.

Publicyści oraz polityczni bukmacherzy snują rozważania, kim będzie następny szef kontrwywiadu, organu, który po matactwach związanych z NSA niektórzy chcieli likwidować, wcielając go do BND. Jednak dzięki Maassenowi, który ma też niezaprzeczalne zasługi (choćby dotyczące ochrony cyberprzestrzeni i rozbudowania centrali BfV w Kolonii), Urząd Ochrony Konstytucji zaczął odbudowywać nadszarpniętą reputację. Nie zmienia to faktu, że Maassen bagatelizuje przejawy prawicowego ekstremizmu w Niemczech. Andrea Nahles słusznie zauważyła, że były szef BfV nadużywał swoich kompetencji. Zgodnie z jej zapowiedziami prowokator z Mönchengladbach odszedł, choć sama szefowa SPD bynajmniej nie wyszła z tego sporu obronną ręką. Do zerwania Wielkiej Koalicji nawołują już nie tylko lewe skrzydło i szef partyjnej młodzieżówki, lecz także konserwatywni socjaldemokraci, jak choćby Boris Pistorius, szef MSW w Dolnej Saksonii.

Kilka dni po odejściu szefa BfV właściwie nikt już nie poświęca mu uwagi, za to wszyscy się zastanawiają, kiedy „poleci głowa Andrei Nahles" („Bild"). Ona sama, podobnie zresztą jak Merkel, będzie próbowała za wszelką cenę ocalić Wielką Koalicję przed rozłamem, ponieważ wynik nowo rozpisanych wyborów parlamentarnych mógłby stworzyć całkowicie odmieniony krajobraz polityczny, na którym skorzystałaby głównie AfD. To byłby oczywiście najgorszy scenariusz, który jednak wcale nie musi się ziścić. Do optymizmu skłaniają nowe sondaże, w których Zieloni mają coraz lepsze notowania, nawet w Bawarii, uchodzącej za bastion CSU. W siłę rośnie także Die Linke, której liderka w tych dniach zainicjowała zmiany na niemieckiej lewicy. Ale o tym już następnym razem.

*Wojciech Osiński*

**Były szef kontrwywiadu miał ostrzec liderów AfD, że władze nakłaniają jego instytucję do obserwowania ich partii.**

FOT. AFP/EAST NEWS



eprasa.pl 3233531b64

# SZKOŁA NIERÓWNOŚCI

Z jakiegoś powodu dzieci nie uczą się podczas lekcji. Jak sam im nie wytłumaczę, to nie zrozumieją. Edukacja po reformie

Katarzyna Wierzbicka

– Pracuję od godz. 5.30 do 13.30. Mam jeszcze młodsze dziecko, niemowlaka. Jeśli daję radę, to pilnuję, żeby córka odrobiła wszystkie lekcje, ale nie zawsze się udaje. Zwykle zajmuje nam to dwie-trzy godziny. Najgorzej jest z matematyką, córka zupełnie sobie nie radzi – opowiada Ewa, matka trzecioklasistki z niewielkiej miejscowości w Mazowieckiem. Iwona, samotna matka drugoklasisty: – Jeśli go nie dopilnuję, to nie zrobi. A jak nie zrobi więcej niż dwa-trzy razy, jestem wzywana do szkoły. Najtrudniejsza jest dla mnie pomoc w angielskim, bo ja po angielsku nie mówię. Myślę o korepetycjach, ale na razie brakuje pieniędzy.

– Z jakiegoś powodu dzieci nie uczą się podczas lekcji – dodaje Jacek, ojciec bliźniaków w trzeciej klasie warszawskiej podstawówki i syna w klasie szóstej. – Jak sam im nie wytłumaczę, to nie zrozumieją. Wszystko zrzucane jest na rodziców.

– Dziesięciolatek jest w stanie się skupić najwyżej przez 30 minut, zakładając, że nie ma zaburzeń uwagi – mówi psycholożka kliniczna Patrycja Kochan, pracująca jednocześnie jako psycholog w szkole podstawowej w Warszawie. U młodszych dzieci ten czas jest jeszcze krótszy. Z opowieści rodziców wynika zaś, że ilość zadawanych prac domowych przekłada się na godziny spędzone nad lekcjami.

Problem dostrzegał także rzecznik praw dziecka Marek Michalak, który w zeszłym roku kilkakrotnie apelował do szefowej MEN w tej sprawie. „Badania wskazują na możliwe problemy uczniów z mniej zamożnych rodzin – niedysponujących spokojnym miejscem do nauki w domu lub niemających wystarczającej ilości czasu ze względu na dodatkowe obowiązki domowe – czytamy w drugim już wystąpieniu RPD z października 2017 r. – Jak wskazują autorzy badania, prace domowe mogą przyczyniać się do powiększania różnic między uczniami o różnym statusie społeczno-ekonomicznym. (…) Nie można przerzucać na rodziców odpowiedzialności za jakość edukacji”.

W odpowiedzi na pismo rzecznika Anna Zalewska przypomniała, że „o tym, jakie prace domowe zadawać swoim uczniom (w znaczeniu



FOT. GYS/REPORTER/EAST NEWS

eprasa.pl 3233531b64

ilościowym i jakościowym), decyduje nauczyciel". Podkreślała przy tym, że „samodzielne wykonanie pracy domowej powinno być dla ucznia źródłem satysfakcji i motywacji do nauki".

– Nie chodzi o to, że ja tę pracę domową odrabiam za nią – mówi Ewa, urażona pytaniem, na ile ingeruje w odrabianie lekcji. – Ale jeśli nie sprawdzam, to nie zrobi. Poza tym trzeba czasem coś wytłumaczyć, pomóc zrozumieć polecenie itd.

– Pamiętam, jak na zebraniu z rodzicami nauczycielka prawie nakrzyczała na jedną z matek za częste nieprzygotowanie córki do lekcji – wspomina Kinga, której córka chodzi do czwartej klasy podstawówki w Warszawie. – Dziecko było jej zdaniem zaniedbane, dokładnie to słowo padło z jej ust, przy wszystkich. Siedziałam cicho i bałam się, że zaraz padnie na mnie. To była pierwsza klasa, a na odrabianiu pracy domowej upływały nam całe popołudnia. Tylko że ja mam męża i jedno dziecko, a ta kobieta była sama z trójką w wieku dwa, cztery i sześć lat.

Po pismach rzecznika praw dziecka MEN zaapelowało wprawdzie do nauczycieli o zmniejszenie ilości zadań domowych, ale na tym się skończyło. – Aż coś się we mnie burzy – komentuje dr Przemysław Sadura, badacz systemu edukacji z Instytutu Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. – Minister edukacji nie jest od tego, żeby apelować do nauczycieli, ale od tego, żeby stworzyć taki program nauczania, który dałoby się zrealizować w ramach obowiązkowych zajęć w szkole. Tymczasem tak nie jest.

Sadura przytacza wyniki badania zleconego przez RPD i dotyczącego zeszłorocznych siódmoklasistów: nauczyciele zgodnie przyznają, że nie wyrabiają się z programem. 40% – tyle podstawy programowej udaje się zrealizować z przedmiotów ścisłych, 60% – jeśli chodzi o inne przedmioty. Uczniowie natomiast deklarują, że spędzają nad lekcjami średnio około trzech godzin, nie licząc pracy w weekendy. – Jednak niemała grupa badanych uczniów deklarowała pięć godzin – dodaje Sadura. – Nauczyciele nie zadają tyle ze złej woli, ale dlatego, że programu nie da się zrealizować tylko na lekcjach.

Program nauczania jest nieproporcjonalnie obszerny w stosunku do liczby godzin lekcyjnych. W efekcie odpowiedzialnością za edukację uczniów obciążeni są przede wszystkim rodzice. Jeśli mają wystarczająco dużo czasu, kompetencji, pieniędzy i woli – ich dziecko ma szansę osiągnąć dobre wyniki w nauce. Gorzej, jeśli brakuje któregoś z tych czynników. – Co ma zrobić matka, która pracuje w sklepie na drugą zmianę, a której dziecko chodzi do szkoły na pierwszą zmianę? Tacy rodzice nie są w stanie dopilnować, czy i jak dziecko odrobiło lekcje – wskazuje Przemysław Sadura.

**Odpowiedzialnością za edukację uczniów obciążeni są przede wszystkim rodzice.**

## BEZ KOREPETYCJI NIE DA RADY

Konsekwencją takiej polityki jest pogłębianie się nierówności. Już na początku edukacji następuje podział na uczniów, których rodzice są w stanie wspierać dzieci w nauce, i na tych, których rodzice nie mają takich możliwości. Z biegiem lat przepaść się pogłębia.

O ile w niższych klasach znaczenie ma przede wszystkim sytuacja rodzinna (np. liczba dzieci, godziny pracy, wsparcie partnera), o tyle w starszych klasach wagi nabiera czynnik ekonomiczny. – Bez korepetycji nie da rady – wyznaje Agnieszka, której syn za rok idzie do liceum. – Kiedyś siedziałam ja albo mąż, ale na tym etapie nie możemy mu pomóc we wszystkim.

Joanna, matka piątoklasistki: – Dopiero jak zapisałam córkę na dodatkowy angielski, nauczycielka przestała wzywać mnie na rozmowy typu „Maja się nie uczy". A myśmy po prostu się nie wyrabiali.

**Celem utworzenia gimnazjów w 1999 r. miało być zniesienie nierówności.**

Przemysław Sadura zwraca uwagę, że poza podziałem na „zdolniejszych" i „leniwych" istnieje podział międzyszkolny. – Są dwa typy szkół publicznych – wyjaśnia socjolog. – Te ambitniejsze walczą o wynik, a więc zadają dużo – to obciąża ucznia, ale i rodziców. Pozostaje więc szkoła z podejściem mniej ambitnym, bardziej „przyjaznym". W takiej szkole prac domowych będzie mniej, ale to nie oznacza, że realizuje ona program w czasie lekcji. Po prostu go odpuszcza. Czyli jeszcze gorzej. Bo wtedy na rodzicach spoczywa obowiązek nie tylko pomocy przy lekcjach, ale też zorganizowania korepetycji, przygotowania do egzaminu itd.

Coraz więcej zamożniejszych rodziców wybiera placówki niepubliczne. – Przepisałam ją na początku trzeciej klasy – opowiada Marta, która zdecydowała się na zmianę szkoły córki. – Poprzednio chodziła do szkoły na godz. 11.35, prawie się nie widywałyśmy. Raz sześć lekcji, innym razem trzy, wieczne rozregulowanie. Teraz chodzi na godz. 8, codziennie po sześć lekcji, angielski pięć razy w tygodniu. Płacę pewnie niewiele więcej niż znajomi za korepetycje.

## RÓŻNICE BĘDĄ WIĘKSZE

– Dyplomy w Polsce dziedziczy się niczym tytuły szlacheckie – mówi dr Sadura. I rzeczywiście, trudno nie odnieść wrażenia, że zbyt wiele w polskim systemie edukacji zależy od wyposażenia uczniów na starcie.

Nie chodzi wyłącznie o kwestie ekonomiczne. Z drugiej strony, jeśli mówić tylko o tym aspekcie, bardziej niż na wyprawkę rodzice dzieci z klas młodszych narzekają na ceny szkolnych obiadów. – Za obiady płacę ok. 200 zł co miesiąc – opowiada Kinga. – A dzieci, które nie płacą, mają inne obiady i MOPS-owe naczynia. Wszyscy widzą, kto ma refundowany posiłek. Takie dzieciaki są wytykane palcami.

Minister Anna Zalewska zapowiadała jakiś czas temu refundowanie dzieciom obiadów, temat jednak ucichł. Na razie Rada Miasta Łodzi zdecydowała o wprowadzeniu bezpłatnych posiłków dla wszystkich uczniów. Od września przyszłego roku ma z nich skorzystać ok. 40 tys. łódzkich uczniów.

Dr Sadura uważa, że aby rzeczywiście wyrównać szkolne szanse, niezbędne jest – poza zwiększe-



eprasa.pl 3233531b64

niem liczby obowiązkowych godzin lekcyjnych i dostosowaniem programu – wydłużenie czasu indywidualnej pracy nauczyciela z dzieckiem.

Trudno jednak mówić o takiej możliwości, skoro na skutek chaosu związanego z wdrażaną reformą w szkołach brakuje miejsca do prowadzenia zajęć, a system zmianowy stał się niemal powszechny. Agnieszka: – Jak syn ma na drugą zmianę, to kończy o 17.00. Odrabianie lekcji trwa do nocy.

„Wiadomo, że dziecko, które przychodzi do szkoły na godz. 12.00, nie jest w stanie tak bardzo się skupić i być tak aktywne na zajęciach jak dzieci uczące się rano. Im później, tym wydolność coraz bardziej spada", przyznaje w „Dzienniku Wschodnim" nauczyciel Szkoły Podstawowej nr 4 w Lublinie, gdzie już w ubiegłym roku lekcje kończyły się o 17.30. Autor artykułu podkreśla, że sytuacja będzie jeszcze gorsza – wiele szkół podstawowych mieszczących dotychczas sześć roczników nie daje rady pomieścić ośmiu.

Odpowiedzialnością za chaos wynikający z reformy minister Zalewska – znowu – obciąża przede wszystkim szkoły. „Pragnę przypomnieć, że za sprawną organizację procesu dydaktycznego odpowiada dyrektor szkoły", pisała szefowa MEN w liście do rodziców z 29 sierpnia.

Do związanej z reformą dezorganizacji dochodzą stałe problemy, takie jak przepełnienie klas. Choć pani minister wydała rozporządzenie o maksymalnej liczbie uczniów w klasie (najwyżej 28), ich liczebność pozostaje bardzo duża. – W klasie bliźniaków jest 25 dzieci – mówi Jacek. – W zeszłym roku było ich ok. 30, więc powinno być lepiej. Ale syn wciąż niewiele wynosi z lekcji, 25 uczniów to dużo nawet jak na liceum, a tu chodzi o trzecią klasę podstawówki.

Zdaniem Przemysława Sadury reforma edukacji przyczyni się do wzrostu nierówności również na dłuższą metę. – Wszystkie badania pokazują, że im wcześniej dziecko zostaje włączone w instytucjonalną edukację, tym lepiej z punktu widzenia nierówności społecznych. To samo dotyczy progu selekcji do liceów: im później ona następuje, tym bardziej wyrównane są szanse edukacyjne. Cofnięcie reformy sześciolatków i likwidacja gimnazjów są działaniami na szkodę tych rodzin, które nie mają wystarczających zasobów.

Jak podkreśla badacz, celem utworzenia gimnazjów w 1999 r. miało być właśnie zniwelowanie nierówności. Jednak nie wszędzie to się powiodło. W niektórych dużych miastach stopniowo następował bowiem podział na szkoły lepsze i gorsze, co – według socjologa – wynikało z niewystarczającego egzekwowania zasady rejonizacji szkół. Wystarczyłoby zatem zadbać, by rejonizacja obowiązywała wszędzie.

## CHAOS I POZORY

Argument o wyrównywaniu szans jest stałym refrenem „dobrej zmiany" w edukacji. „Żyjemy w kraju, w którym mówimy o wyrównywaniu szans edukacyjnych, a gimnazja, które miały to zapewnić, obchodziły ustawy, żeby się różnicować. Każde dziecko zasługuje na dobrą szkołę!" – te słowa minister Zalewskiej z toruńskiej konferencji sprzed dwóch lat przypomina Przemysław Sadura w publikacji „Państwo, szkoła, klasy".

W liście pani minister z tego roku czytamy: „Zmieniamy szkołę po to, aby każdy uczeń, bez względu na to, skąd pochodzi oraz jaki jest status materialny jego rodziców, miał dobrą szkołę i dostęp do dobrej edukacji".

Z kolei podsumowując program „Dobry Start", czyli udzielenie rodzicom wsparcia w wysokości 300 zł na szkolną wyprawkę, MEN niemal ogłasza wyeliminowanie szkolnych podziałów. – Wyprawka nie powinna dzielić w szkole dzieci na lepsze i gorsze – mówił premier Mateusz Morawiecki 30 sierpnia na konferencji podsumowującej efekty programu. Szefowa MEN z kolei obwieściła „zniknięcie trosk" związanych z brakiem odpowiedniego wyposażenia dzieci. Według danych MEN z 3,4 mln rodzin uprawnionych do świadczenia wniosek złożyło już ponad 2,5 mln. „Do rodzin trafiło ponad 550 mln zł", czytamy na stronie ministerstwa.

**Minister Zalewska obwieściła koniec podziałów ekonomicznych wśród dzieci. Ale czy równość jest kwestią wyprawki?**

Agnieszka: – Trochę mnie dziwi, że te pieniądze nie poszły na wyposażenie szkół. Przecież można by zrobić tak, że wszystkie potrzebne przybory są już na miejscu. A tak jeden kupi najtańszy plecak za 70 zł i najtańsze kredki w promocji w sieciówce, a drugi dołoży stówę, żeby dziecko miało wszystko „wypasione". I będą się porównywać.

Wobec tylu argumentów równościowych dziwi fakt, że to wcale nie walka z nierównościami była powodem reformy pierwotnie podawanym przez rząd. W piśmie sejmowym z roku 2014 Prawo i Sprawiedliwość podnosiło „wpływy antywychowawcze" gimnazjów i konieczność powrotu do starych metod kształcenia ogólnego. Wśród postulatów figuruje powrót do „przedmiotów kanonicznych" wraz ze „wzmocnieniem roli języków starożytnych". Sporo miejsca w projekcie „programu naprawczego" poświęcono dyscyplinie: „Zbyt niska ocena z zachowania uniemożliwi promocję do następnej klasy", czytamy. Przywołuje to na myśl raczej tęsknotę za minioną epoką niż edukację równościową.

*Katarzyna Wierzbicka*

**W nowym numerze tygodnika „NIE":** Ruda i nie w ciemię bita. Sylwetka Jej Ekscelencji Georgette Mosbacher, ambasador USA w Warszawie.

eprasa.pl 3233531b64

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

# NA CO KOMU NAPADAĆ NA POLSKĘ???

Kiedy pisałem te słowa, pielęgniarki z Przemyśla zbliżały się do trzeciego tygodnia głodówki protestacyjnej; tak, tak – walczą o swoje płace. Równocześnie Naczelna Izba Pielęgniarek i Położnych alarmowała, że w Polsce już brakuje 100 tys. pielęgniarek, a w najbliższych latach liczba ta wzrośnie o kolejne 60 tys. W tych samych dniach na wyklęczaną i wyżebraną wizytę do Białego Domu udał się Andrzej Duda, prezydent Rzeczypospolitej. W cyklu „komediowe symulacje uprawiania polityki" postanowił się wykazać inicjatywą. Czyli zaoferował, nieindagowany, że Polska chętnie zapłaci miliardy dolarów za obecność stałej bazy wojskowej USA w naszym kraju. Prezydent USA Donald Trump chrząknął z zadowoleniem, że to wzorcowa postawa, bo inni za gwarancje bezpieczeństwa płacić nie chcą, a Polacy (w osobie Dudy) i owszem.

Można by tu się zatrzymać i zastanowić, czy tak powinno się prowadzić gierki polityczne, czy zamiast próbować jakichś negocjacji, należy deklarować w ciemno komuś, komu nie można wierzyć, ufać, wpłatę takiej daniny. Można zapytać, czy Duda ma pełnomocnictwo społeczne, żeby powyższą sumę (na początek, rzecz jasna) obiecywać w imieniu polskiego społeczeństwa. Można też zapytać: a skąd te miliardziki dolarów? Nie od parady byłoby postawienie pytania, czy może inne cele nie wymagają takiego zastrzyku kasy. A może pielęgniarki są w Polsce bardziej potrzebne niż baza amerykańskich żołnierzy?

**Dudo, dawaj kasę polskim pielęgniarkom, a nie amerykańskiemu szarlatanowi.**

Ale zastanówmy się przez chwilę nad czymś zupełnie innym. A mianowicie przed jakim zagrożeniem ta kawaleria z Fortu Trump (Andrzej Duda w pakiecie swoich niekompetencji politycznych doskonale mieści także humorystyczne lizusostwo i chłopięce zabawy w cwaną próżność) miałaby nas bronić.

Przegląd zagrożeń należałoby zacząć od sąsiadów, ponieważ w światowej historii (oprócz historii USA oczywiście, bo oni akurat specjalizują się w wywoływaniu konfliktów zbrojnych jak najdalej od siebie i stąd potem takie zdziwienie, że ktoś postanowił zaatakować im WTC) najczęściej to sąsiedzi na siebie napadają i wojenną pożogę przynoszą. Skądś trzeba zacząć – zacznijmy od północy. Wszak Szwedzi już tu byli, ale na szczęście Czarna Madonna tak ich pogoniła, że dzisiaj wolą nam podsyłać ikeowskie meble z polskiej sosny oraz nowe volviaki, niż na nas ruszać hurmem. Inni skandynawscy przezmorscy sąsiedzi również jakoś marnie się zapowiadają na agresorów. Z Niemcami, tylko przypomnę, jesteśmy w jednym euroatlantyckim sojuszu wojskowym, choć akurat u boku jankesów niemieccy żołnierze nie towarzyszyli nam w Iraku. Niemcy przez lata były jedną z najprzyjaźniejszych nam europejskich potęg, równocześnie, jak na wszystkich innych krajach, suto na nas zarabiając. Oprócz historycznych fantasmagorii polskiej prawicy nie widać żadnych oznak militarnego zagrożenia, a do Deutsche Banku *marines* i tak nie wejdą. Czesi chyba umarliby ze śmiechu, gdyby przedstawić im scenariusz ataku na Polskę, nawet uzasadniając go rewanżem za rok 1938 i 1968. Słowacy udaliby, że nie rozumieją po polsku, poza tym łączy nas staropolsko-starosłowacka katolicka niechęć do Romów, ale przecież swoich Romów Słowacy świetnie prześladują na miejscu. Litwini? No, oni akurat mieliby sporo powodów, ale potencjału brak, poza tym chyba też jesteśmy razem z nimi w NATO, podobnie jak z Łotwą i Estonią. Białoruś? Chyba żeby ktoś Łukaszence bardzo kazał. Ukraina – ma dość swoich kłopotów.

I tak doszliśmy do jedynego realnie artykułowanego przez polskich polityków zagrożenia, czyli do granicy z Rosją. Rosja – imperium zła. Rosja wiecznie wroga. Rosja nigdy niezaspokojona. Doprawdy?

Nie przestaje mnie zadziwiać opowieść o zagrożeniu ze strony Rosji. Bo próbuję sobie odpowiedzieć na najoczywistsze, najprostsze, nieuniknione pytanie: a na co to Rosji? Jaki istnieje choć jeden racjonalny powód, żeby atakować Polskę? Mówią: bo oni atakują sąsiadów – Ukrainę, Gruzję, Abchazję. No cóż, ale wszystkie te kraje zaczęły się tulić do Zachodu. Po co Rosji Polska? Bo jakieś tu bogactwa, skarby, złoża? Przecież następnego dnia mieliby tu 300-tysięczną armię niepokornych partyzantów, od kibiców po katechetów, od strażaków po punkty oporu w każdym warzywniaku. A jakie zyski? Gaz i tak kupujemy od Rosji. Jabłek nie sprzedajemy. Straszenie Polski Rosją jest jakąś aberracją rusofobiczną. Nie widać żadnych istotnych interesów, które Rosja mogłaby sobie załatwić jakąś formą agresji militarnej na Polskę. Rosja wystarczająco dobrze sobie radzi w Polsce, mając niemal jawnie w polskim rządzie swoich (och, przez chwilę byłych) ministrów (Antoni Macierewicz) i całe antyeuropejskie nastawienie polexitowe rządzącej formacji.

Dudo, dawaj zatem kasę polskim pielęgniarkom, a nie amerykańskiemu szarlatanowi za ślepą inwestycję w iluzoryczną obronę przed wyimaginowanym wrogiem. I usiądź, zanim cię posadzą.

**Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl**



eprasa.pl 3233531b64

Rozmawia Michał Sobczyk

# Transport postawiony na głowie

Kolejowe połączenia regionalne się nie spinają, a za komunikację autobusową nikt nie czuje się odpowiedzialny

**KAROL TRAMMER**

– ekspert w dziedzinie transportu zbiorowego i rozwoju regionalnego, redaktor naczelny dwumiesięcznika „Z Biegiem Szyn"

**Od trzech lat rządzi w Polsce partia, która mówi o konieczności równomiernego rozwoju kraju i wyrównywania szans mieszkańców mniejszych ośrodków. Jak te zapowiedzi sprawdzają się w polityce transportowej?**

– „Dobra zmiana" nastąpiła głównie na płaszczyźnie deklaracji. Szczególnie krzepiąca była dla mnie zapowiedź, że nie będzie dalszego likwidowania linii kolejowych, w czym Polska po 1990 r. była europejskim, a może i światowym liderem. Niestety, wykonanie jest dużo gorsze. Obietnica już została złamana. Mam nam myśli likwidację i rozebranie przez PKP, przy akceptacji rządu, linii Wolsztyn-Nowa Sól-Żagań. Zrobiono to, aby samorząd mógł spełnić swoją zachciankę i poprowadzić jej śladem… ścieżkę rowerową. Co prawda, wspomniana linia od lat nie była wykorzystywana, ale tkwił w niej znaczny potencjał – przede wszystkim dla transportu towarowego, co wskazywali zainteresowani jej użytkowaniem przedsiębiorcy zrzeszeni w Związku Niezależnych Przewoźników Kolejowych, ale również pasażerskiego. Mogła być najkrótszym ciągiem łączącym aglomerację poznańską z aglomeracją Żary-Żagań.

Drugim przykładem, że wiele zostało po staremu, jest brak zgody na przekazanie samorządom z okolic Świeradowa-Zdroju zarośniętej linii kolejowej, na której chciały one przywrócić połączenia – obecnie bowiem do tego kurortu nie da się dojechać pociągiem. Okazuje się, że jeśli samorządy chcą nie demontować tory, tylko przywrócić połączenie kolejowe, nie mogą liczyć na pomoc państwowego przewoźnika.

**Przecież były ministerialne zapowiedzi przywracania zlikwidowanych połączeń i uruchamiania nowych.**

– W ostatnich latach PiS odpowiadało za regionalne połączenia kolejowe jedynie na Podkarpaciu. Tylko tam ma obecnie większość w sejmiku, a to na samorządach wojewódzkich spoczywa na dobrą sprawę cała odpowiedzialność za to, gdzie, jak często i w jakich godzinach kursują pociągi regionalne. W tym regionie kolej – mówiąc delikatnie – nie funkcjonuje idealnie. Zadowalający ruch jest właściwie tylko na głównej magistrali przecinającej Podkarpacie, czyli Tarnów-Rzeszów-Przemyśl, a po jej obu stronach pociągów jest dużo mniej niż w innych województwach. Mielec, jedno z największych miast regionu, pozostaje odcięty od kolei.

To jednak za mało, by oceniać partię rządzącą w kontekście regionalnej polityki rozwoju kolei. Jej rozliczanie będzie możliwe dopiero po wyborach samorządowych, w których prawdopodobnie przejmie ona władzę przynajmniej w kilku województwach. Zobaczymy wówczas, czy sytuacja będzie tam wyglądała jak na Podkarpaciu, czy raczej jak na Dolnym Śląsku, gdzie liczba połączeń jest zwiększana.

**Skoro za kolej na poziomie regionów odpowiadają samorządy, a przewozy autobusowe to domena prywatnych przewoźników, jakie są w ogóle możliwości prowadzenia prospołecznej polityki transportowej na szczeblu centralnym?**

– Skoro poszczególne regiony bardzo różnie sobie radzą z rozwojem kolei, można wyobrazić sobie sytuację, w której rząd uznaje, że nie może być tak, że ktoś jest pokrzywdzony w dostępie do transportu ze względu na miejsce zamieszkania. I wprowadza jednolite standardy, mówiące np., że na liniach regionalnych pociągi muszą jeździć co najmniej raz na dwie godziny. Jednak za taką deklaracją musiałyby pójść pieniądze.

Na razie rząd jedynie zapowiedział nieoficjalnie, że będzie wspierał samorządy w finansowaniu połączeń na styku województw. Jednym z ubocznych skutków decyzji, że to sejmiki odpowiadają za kolejowe połączenia regionalne, jest to, że na granicach województw te połączenia przeważnie się nie spinają, zwłaszcza jeśli dany samorząd utworzył własną spółkę kolejową. Przykładem może być linia Radom-Łódź. Pociągi Kolei Mazowieckich kursują od Radomia do granicy województwa, czyli do stacji Drzewica, a potem mamy kilkanaście kilometrów bez połączeń kolejowych – ruch w kierunku Łodzi zaczyna się dopiero od Tomaszowa Mazowieckiego. W efekcie mieszkańcy Drzewicy czy Przysuchy, którzy przy lepszej ofercie kolejowej mogliby korzystać z mazowieckiego, łódzkiego i świętokrzyskiego rynku pracy i edukacji,



eprasa.pl 3233531b64

tak naprawdę wszędzie mają daleko. Rządowe wsparcie uzupełniania siatki połączeń może znacząco odmienić los takich „nadgranicznych" społeczności, bez niego skazanych na peryferyzację.

**Co konkretnie państwo może zrobić dla poprawy komunikacji autobusowej?**

– Zasadniczy problem polega na tym, że za ten środek transportu nikt nie czuje się odpowiedzialny. Powód? Ustawa o publicznym transporcie zbiorowym fatalnie rozdziela kompetencje w tym zakresie. Wygląda to tak: jeżeli linia biegnie przez teren jednej gminy, odpowiedzialna za nią jest ta gmina, jeżeli biegnie przez teren dwóch gmin, odpowiedzialny za nią jest powiat, a jeżeli przekracza granice powiatu, jak choćby linia z Ostrołęki do Ciechanowa, odpowiada za nią samorząd województwa. Tymczasem nie da się stworzyć dobrego systemu transportu lokalnego czy regionalnego, rozdzielając kompetencje między trzy szczeble samorządu. Inna sprawa, że samorządy niektórych województw udają, że nie czytały ustawy, i publicznie twierdzą, że za przewozy autobusowe są odpowiedzialne wyłącznie gminy i powiaty.

Jeżeli chcemy sensownej sieci połączeń autobusowych, ustawodawca powinien skumulować kompetencje na jednym szczeblu samorządu. Skłaniam się do tego, by był to poziom województwa. Tak jest np. w Czechach, gdzie za regionalną komunikację autobusową i kolejową odpowiadają samorządy regionów. Dzięki temu można stworzyć racjonalny system, w którym te dwa środki komunikacji ze sobą nie konkurują, tylko się uzupełniają. Standardem europejskim jest, że autobusy dowożą pasażerów do miejsc, gdzie mogą oni wygodnie się przesiąść do często kursujących pociągów.

**Nawet najbardziej racjonalny system wymaga dużych nakładów.**

– Wszystkie samorządy przekonują, że są w tragicznej sytuacji finansowej i nawet gdyby chciały coś poprawić, to nie mają pieniędzy na komunikację autobusową. Tymczasem bardzo dużo środków jest przeznaczanych na organizację przewozów szkolnych i refundację ulg ustawowych dla przewoźników autobusowych. Można się zastanowić, czy tych pieniędzy, a mówimy o kilkuset milionach złotych rocznie, nie dałoby się wydawać mądrzej – w taki sposób, by odbudować transport lokalny, od zawsze w Polsce zaniedbany.

**Jak można by to zrobić?**

– Zastępując tzw. gimbusy ogólnodostępnym lokalnym transportem autobusowym w rejonach, w których on właśnie znika albo już zniknął. Nie licząc Stanów Zjednoczonych, na całym świecie dzieci i młodzież dojeżdżają do szkół autobusami normalnie wpisanymi do rozkładu jazdy. Uczniowie są w nich oczywiście głównymi pasażerami, ale jednocześnie oficjalnie służą one także innym pasażerom, którzy potrzebują dojechać do pracy, przychodni czy urzędu gminy.

**Drugi postulat, likwidację ulg, byłoby bardzo trudno przeforsować.**

– Tak, bo wszyscy kochają ulgi. Dotacje do transportu, bo finansowana przez państwo ulga jest dotacją, mają jednak podstawową wadę: sprawiają, że PKS czy innym przewoźnikom najbardziej opłaca się jeździć tam, gdzie jest dużo pasażerów.

Efektem publicznego dofinansowania transportu zbiorowego powinno być utrzymywanie połączeń ważnych z powodów społecznych, choć przynoszących przewoźnikom bardzo małe przychody. U nas zostało to postawione na głowie: mały ruch oznacza małą sprzedaż biletów ulgowych, a więc małe wpływy z dopłat do biletów ulgowych, natomiast duży ruch oznacza dużą sprzedaż biletów ulgowych, czyli duże wpływy z dopłat. Dlatego przewoźnicy w pierwszej kolejności wycofują połączenia z ciągów, na których nie ma żadnej alternatywy transportowej. Lepiej wydawać pieniądze z budżetu na wsparcie obszarów kryzysowych pod względem transportu publicznego niż tych, gdzie ruch jest na tyle duży, że i bez ulgi linie będą rentowne.

**Jak w praktyce miałoby to wyglądać?**

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI



eprasa.pl 3233531b64

– Mógłby powstać fundusz podobny do tego, który rząd proponuje w związku z planami budowy mostów. Trafiałyby do niego środki zaoszczędzone na gimbusach i refundacji ulg, a korzystałyby z tych funduszy zainteresowane samorządy pod warunkiem wniesienia niewielkiego wkładu własnego. Jednak docelowo odbudową lokalnego transportu autobusowego powinien się zajmować samorząd województwa. Z tej przyczyny, że tylko wtedy można zaplanować naprawdę efektywne sieci połączeń, ale również dlatego, że taniej ogłaszać przetargi na realizację przewozów, jeżeli mamy do czynienia z siatką obejmującą cały region, a nie jedną gminę. Koszty administracyjne takiego przetargu czy koszty kontroli wykonania usług rozkładają się wówczas na większy obszar.

**Jakie inne zmiany mogłyby ułatwić dostęp do transportu zbiorowego?**

– Przede wszystkim powinniśmy się zastanowić, czy budżet państwa nadal ma dopłacać do dalekobieżnych połączeń kolejowych. Wszystko wskazuje, że takie trasy jak Warszawa-Kraków czy Poznań-Wrocław są na tyle atrakcyjne, że przewoźnicy są w stanie obsługiwać na nich rentowne połączenia bez dofinansowania ze środków publicznych. Zaoszczędzone pieniądze można by przeznaczyć na wsparcie połączeń kolejowych z ośrodkami, które obecnie ich nie mają albo dostępna dla nich oferta jest bardzo słaba. Można też rozważyć wrzucenie pieniędzy budżetowych, które zostały „zdjęte" z dotowania połączeń kolejowych na trasach między największymi miastami, do funduszu odbudowy lokalnych połączeń autobusowych.

**Zapewne możliwe jest także bardziej racjonalne finansowanie transportu zbiorowego na poziomie regionów.**

– Duże rezerwy tkwią w efektywności wykorzystania taboru kolejowego. Na liniach, gdzie jeżdżą trzy pary pociągów na dobę, bardzo często wykorzystuje się tyle samo składów, ile w Czechach na liniach, gdzie jeżdżą one co godzinę od 4 rano do północy. Po prostu tam każdy skład jeździ w tę i z powrotem, podczas gdy u nas przez dużą część dnia stoi bezczynnie. W części regionów pokutuje przekonanie, że w tzw. międzyszczycie ludzie nie będą jeździli koleją. Tymczasem w Europie, gdzie standardem jest ruch regularny, np. co godzinę przez cały dzień, pociągi międzyszczytowe są bardzo popularne. Co więcej, o ile w szczycie dominują pasażerowie jeżdżący do pracy czy do szkoły, z biletami miesięcznymi, w pozostałych godzinach przeważają osoby kupujące bilety jednorazowe, bardziej opłacalne dla przewoźnika. W efekcie pociągi międzyszczytowe, zaspokajające potrzeby dojazdu do urzędów albo na zakupy, często są bardziej rentowne niż te szczytowe.

**Ważnym narzędziem rozwoju transportu zbiorowego mogą być ceny biletów.**

– Częstym błędem jest przekonanie, że jeżeli chcemy poprawić rentowność danego połączenia kolejowego czy autobusowego i w efekcie uratować je przed likwidacją, musimy zwiększyć ceny biletów. Każda podwyżka powoduje odpływ pasażerów, zwłaszcza do własnych samochodów, a wyższe ceny nie zawsze są w stanie go zrekompensować. To obniżki cen biletów mają większy potencjał poprawy wyników ekonomicznych zagrożonych połączeń. Dowodów dostarcza choćby województwo zachodniopomorskie, gdzie już kilka lat temu znacząco zmniejszono opłaty za przejazd pociągiem, a mimo to przychody się zwiększyły. Nie jest to żadna magia. Po prostu atrakcyjne ceny biletów przyciągnęły tyle pasażerów, że całkowity przychód ze wszystkich połączeń na danej linii się zwiększył. Takie decyzje przynoszą korzyści na bardzo wielu płaszczyznach. Nie tylko zwiększają dostępność transportu dla mieszkańców i jego opłacalność dla przewoźników, ale także np. zmniejszają zatłoczenie dróg, ilość emitowanych zanieczyszczeń lub zapotrzebowanie na nowe parkingi w miastach.

**Takie recepty, pozwalające zmniejszać nierówności transportowe, a niewymagające dodatkowych nakładów, są na wagę złota.**

– Nie musimy tutaj odkrywać Ameryki, wystarczy się przyjrzeć rozwiązaniom stosowanym w innych krajach. W Europie standardem jest, że pociągi jeżdżą równo co godzinę, co jest podstawą atrakcyjności tego środka komunikacji. Bo jeżeli mamy na dobę trzy pociągi z Olsztyna do Braniewa, wyruszające o godz. 5.02, 15.51 i 20.49, nikt nie będzie zainteresowany codziennym korzystaniem z kolei, chyba że wygra los na loterii i akurat te godziny będą mu pasować w związku z wykonywaną pracą. Ale przecież jedni pracują do godz. 15, drudzy do 17; jedni mają do dworca 20 minut, drudzy 10; niektórzy lubią po drodze na pociąg zrobić zakupy, bo w ich wsi nie ma już takiej możliwości, albo po lekcjach iść na spacer z dziewczyną czy zajrzeć do księgarni. Mając trzy połączenia na dobę, nie jesteśmy w stanie zaspokoić wszystkich tych potrzeb, tym bardziej że one są zmienne, np. ktoś w poniedziałki i czwartki kończy naukę o godz. 14, a we wtorki, środy i piątki o 15. Taki uczeń nie będzie podróżował pociągami wyłącznie w dni, kiedy mu to pasuje – on w ogóle przestanie z nich korzystać.

**Rząd chyba nie jest w stanie wymusić tak częstego kursowania pociągów.**

– Część samorządów jest zainteresowana uruchamianiem pociągów kursujących równo co 60 czy 120 minut, a zgodnie z prawem oznacza to pierwszeństwo w dostępie do torów kolejowych. Niestety, w praktyce zamówienia na równomierne kursowanie pociągów rozjeżdżają się na etapie konstrukcji rozkładu, czym zajmuje się państwowa spółka PKP Polskie Linie Kolejowe na podstawie zapotrzebowania zgłaszanego przez samorządy. W efek-

W Europie standardem jest, że pociągi jeżdżą równo co godzinę. To podstawa atrakcyjności tego środka komunikacji.

Na całym świecie, poza USA, dzieci i młodzież dojeżdżają do szkół autobusami normalnie wpisanymi do rozkładu jazdy.



eprasa.pl 3233531b64

cie w Polsce, w przeciwieństwie do innych krajów Europy, wspomniane rozwiązanie właściwie nigdzie nie funkcjonuje.

Inna sprawa, że rozkład jazdy zmienia się u nas co dwa-trzy miesiące. W związku z tym nawet gdyby dany pociąg odjeżdżał, dajmy na to, 47 minut po każdej godzinie, za kwartał mógłby już jeździć osiem minut później, a za kolejne dwa miesiące o kilku różnych godzinach. Tymczasem do tego, że z kolei warto korzystać i że można na niej polegać, ludzi przekonuje nie tylko tzw. cykliczny rozkład pociągów, ale także stabilność oferty przynajmniej przez rok – choć są kraje, gdzie jest ona niezmienna w dużo dłuższych okresach.

**U nas ktoś wymyślił, że trzeba dostosowywać rozkład jazdy do remontów i modernizacji torów.**

– W ten sposób wylano dziecko z kąpielą, bo nie dość, że zrezygnowano z prób ułożenia stabilnej oferty, to jeszcze kolejne rozkłady i tak nigdy nie są w pełni dostosowane do aktualnej sytuacji, bo np. inwestycje na sieci kolejowej się opóźniają. Często zmieniające się godziny kursowania pociągów w połączeniu z brakiem punktualności składają się na jeden wielki chaos.

**Dostęp Polaków do usług transportowych mogłyby zwiększyć też rozwiązania niestosowane dotąd w naszym kraju.**

– Cała Europa jest pod tym względem kopalnią pomysłów. Przykład pierwszy z brzegu: popularny w Niemczech tzw. system Karlsruhe, w którym tramwaje na terenie miasta jeżdżą normalnie po ulicach, po czym na peryferiach przejeżdżają na linie kolejowe i stają się pociągami podmiejskimi. Dzięki temu pasażer wsiadający do tramwaju na stacji kolejowej w swoim miasteczku czy wsi bez przesiadki dojeżdża na rynek czy pod uniwersytet. Ten model jest godny rozważenia w miastach takiej wielkości jak Częstochowa, Grudziądz czy Elbląg.

Z kolei Szwajcaria, ale również Czechy i Niemcy, mogą inspirować, jeśli chodzi o obsługę komunikacyjną słabo zaludnionych obszarów, gdzie tradycyjne linie komunikacyjne nie mają szans być rentowne. Zorganizowano tam autobusy na telefon. W najprostszym modelu istnieje rozkład jazdy, ale kursy są realizowane wyłącznie wtedy, kiedy ktoś z odpowiednim wyprzedzeniem, np. godzinnym, zadzwoni, że jest zainteresowany przejazdem. Drugi model polega na tym, że mikrobusy jeżdżące na wyznaczonym obszarze na bieżąco dostosowują trasę do potrzeb: jeżeli ktoś dzwoni ze wsi A, to kierowca podjeżdża do wsi A, zawozi go do wsi C, po drodze bierze kogoś ze wsi B i wiezie go potem dalej do miasteczka z dworcem kolejowym.

Niestety, polskie prawo na razie wymaga, by transport publiczny był sztywny – nie może być tak, że autobus raz pojedzie tędy, a kiedy indziej tamtędy, albo raz pojedzie, a raz nie.

**Warto pomyśleć o jego zmianie, gdyż autobusy na telefon wydają się bardzo obiecującym rozwiązaniem.**

– W starym systemie, gdy wieś ma rozrzuconą zabudowę, nie da się tak poprowadzić linii, żeby każdy miał w miarę blisko do przystanku. Autobus, który podjeżdża bliżej i jest dostępny na wezwanie o każdej porze, a nie np. cztery razy dziennie w godzinach przewidzianych w rozkładzie jazdy, sprawia, że elastyczność korzystania z transportu publicznego staje się bliska elastyczności zapewnianej przez własny samochód.

W Szwajcarii po zastąpieniu części sztywnych linii autobusami na telefon zanotowano wzrost wykorzystania transportu publicznego. Kryzys spowodował wymyślenie rozwiązania, które przyniosło nie tylko doraźną poprawę sytuacji, ale wręcz rozwój mobilności niezależnej od samochodu. W Polsce rzadko idzie się w tę stronę, częściej wybieramy kolejne kroki na równi pochyłej.

*Michał Sobczyk*

Częste zmiany godzin kursowania pociągów w połączeniu z brakiem punktualności składają się na jeden wielki chaos.

## DNI ŚWIECKOŚCI 2018

**Stowarzyszenie Wszechnicy Oświeceniowo-Racjonalistycznej zaprasza na organizowane co roku w Krakowie Dni Świeckości**

**Środa, 26 września**

- **godz. 18** – wernisaż wystawy prac satyrycznych Petera Herla. **Klub Kultury Kazimierz, ul. Krakowska 13**. Wystawa będzie czynna do 7 października. Wstęp wolny.

**Piątek, 28 września**

- **godz. 17** – dyskusja na temat **„W co wierzą Polacy"**. Na podstawie badań Pew Research porozmawiamy o tym, jak polskie społeczeństwo wypada na tle innych społeczności Europy, jakie tendencje zmian da się zaobserwować. **Kawiarnia Literacka, ul. Krakowska 41.**
- **Wieczorem premierowy pokaz filmu „Kler"** w reżyserii Wojciecha Smarzowskiego, zorganizowany przy współpracy z Dyskusyjnym Klubem Filmowym „Rozpięci". Po seansie – dyskusja o pozycji księży w dzisiejszym społeczeństwie. **Kino Agrafka, ul. Krowoderska 8, I p.**

**Sobota, 29 września**

- **godz. 13** – **Marsz Świeckości 2018** – rozpoczęcie **na placu Szczepańskim.**
- **godz. 17** – dyskusja nt. Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka. **JCC Kraków, ul. Miodowa 24.**

**Niedziela 30 września**

- **godz. 10** – rozmowa **„Świeckość i co dalej"** – w ramach prac komisji programowej Kongresu Świeckości. **Lokal Stowarzyszenia Kuźnica, ul. Miodowa 41, I p.**

**Szczegółowy program znajduje się na wydarzeniu facebookowym oraz na naszej stronie www.swor.pl.**

**Tegoroczne dni organizowane są wspólnie z krakowskim oddziałem Towarzystwa Kultury Świeckiej oraz Koalicją Ateistyczną i Kongresem Świeckości.**

**Czekamy na Was. Świeckość jest dla wszystkich.**



eprasa.pl 3233531b64

Artur Zaborski

Korespondencja z 43. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni

# KINO CHCE ZMIENIĆ POLSKĘ

Reżyserzy skupiali się na lokalności – powrócili Kaszubi i Lachowie, odżyły zapomniane legendy i mity

Polscy twórcy byli w tym roku wyjątkowo zgodni. Zarówno uznani mistrzowie, jak i młodzi reżyserzy jakby się umówili i w swoich filmach zastanawiali się nad skomplikowaną tożsamością Polaka. Z ekranów gdyńskich kin padły pytania, co to właściwie znaczy nim być, a w filmowych rzeczywistościach skupiano się na lokalności – powrócili Kaszubi i Lachowie, odżyły zapomniane legendy i mity, którymi nas straszono, rozbrzmiały piosenki Mazowsza, zajmowano się tematami z obrzeża kraju, a nie z centrum. Tak jakby w ten sposób filmowcy wyrazili bunt przeciw postępującemu, zwłaszcza w sferze publicznej, ujednolicaniu nas i zapewniali, że wszyscy jesteśmy równi, niezależnie od tego, jak się definiujemy. I wszystkich należy oceniać tak samo, bez względu na to, czy nosimy mundur, arystokratyczne suknie, obozowy pasiak czy sutannę.

W czasach kiedy politycy przerzucają się terminami w rodzaju „prawdziwi Polacy", twórcy reagują i pokazują, że to, co w dyskusji politycznej uproszczone, w rzeczywistości jest niejednoznaczne. „Polska raz jest, a raz jej nie ma", mówi bohater „Kamerdynera" Filipa Bajona, który przedstawia pół wieku z historii Kaszubów, raz rządzonych przez Niemców, raz przez Polaków, za chwilę przez Rosjan. Każda nowa władza chciałaby ich zaliczyć w poczet swoich, a oni chcą pozostać osobni. Mają swój język, zwyczaje, pomysł na siebie i najlepiej, gdyby wszyscy dali im święty spokój.

Bajon stał się naczelnym reżyserem dramatów kostiumowych, które w Polsce wciąż należą do rzadkości – nasze kino historyczne to przecież powstanie warszawskie, „wyklęci" i inni herosi, którzy za dobro ojczyzny przelali krew. Bajona podobne atrakcje w ogóle nie interesują. Jego bohaterowie nie walczą o idee, tylko próbują utrzymać pozycję mimo kryzysów. Chichot losu jest szczególnie słyszalny przy kolejnych przełomach: traktat wersalski, okupacja niemiecka i wreszcie żelazna kurtyna wywracają znane porządki do góry nogami: ludzie tracą majątki, Niemcy to uciekają, to wracają po swoje, własność przechodzi z rąk do rąk, arystokracja staje się biedotą, a słudzy zamieniają się pozycją z panami. U Bajona jednak bohaterów wyniszcza nie tylko historia, ale i oni sami. Akcja toczy się w szlacheckim pałacu, którego najbardziej nienawidzą nie chłopi, lecz dzieci hrabiów. Bo w filmie podział na oni i my obowiązuje także w hierarchii domowej. W ekranowym świecie antagonizmy etniczne są niczym w porównaniu ze starciami wewnątrz danej grupy.

I połowa XX w., kiedy dzieje się akcja „Kamerdynera", była przez reżyserów szczególnie chętnie eksplorowana. Okres kształtowania się nowoczesnego państwa polskiego pozwolił na zadanie pytań o naszą skomplikowaną tożsamość, a także zmusił do refleksji, na czym zostały wzniesione fundamenty współczesnej Polski. Żeby poruszyć te kwestie, Jan Jakub Kolski w „Ułaskawieniu" sięgnął po historię z rodzinnego domu. Jego babcia, która straciła syna, zdecydowała się przejść długą drogę, by pochować ciało w rodzinnej ziemi. Kobieta poddała się dość szybko, ale ekranowa bohaterka (Grażyna Błęcka-Kolska) uparcie dąży do celu. Film Kolskiego wypełniony jest rozmowami o tym, kto kogo skrzywdził, a kto kogo ocalił. Nic nie jest w nich czarno-białe: w obozie

Jan Jakub Kolski w „Ułaskawieniu" sięgnął po historię z rodzinnego domu.



eprasa.pl 3233531b64

reżysera Michał Koterski), który na kozetce u psychoterapeutki wraca do czasów dzieciństwa. To tam ma znaleźć przyczyny swoich późniejszych niepowodzeń. My cofamy się razem z nim i oglądamy dorosłe już pokolenie, które dojrzewało w czasie wojny.

## „Kamerdyner" Filipa Bajona – pół wieku z historii Kaszubów.

– Polacy mają problemy z przepracowywaniem wielu uczuć, zwłaszcza pokolenie, które zahaczyło o wojnę. Ludzie, którzy ten czas przeżyli, a nawet ci, którzy podczas wojny się urodzili i pozornie niewiele pamiętają, często nie potrafią rozmawiać o swoich traumach, wypierają je. Tę emocjonalną ułomność przekazują dalej. Rodzice

## W „7 uczuciach" Marka Koterskiego bohater na kozetce wraca do czasów dzieciństwa.

koncentracyjnym to esesman uratował męża bohaterki, a najniebezpieczniejszym wrogiem okazał się Polak.

Dla Kolskiego świat nie jest jednoznaczny ani oczywisty, podział na dobrych i złych nie może obowiązywać, gdy nie wiadomo nawet, kto wróg, a kto przyjaciel. Szczególnie gorzko przedstawia się rozmowa rodziców o zabitym synu, „żołnierzu wyklętym". Nie ma w niej miejsca na wielkie słowa o ojczyźnie czy patriotyzmie. Jest żałoba i konstatacja, że nowe państwo rodzi się na krwi, bólu, cierpieniu i nieprzepracowanych traumach.

Do podobnych wniosków dochodzi w „7 uczuciach" Marek Koterski. Powraca tu jego sztandarowy bohater, Adam Miauczyński (w tej roli syn dzieci z filmu „7 uczuć" to właśnie pokolenie powojenne. Jedni cierpią na nieumiejętność okazywania miłości, drudzy na alkoholizm, jeszcze inni stają się tyranami. Ich ofiarami są dzieci, a oni są ofiarami historii – mówiła mi w Gdyni Gabriela Muskała, która wcieliła się w opętaną sukcesem Weronikę.

Muskała pojawiła się na festiwalu nie tylko jako aktorka, ale też scenarzystka „Fugi", wyreżyserowanej przez Agnieszkę Smoczyńską-Konopkę (PRZEGLĄD nr 37). Podstawą scenariusza była zaczerpnięta z programu „Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie" historia kobiety cierpiącej na fugę dysocjacyjną, czyli reakcję mózgu w sytuacjach kryzysowych. Kiedy nie radzimy sobie z jakimś problemem, mózg kasuje nam pamięć. Filmowa Alicja (w tej roli Gabriela Muskała) po latach wraca do domu, ale nie rozpoznaje rodziny. Jest jak powracający zza grobu dybuk, który chce uporządkować swoje sprawy.

Siłą tego filmu jest niemożliwość oceny bohaterów – Alicji współczujemy, ale wkurza nas jej bunt i niepodporządkowanie. Tak samo jest z jej partnerem (znakomity Łukasz Simlat), którego nie da się potępić za to, że przestał czekać na żonę, choć z drugiej strony chcielibyśmy, żeby historia dobrze się skończyła. W scenariuszu Muskała zadaje fascynujące pytanie o to, czy można przestać być matką i zapomnieć swoje dzieci.

– Alicja jest kontrowersyjną bohaterką, zaprzeczeniem Matki Polki, porzuca męża i – o zgrozo! – dziecko, co w polskiej kulturze jest zbrodnią. A jednak zauważyłam, że widzowie otwierają się na nią, na jej historię, rozumieją ją i współczują. Może dlatego, że Alicja niczego nie udaje, niczego nie robi, bo tak wypada. Ona nie zna nakazów ani zakazów, Jest szczera do bólu i do bólu prawdziwa. Do tego ma poczucie humoru i dystans do siebie. Tworzyłam tę postać trochę z fascynacji takimi kobietami, które nic nie muszą, które mają silnie osadzoną asertywność – mówi Gabriela Muskała.

Spośród 16 filmów w konkursie głównym „Fuga" jest jednym z trzech zaledwie wyreżyserowanych przez kobiety. Pozostałe to „Twarz" Małgorzaty Szumowskiej, wypis z patologii prowincji, i „Zabawa, zabawa" Kingi Dębskiej, utrzymana w słodko-gorzkim stylu reżyserki opowieść o kobietach, które nie wylewają za kołnierz. Każda z wymienionych to już kinowa autorka pełną gębą – mają swój sposób opowiadania i patrzenia na świat. Na silne kinowe osobowości wyrastają też Jagoda Szelc, która w konkursie „Inne spojrzenie" pokazała swój drugi film „Monument", i Olga Chajdas, reżyserka „Niny". Świeżość obu tych obrazów przypomina, jak bardzo potrzebna jest w kinie nowa krew.

Olga Chajdas nakręciła historię pary, która pragnie dziecka, ale z powodu



eprasa.pl 3233531b64

problemów zdrowotnych decyduje się na znalezienie surogatki. I to w niej zakochuje się niedoszła matka. W homofobicznym polskim kinie „Nina" jest wyłomem, który pokazuje, że tęczowe historie nie muszą się ograniczać do opowiadania o mniejszościach. To w tym filmie odbijają się polskie bolączki i niepokoje, a w wykluczeniu znajdują porozumienie ci, którzy w jakikolwiek sposób odstają od normy. Reżyserka daje do zrozumienia, że w Polsce na jednym wózku jadą lesbijka i kobieta, która nie może zostać matką – obie podlegają ostracyzmowi. Ale celem „Niny" nie jest biadolenie nad życiem w kraju. To raczej świadectwo niezłomności i pochwała kobiet, które nie zamierzają się poddawać.

Do takich należy Jagoda Szelc, która jakiś czas temu ukuła termin reżyserzyce na określenie kobiet stających za kamerą. Już w debiucie „Wieża. Jasny dzień" młoda twórczyni nakreśliła obszary, które chce eksplorować – mistycyzm, pogranicze jawy i snu, trzeźwości i majaku powracają w „Monumencie", utrzymanym w klimacie „Lśnienia" Kubricka. Bohaterów – praktykantów w hotelu na odludziu – oglądamy w codziennych sytuacjach – do kogoś dociera wiadomość od rodziców, ktoś się kłóci, ktoś zalicza homoseksualną inicjację, komuś tęskno do świata zewnętrznego. Szelc potrafi jednak tak to wszystko wygrać, że trudno siedzieć spokojnie w fotelu. Spodziewamy się, że zaraz coś się stanie, podskórnie czujemy napięcie. Interesujący finał odsyła do współczesnych mistrzów horroru, ale Szelc nikogo nie naśladuje – opowiada po swojemu.

Ożywienie horroru jako gatunku wydaje się mieć związek z powrotem reżyserów do lokalności. Tradycja nadwiślańskiego horroru osadza go albo w miejscowych wierzeniach i legendach („Wilczyca"), albo w czasach historycznych perturbacji („Medium"). Połączeniem jednego i drugiego jest „Wilkołak" Adriana Panka, którego akcja dzieje się tuż po wyswobodzeniu obozów zagłady. Dworek na odludziu, gdzie trafia grupka dzieci, stanie się dla nich więzieniem, gdy dookoła zaczną ginąć ludzie. Mali bohaterowie wierzą, że to esesmani przemienili się w wilki i kończą dzieło, o czym ponoć mówiono po wojnie. Reżyserowi udaje się stworzyć klimat grozy poprzez pokazanie zła jako wynaturzenia, do którego dzieci się przyzwyczaiły. Znają to z obozu. Te widoki powracają do nich w snach. Niestety, mimo klimatu opowieści i wiarygodnej gry młodych aktorów rażą scenariuszowe nielogiczności. Zabrakło żelaznej ręki reżysera, która pozwoliłaby historii się spełnić. Na razie „Wilkołak" to wciąż przedbiegi do satysfakcjonującego horroru psychologicznego.

„Wilkołak" Adriana Panka – przedbiegi do horroru psychologicznego.

Na szczęście dyscypliną wykazał się Wojciech Smarzowski, którego „Kler" (patrz recenzja s. 47) w Gdyni zrobił prawdziwą furorę. Nie pamiętam takiej sytuacji na tym festiwalu – widzowie wciskali się na seanse każdym możliwym wejściem, dziennikarze, którym nie udało się zarezerwować biletu, wkradali się drzwiami dla ekipy technicznej, przez co niektórzy z rezerwacjami ostatecznie na seans nie weszli. „Kler" udowodnił, że kino wciąż może mieć znaczenie, że jest medium, które może wywołać pożar. To był najgorętszy gdyński seans, o którym dyskutowano w kawiarniach i na bankietach. Jedni oburzali się, że to wypaczony obraz Kościoła, w którym jest więcej dobrych niż złych, drudzy składali podziękowania za to, że film powstał akurat teraz. Łatwo nie było, nasi hierarchowie nie wyrazili zgody na kręcenie w kościołach w Polsce. Ekipa pojechała do Czech, gdzie świątynie stanęły przed nimi otworem. Obawy przed „Klerem" były jednak bezpodstawne – Smarzowski, choć korzysta z hiperboli często i gęsto, nie pozwala sobie na obśmiewanie wiary, jego bohaterowie nie są karykaturalni, tylko ludzcy, a film ma dać głos ofiarom księży i upomnieć się o sprawiedliwość w różnych kwestiach. Smarzowski podjął temat, którego boimy się w debacie publicznej. „Kler" ma szansę to zmienić i stać się katalizatorem pretensji wiernych, w co w Gdyni uwierzyliśmy. Bardzo chcieliśmy, żeby kino znów miało moc zmieniania rzeczywistości.

Smarzowski skupia się na Kościele jako instytucji, za to Bartosz Konopka w „Krwi Boga" zabiera nas w fantastyczny świat, gdzie chrześcijański misjonarz obnaża działania szamana hochsztaplera. Takiego filmu nie było od lat – Konopka wyrasta na następcę Grzegorza Królikiewicza, Piotra Szulkina i Andrzeja Żuławskiego, wykorzystuje gramatykę filmu na swój sposób, wymagając od widza skupienia i zaangażowania w opowieść. Nie jest to kino, do jakiego przywykliśmy, łatwo je odrzucić. A jednak zostaje z widzem, głównie poprzez wizyjne i mroczne zdjęcia. Poza tym operuje hierarchicznym usytuowaniem aktorów – jedni stoją nad drugimi, co umiejscawia ich w relacji. To zmiany zachodzące w kadrze mówią o tym, co dzieje się z historią. Konopce udaje się rzadka sztuka przemiany sytuacji ekranowej w coś na kształt misterium, które wywołuje niecodzienne w kinie emocje.

Doskonale z wywoływaniem emocji radzi sobie również Paweł Pawlikowski w „Zimnej wojnie". To kolejny obraz, który portretuje perypetie bohaterów i Polski na przestrzeni lat, a także kolejny film zwrócony w stronę lokalności. Oglądamy miłość Zuli (Joanna Kulig) i Wiktora (Tomasz Kot), którym na drodze do szczęścia stają powojenne zawieruchy polityczne. Pawlikowski pokazuje, jak wielka historia splata się z codziennością bohaterów, choć przecież jedyne, czego chcą, to odciąć się od niej i skupić na szczęściu we dwoje. Gorycz tego filmu zawiera się w przekonaniu, że to niemożliwe. Twórcy, których filmy oglądaliśmy na 43. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni, dodali, że możliwe nigdy nie było i nigdy nie będzie.

*Artur Zaborski*



FOT. RAFAŁ PIJAŃSKI, ŁUKASZ BĄK (2), MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 3233531b64

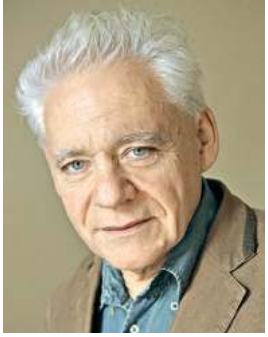

Oko w oko

Tomasz Jastrun

# NIEWIDOCZNY LEJEK

Słynny dziennikarz Bob Woodward napisał książkę „Strach", o Trumpie, wkrótce ma się ukazać też w Polsce. Portret prezydenta, jaki się wyłania, jest przerażający. Część doradców Trumpa próbuje blokować jego decyzje, usuwając dokumenty z jego biurka, w obawie przed nieprzemyślanymi działaniami, które mogłyby być niebezpieczne dla kraju i świata. „Jesteśmy w domu wariatów", mówił dziennikarzowi jeden z informatorów. „Niestabilny emocjonalnie, szalony, niekompetentny" – to jedne z najłagodniejszych epitetów, jakimi obdarzają Trumpa ludzie z jego otoczenia. Pisząc książkę, Woodward czerpał ze źródeł z pierwszej ręki: setek godzin wywiadów z bliskimi współpracownikami Trumpa, notatek ze spotkań i tajnych dokumentów. Mój polski przyjaciel ze Stanów, mieszkający od wielu lat w Waszyngtonie, człowiek łagodny, pisze mi: „Nienawidziłem komunistów. Ale to pestka w stosunku do tego, co czuję do Trumpa. To dla mnie uosobienie niemal biblijnego zła. Nigdy by mi nie przyszło do głowy, żeby strzelać do naszych czerwonych. Ale tu bym się nie zawahał". I pomyśleć, że połowa Stanów tak czuje. Pochłonięci własnymi emocjami nie czujemy cudzych. Nie wygląda jednak na to, by Trump doprowadził do wojny światowej, nie zniszczy też demokracji w Stanach, bo ona ma tam mocny fundament. U nas z demokracją jest inaczej.

•

„Wyimaginowaną wspólnotą, z której dla Polaków niewiele wynika", nazwał Andrzej Duda Unię Europejską podczas spotkania z mieszkańcami Leżajska. „Kiedy nasze sprawy zostaną rozwiązane, będziemy się zajmowali sprawami europejskimi. A na razie niech nas zostawią w spokoju i pozwolą nam naprawić Polskę", mówił. Trudno klarowniej wyjaśnić, co PiS sądzi o Unii. Na dodatek Duda wypowiada te bzdury z wewnętrznym poruszeniem, sam się wzrusza swoimi słowami i czasami ma łzy w oczach. PiS nie chce żadnej wspólnoty w ramach Unii, bo ona liberalna, a PiS katolicko-narodowo-konserwatywne.

Stawianie na nacjonalizm to samobójcza polityka. PiS nie tylko promuje w Polsce takie myślenie, ale także popiera w tym inne kraje. A co, jeśli w Niemczech odrodzi się nacjonalizm, nie wystarczy nam rosyjski? Narody drapieżne prędzej czy później rzucą się sobie do gardeł. Tak się stało dwukrotnie w XX w. Europa była wolna od wojen od ponad pół wieku właśnie dlatego, że powstało poczucie wspólnoty, wyjątkiem były Bałkany, gdzie po rozpadzie Jugosławii odrodziły się nacjonalistyczne demony.

•

Świetny izraelski film „Fokstrot" w reżyserii Samuela Maoza. Gdy się poleca film, trudno o nim pisać, by nie ujawniać zaskoczeń, które w tym filmie pełnią szczególnie ważną funkcję artystyczną. Bezradność i rozpacz wobec śmierci, wojna, małżeństwo. I pięknie jest sfotografowany, arcydzieło. Piszę do kuzynki w Jerozolimie, by koniecznie go obejrzała, ale już widziała i odpisuje: „Miri Regew, minister kultury, strasznie krytykowała ten film i dlatego wszyscy go widzieli". Mam nadzieję, że podobnie będzie z polskim filmem „Kler", korzystajmy z tego, że jeszcze nie ma cenzury.

•

Przed laty napisałem i nadal tak czuję: ojczyzna dla mnie to poczucie bezpieczeństwa lub jego złudzenie, przecież znamy jej góry, rzeki i jeziora. Ojczyzna to zapachy, smaki, odgłosy, nawet zakamarki słów, szum języka, jego jasne i mroczne tajemnice. To dla mnie też wiersze i myśli Norwida, obrazy Jacka Malczewskiego, a nawet zgorzkniały Kościuszko na emigracji w Solurze. I bałtyckie plaże, płaski, depresyjny, ale czuły krajobraz Mazowsza. I biało-czerwone flagi na dźwigach stoczni w Sierpniu 1980 r. Nasza ojczyzna była kiedyś o wiele bardziej nieruchoma, dzisiaj możemy ją oglądać z samolotu i wzruszać się małym ogonkiem helskiego półwyspu. Gdy znika dawna forma ojczyzny, a jej nowe, bardziej ruchome kształty dopiero się rodzą, czujemy niepokój. Myślę, że nasza wściekłość na PiS wynika również z tego, że chcą nam zabrać ojczyznę. A mogą to zrobić tylko nasi bracia. To nasi bracia, kość z naszej kości, krew z naszej krwi, zatruli ją nienawiścią i obudzili demony. Dlatego poczuliśmy się tak zagrożeni. I stąd nienawiść.

> Nasza wściekłość na PiS wynika też z tego, że chcą nam zabrać ojczyznę.

•

Skończyłem 68 lat, surrealizm, na dodatek mam dwójkę małych dzieci. Od dawna czuję się oszustem metafizycznym, a to przestępstwo nie jest bezkarne. Brakuje mi więc energii na swoją sztuczną młodość. U ludzi nieco starszych chyba najczęstsze westchnienie niesie słowa: „Jak ten czas leci". Jesteśmy rozgrywani przez przeszłość i przyszłość, ale węzłowym miejscem jest ten niewidoczny lejek, którym przyszłość przesypuje się w przeszłość.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl



eprasa.pl 3233531b64

Tomasz Miłkowski

# CISZA, SZUM I ZGIEŁK

Nieźle się zaczęło, a jest na co czekać – sezon teatralny 2018/2019

Tak jest od lat: mimo że „sezon teatralny" stał się pojęciem bardziej umownym niż rzeczywistym, we wrześniu rusza z impetem machina, sypią się premiery, zapowiedzi premier i festiwali. Widać, że zaczyna się coś nowego.

Pierwszy ton nowemu sezonowi nadał **Teatr WARSawy** mądrym i pięknym spektaklem-koncertem Leny Piękniewskiej-Bem „NieWarszawa". Szkoda, że przy tej okazji ratusz nie wypowiedział się o przyszłości tej offowej sceny. Od trzech lat trwa jego wymowne milczenie, od czasu kiedy stołeczni radni odrzucili projekt wymiany tytułów własności między gminą a właścicielem dawnego kina Wars na Nowym Mieście, gdzie funkcjonuje dzisiaj teatr.

Trudno dociec, czemu podjęto taką decyzję, ale w efekcie teatr istnieje jedynie dzięki dobrej woli prywatnego właściciela, który stosując preferencyjne warunki najmu, faktycznie ponosi straty – wciąż z nadzieją, że dojdzie z miastem do porozumienia. Ale ratusz milczy, trzymając w napięciu artystów, którzy związali swoje życie z tym miejscem w Warszawie i stworzyli magiczny punkt na mapie kulturalnej pustki Nowego Miasta. Adam Sajnuk, szef WARSawy, prowadzi teatr w warunkach „frontowych". Najwyższy czas z tym zerwać (to apel do ratusza) i rozwiązać ten palący problem.

Tymczasem twórcy WARSawy nie ustają w przygotowaniach do kolejnych premier. We wrześniu pokazują nowe pomysły, począwszy od koncertu Duszpasterza hipsterów – Andrzeja Konopki, który zdobył nieprawdopodobną popularność w kabarecie Pożar w Burdelu. Również we wrześniu kolejna odsłona rozwijającego się romansu WARSawy i Montowni – obejrzymy spektakl „Niepodległość słoików" z udziałem aktorów **Teatru Papahema** z Białegostoku. Sajnukowi i Rafałowi Rutkowskiemu śni się też powołanie sceny stand-upu, coraz popularniejszej formy teatru-kabaretu jednoosobowego, którego guru jest Rutkowski. Wróble ćwierkają poza tym, że właśnie w gościnnych progach WARSawy od przyszłego roku mają grywać spektakle aktorzy **Teatru Ateneum**, który idzie do remontu. Tymczasem Ateneum szykuje się do premiery „Antygony" Sofoklesa (13 października), którą zamierza uczcić swoje 90-lecie.

Odetchnąć może za to T**eatr Żydowski**. W poprzednim sezonie, choć pozbawiony stałej siedziby i poniekąd na walizkach, dał pokaz możliwości artystycznych i organizacyjnych, przygotowując aż 11 premier w siedmiu punktach Warszawy. Tuż przed festiwalem Warszawa Singera, który jest wspólnym dzieckiem Teatru Żydowskiego i Fundacji Shalom, ratusz zdecydował o przeznaczeniu na nową siedzibę posesji przy Próżnej 14, tuż przy placu Grzybowskim. Oznacza to, że wygnany z placu Grzybowskiego Żydowski tam powróci. Ratusz wydzielił 150 mln zł na inwestycje mające dostosować wybrany obiekt do potrzeb teatru. Przyszłość rysuje się więc w jasnych barwach i Żydowski szykuje się do nowego sezonu w dobrym nastroju.

Forpocztą będzie koncert Gołda Tencer/Masecki/Młynarski (1 października), który ma zapowiadać powstanie przy Teatrze Żydowskim sceny muzycznej z prawdziwego zdarzenia, poprzedzony już piękną uroczystością w Łodzi, gdzie Gołda Tencer obchodziła 50-lecie pracy artystycznej. Dlaczego w Łodzi, nietrudno zgadnąć – bo w tym mieście debiutowała. Z okazji jubileuszu Maciej Nowak napisał piękny tekst, nazywając Gołdę Tencer Mamełe – doprawdy trudno znaleźć lepsze określenie: „Gołda przeprowadziła swój teatr przez Morze Czerwone. Scementowała zespół i pracowników, przyciągnęła najwybitniejszych i najmodniejszych polskich reżyserów XXI w. Dzięki jej inicjatywie zaczęli tu pracować Maja Kleczewska, Monika Strzępka i Paweł Demirski, Anna Smolar, Michał Zadara, Jędrzej Piaskowski, Jolanta Janiczak i Wiktor Rubin". Jubileuszowo ściskam, a wytrwałości życzyć nie muszę.

W zgoła odmiennym nastroju wchodzi w nowy sezon, a prawdę mówiąc, już nie wchodzi, **Videoteatr Poza** Jolanty Lothe i Piotra Lachmanna. Znany i ceniony w Europie i w Polsce teatr eksperymentalny, który swoim laboratoryjnym polem działania uczynił współistnienie żywego aktora i odpowiednio komponowanej projekcji wideo, dokonał żywota. Mecenasom nie starczyło

W nowy sezon wchodzimy z prestiżową nagrodą dla Jana Klaty.



eprasa.pl 3233531b64

„Rodzina Addamsów”, Teatr Syrena w Warszawie.

„Tchnienie”, Teatr Narodowy.

wyobraźni, by podtrzymać istnienie tej unikatowej w skali europejskiej placówki, siejącej ziarno poszukiwań w obszarze wciąż słabo rozpoznanym. Wielka szkoda. A przy tym gorycz, że śmierć teatru nastąpiła w zupełnej ciszy – prawie nikt się nie zająknął, że ubywa kulturze polskiej coś bardzo ważnego. W „Nekrologu” napisanym przez Piotra Lachmanna można przeczytać: „Uchodzące za magiczne miejsce w pałacu Szustra przestało istnieć. (…) Przyświecała nam, przyświecała mi, idea zademonstrowania realnych możliwości demokratycznego modelu sztuki, w której byłoby miejsce np. na błędy i improwizacje wykonawców, na dowolność interpretacji przez widzów, na wielość odbioru, na niejednoznaczność przekazu, na zabawę, często bliską oczopląsu, z samym widzeniem. Prawda, zawsze obawiałem się, że w trakcie spektaklu widzowie zdecydują się na opuszczenie salki. I pewnie chcieli to zrobić wielokrotnie, ale jakoś nie wypadało”. Teraz już takiej okazji nie będzie.

Okazji do świętowania nie mają aktorzy, którzy odeszli z **Teatru Polskiego we Wrocławiu** po konflikcie z nowym dyrektorem. Cezary Morawski przetrwał burzę, choć w tym sezonie zyskuje „opiekuna” – samorząd dolnośląski przydzielił mu zastępcę do spraw ekonomicznych w trosce o racjonalne gospodarowanie środkami. Osieroceni aktorzy rozproszyli się po Polsce, ale niektórzy trwają we Wrocławiu, tworząc **Teatr Polski w Podziemiu** – z początkiem sezonu dali premiery w siedzibie Dolnośląskiego Centrum Filmowego (monodram Dariusza Maja „Aleja Narodowa”) i Instytutu Grotowskiego („Postać dnia”, rzecz o Igorze Przegrodzkim, spektakl w reżyserii Seba Majewskiego).

Monodram Maja to być może jakiś substytut zasłużonego festiwalu teatrów jednego aktora WROSTJA, który wobec braku stabilnego wsparcia ze strony samorządu i miasta zakończył misję. Pod koniec września w Klubie Muzyki i Literatury twórca festiwali teatrów jednoosobowych Wiesław Geras zwołał spotkanie pożegnalne Wrocławskiego Towarzystwa Przyjaciół Teatru, które utraciwszy siedzibę i mecenasa, zadecydowało o samorozwiązaniu. To właśnie WTPT stało przez dziesiątki lat za wrocławskim festiwalem, a także serią wydawniczą poświęconą teatrowi jednoosobowemu.

Umiarkowanie optymistycznie rysuje się sytuacja w **Starym Teatrze**, gdzie cały poprzedni sezon upłynął na jałowym sporze dyrektora z konkursu z zespołem. Zawarto w końcu kompromis i być może ten sezon pozwoli Staremu wrócić do formy. Formę straci zapewne **Teatr Jaracza w Olsztynie.** Władze nie przedłużyły kontraktu z wieloletnim dyrektorem Januszem Kijowskim, jednym z liderów kina moralnego niepokoju, który doprowadził do szczęśliwego finału gruntowny remont siedziby teatru i musiał odejść. Nie po raz pierwszy po odwaleniu przez kogoś czarnej roboty ktoś inny próbuje się dobrać do konfitur.

Ale dość tych smutnych refleksji, w nowy sezon wchodzimy przecież z prestiżową nagrodą teatralną – Jan Klata został wyróżniony laurem Nowe Rzeczywistości Teatralne, przyznawanym przez międzynarodowe jury europejskie (Premio Europa per il Teatro). Wiadomość o tym wyróżnieniu przyszła do Polski kilka dni po tym, jak Klata odebrał – w towarzystwie Mai Ostaszewskiej i Krzysztofa Pomiana – przyznaną mu gdańską nagrodę Neptuna za pozostawienie „trwałego śladu w historii miasta oraz wpisanie się w wartości wolności i solidarności”. Nagrodzeni twórcy apelowali o solidarność i wyciąganie nauki z historii Polski. „W swoim teatrze Jan Klata wydaje wojnę gnuśności, lenistwu, rutynie, cieplutkiemu zadomowieniu w tym, co miłe, oswojone i lubiane, lękowi przed tym, co nowe, obce i nieznane. Nie interesuje go teatr relaksujący. Nie zaprasza na swoje spektakle widzów, którzy szukają rozrywki i ukojenia. Zaprasza wszystkich, dla których teatr jest terenem poszukiwań, sporu, walki, a także tych, którzy dotąd nigdy do teatru nie chodzili”, napisano w laudacji.

Uroczystość ta zbiegła się z końcowymi próbami „Trojanek” Eurypidesa w reżyserii laureata, którymi **Teatr Wybrzeże** zainaugurował nowy sezon. Tym, którzy tego nie pamiętają, warto przypomnieć, że nasz laureat Premio Europa to były dyrektor Starego Teatru, którego kandydaturę do sprawowania tej funkcji w następnej kadencji odrzuciła komisja konkursowa. Trudno być prorokiem we własnym kraju.

Premiera „Trojanek” otworzyła 10. edycję przeglądu Wybrzeże Sztuki. Na scenach Teatru Wybrzeże można było zobaczyć m.in. spektakl „Murzyni we Florencji” Vedrany Rudan w reżyserii Iwony Kempy z Teatru Nowego Proxima, „Pod presją” według scenariusza i w reżyserii Mai Kleczewskiej z Teatru Śląskiego oraz „Przebudzenie



eprasa.pl 3233531b64

wiosny" Franka Wedekinda w reżyserii Kuby Kowalskiego z Teatru Studyjnego Szkoły Filmowej. To jeden z bardzo wielu wrześniowych i jesiennych festiwali teatralnych, rocznie odbywa się ich w Polsce kilkaset. I nie jest to jakiś nasz lokalny fenomen – swego rodzaju festiwalomania wspiera teatr, bo wzmaga zainteresowanie, przyciąga na wydarzenia silniej niż tzw. normalny repertuar. Teatrowi sprzyja taki szum, atmosfera gali, odświętności.

Wśród wielu takich zdarzeń wymienię: zakończone już rzeszowskie Reminiscencje, lubelskie Konfrontacje Teatralne, zielonogórskie (tradycyjne) Winobraniowe Spotkania Teatralne, XIII Międzynarodowy Festiwal Gombrowiczowski, który odbędzie się w Radomiu 20-27 października, warszawską Erę Schaeffera przygotowaną kolejny raz przez fundację Aurea Porta, festiwale offowe i monodramu zwołane przez łódzki Teatr Szwalnia, organizowany po raz drugi w Białymstoku Kierunek Wschód, prezentujący kulturę pogranicza, czy najmłodszy festiwal, odbywający się po raz pierwszy w Słupsku z inicjatywy Nowego Teatru – Scena Wolności (zakończony „Klątwą" Olivera Frljicia z warszawskiego Teatru Powszechnego, na którą miejscowa prawica rzucała swoje klątwy i zawiadomienia do prokuratury).

Nawet **Teatr Narodowy** zapowiada własny, niejako domowy festiwal „Znacie?... znamy!", czyli przegląd repertuaru polskiego w stulecie odzyskania niepodległości (2-18 listopada). Do tej rocznicy, ale także do własnego jubileuszu 125-lecia nawiązuje repertuar **Teatru im. Słowackiego w Krakowie**, którego bohaterem będzie Stanisław Wyspiański – jego teksty wystawią m.in. Ewa Kaim, Bartosz Szydłowski i Małgorzata Warsicka. Z Wyspiańskim mierzy się też teatr w Koszalinie, który przygotował premierę „Wyzwolenia" w inscenizacji Tomasza Mana.

Na tle tego rocznicowo-festiwalowego zgiełku u progu nowego sezonu pojawił się osamotniony (ale nie tak całkiem) głos, że „Polska potrzebuje ciszy". Mam na myśli skromną instalację „Cisza" Izabeli Chlewińskiej, którą mogliśmy oglądać w **Instytucie Teatralnym**. W zapowiedzi wyjaśniano, że to spektakl „z jednej strony medytacyjny i introwertyczny, a z drugiej bezpośredni i konfrontacyjny". To jednak rzecz dla cierpliwych – obfitujące w rozmaite skojarzenia działania, które polegały m.in. na przyodziewaniu się wykonawców w bure pokrowce, a potem wydobywaniu z nich, mogą się okazać nużące. Bardziej to wygląda na działanie terapeutyczne niż artystyczne, ale nie lekceważę takiej terapii w czasach, kiedy wrzask rozlega się niemal zewsząd.

„Trojanki", Teatr Wybrzeże w Gdańsku.

Silniej przemawia do mnie „Tchnienie" angielskiego dramaturga Duncana Macmillana na scenie studyjnej Teatru Narodowego, świeżutka premiera, która zaleca się inscenizacyjnym minimalizmem: żadnej dekoracji, robocze światło i bez muzyki. Debiutujący błyskotliwie jako reżyser Grzegorz Małecki poprowadził młodych aktorów na głęboką wodę i zapewnił im zwycięstwo. Justyna Kowalska i Mateusz Rusin przez półtorej godziny trzymali w garści widownię, mając do dyspozycji tylko słowa. Okazuje się, że w teatrze to wciąż potęga.

Słowu zawierzył też Iwan Wyrypajew, pisząc i wystawiając „Irańską konferencję" (premiera na **Scenie na Woli**), sztukę modelowaną na debatę popularnonaukową przedstawicieli elit intelektualnych Danii. Europejscy intelektualiści poszukują porozumienia z ludźmi wywodzącymi się z obcej kultury. Czy to w ogóle możliwe, a jeśli tak – jak możliwe, pyta Wyrypajew i stawia widzów przed rebusem nie do rozwiązania. Mimo ograniczeń formy, a może dzięki temu właśnie, aktorzy demonstrują tu możliwości warsztatowe i językowe (spektakl grany jest po angielsku), a prawdziwą kreację tworzy Agata Buzek, ostra jak brzytwa feministka.

Słowu zawierzył Iwan Wyrypajew, pisząc i wystawiając „Irańską konferencję".

Dystans do codzienności oferuje **Teatr Syrena**, który pod zmienionym kierownictwem dokonał wielkiej przemiany, stając się czołową sceną muzyczną stolicy. Wystawiony właśnie musical „Rodzina Addamsów" w reżyserii Jacka Mikołajczyka przynosi wiele radości. Przygotowany z warsztatową precyzją, zachwyca w scenach tanecznych (jakie wspaniałe tango!), a przy tym zapewnia uśmiech, który towarzyszy obserwacji świata odwróconych wartości.

Nieźle więc w tym sezonie się zaczęło, a jest na co czekać. Liczę dni do premiery „Deprawatora" Macieja Wojtyszki (w reżyserii autora) na deskach **stołecznego Teatru Polskiego**. To najnowsza sztuka znakomitego artysty, który tym razem ukazuje rozmowy między Witoldem Gombrowiczem (Andrzej Seweryn), Czesławem Miłoszem (Wojciech Malajkat) i Zbigniewem Herbertem (Paweł Krucz). Nietrudno się domyślić, o co w tych rozmowach będzie szło – o Polskę oczywiście. To już druga rzecz Wojtyszki o Gombrowiczu. Poprzednia, „Dowód na istnienie drugiego" (2014) o relacjach między Gombrowiczem i Mrożkiem, sprawiała przez kilka sezonów mnóstwo satysfakcji widzom Teatru Narodowego. Teraz można się spodziewać recydywy.

*Tomasz Miłkowski*



FOT. TEATR SYRENA, TEATR NARODOWY, TEATR WYBRZEŻE

eprasa.pl 3233531b64

Sherry Brandy

Ludwik Stomma

„Gazeta Polska" już na okładce się chwali, że jest „najczęściej cytowanym tygodnikiem w pierwszej połowie tego roku". Rzeczywiście w świecie naukowym odnotowywano ongiś liczbę przywołań niektórych dzieł i nawet układano na tej podstawie szacowne rankingi. Zorientowano się jednak wkrótce, że mnóstwem cytowań szczycą się przede wszystkim autorzy tak absurdalnych czy fantastycznych tez, iż porządni badacze uważają, że jeśli nawet polemika byłaby poniżająca, trzeba się odciąć od wariatów, co niestety stawało się równoznaczne z napomknięciem o nich. Dość wspomnieć, że swego czasu na szczytach list znajdowali się Erich von Däniken czy zaprzeczający istnieniu hitlerowskich obozów zagłady tzw. negacjoniści. Ten sukces fałszerzy i gamoniów nie jest niczym zaskakującym. Wiadomo, że o jednym spóźnionym pociągu pisze się więcej niż o stu przyjeżdżających punktualnie. Bez skrupułów zwiększę więc dorobek „Gazety Polskiej" i zwrócę uwagę na pomieszczoną w niej publikację. Bo też prawdziwie polska ona jest!

# UCIECZKA PRZED TUPAMAREM

Oto pośród nawału obchodów jubileuszy i klęsk narodowych nie zapomniała „GP" o rocznicy jednego z najważniejszych narodowych nieszczęść, do uczczenia którego i ja się z opóźnieniem dołączę. Oto 70 lat temu, 3 sierpnia 1948 r., w Warszawie przyszedł na świat Antoni Macierewicz. Nie wiem, dlaczego w Polsce powszechnie przyjęła się nieprawidłowa wymowa „Maciarewicz". Jestem ostatni do grzebania się w nazwiskach, ale faktem jest, że już w szkole, w roku 1967, dyskutowaliśmy, co to takiego ten „rewicz", który nam Antoś ofiarowuje. Dziś myślę, że zawarte w tym jest proroctwo – ponieważ rewia wojskowa w przeciwieństwie do np. estradowej nie może być rodzaju żeńskiego (nie przystoi), przerodziła się tu w męski „rewicz", zwiastujący umiłowanie wojny przez delikwenta. Wróćmy jednak do biografii. Ojciec Antka – dowiadujemy się z panegiryku „GP" – kierownik pracowni w Państwowym Zakładzie Higieny, „11 listopada 1949 r. został znaleziony martwy w swoim laboratorium. Wiadomo, że wcześniej przyszła doń bezpieka. Okoliczności śmierci są nieznane, najpewniej jednak doszło do zabójstwa". Jest to wspaniały sposób tworzenia historii. „Okoliczności nieznane", nawet służalczy IPN nic nie znalazł, ale „najpewniej" „wcześniej przyszła bezpieka". Ale ile wcześniej? Tydzień? Dzień? Parę godzin? I w jakiej sprawie przyszła? Żeby mordować w publicznej instytucji?

Mniejsza z tym. Dość, że dorastał Macierewicz bez ojca, stęskniony za emanacją męskości, którą odnalazł w czynie zbrojnym. Pierwszym jego ideałem był urugwajski Ruch Wyzwolenia Narodowego-Tupamaros, skrajnie lewacka, ale i antybolszewicka organizacja miejska, stawiająca na krwawe zastraszanie, kidnaping i radykalizowanie młodzieży. Z tego okresu wyniósł Antoni pasje iberystyczne oraz zamiłowanie do harcerstwa i formacji parapartyzanckich. Kilkakrotnie namawiał mnie do wstąpienia w szeregi Czarnej Jedynki – drużyny harcerskiej Liceum nr 6 im. Reytana w Warszawie, której przewodził razem z Jerzym Kijowskim, starszym bratem reżysera (z tego też drzewa jest Kijowski, były szef KOD – dziwny jest ten świat). Nie reflektowałem, gdyż, po pierwsze, mam wrodzony wstręt do tworów paramilitarnych, po drugie, niepokoiły mnie już wtedy świdrujące, fanatyczne oczy druha. W 1976 r. założył KOR i podług „GP" „zaproponował jeszcze członkostwo Janowi Józefowi Lipskiemu i Jackowi Kuroniowi, którzy – postawieni przed faktem dokonanym – wyrazili zgodę". Wprawdzie Lipski opisuje to całkiem inaczej, któż jednak uwierzy w słowa liberała i masona wobec słowa prawdziwego Polaka. Parę lat później w środku nocy zapukał do mnie Macierewicz, że mam pomóc Jurkowi Sz., którego rano mają wyrzucić z Uniwersytetu Warszawskiego za zbieranie podpisów pod protestem przeciw nowej (jak się ta historia powtarza) – gierkowskiej w owym czasie – konstytucji. Wbrew dobrym manierom i przynależności służbowej (nie pracowałem już na UW) zadzwoniłem przed świtem do znanego z tolerancji prorektora (skądinąd członka PZPR) Jerzego Gąssowskiego. Nie zawiodłem się. Profesor uratował Jurka. Nic mu to nie dało – pozostał partyjnym podczłowiekiem, za to Antek chodził w blasku chwały. Od tego czasu Macierewicz założył Solidarność, pokonał stan wojenny, dokonał wielkiej lustracji, wprowadził Polskę do NATO, obalił Tuska, odbudował polską armię itd.

Schowałem się przed jego porażającym spojrzeniem w małym francuskim miasteczku nad Marną. Próżny trud, oto dowiedziałem się, że 21 września wielki jubilat przyjeżdża tu z Tomaszem Sakiewiczem uświetnić swoją obecnością zjazd czytelników „GP" – dwa domy od mojego. Nie ma ratunku. Na wszelki wypadek zamknąłem żaluzje i pojechałem na urlop do odległej Portugalii. Ale on dopadnie wszędzie. I niech nikt się nie łudzi, że nie jest już wszechpotężnym ministrem. W lasach szkolą się intensywnie jego tupamaros. A kiedy wyjdą z chaszczy i ruszą do miast i wsi, zadrżę nie tylko ja i drugi sort – o to nietrudno. Zadrży Błaszczak i – strach powiedzieć – zadrży nawet prezes Kaczyński, a obrażone karakale i drony nie przyjdą z pomocą. Może jeden prezydent Duda uratuje się na australijskiej fregacie. Pod warunkiem jednak, że Bałtyk stanie przyjazną taflą i fal żadnych nie będzie.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl



eprasa.pl 3233531b64

KURTYNA W GÓRĘ

## TWIST AND SHOUT

Współczesne interpretacje znanych przebojów, spektakularna choreografia i wybitni wokaliści – Teatr Rampa zaprasza na widowisko muzyczne „Twist and shout" z 28 przebojami legendarnego zespołu The Beatles w reżyserii Santiaga Bella, którego dokonania można podziwiać we wszystkich musicalowych tytułach tej sceny. Ponadczasowe utwory usłyszymy w nowych aranżacjach Jana Stokłosy – kierownika muzycznego przedstawienia. W obsadzie wybitne osobowości teatru muzycznego, m.in. Natalia Piotrowska, Małgorzata Regent, Anna Sztejner, Jakub Wocial, Sebastian Machalski czy Maciej Pawlak. Nie zabraknie także aktorów Rampy, takich jak Brygida Turowska, Robert Tondera i Daniel Zawadzki, oraz tancerzy.

**Warszawa, Teatr Rampa, prapremiera 6 października**

NA POWAŻNIE

## ZŁE KOBIETY TO BYŁY

„Alcina" Jerzego Fryderyka Haendla nie była nigdy w Polsce pokazywana, a powstała w 1735 r. Powód? Może nie było odpowiednich wykonawców, a może charakter postaci kobiecych nie zachęcał. Bo to złe osoby były. Zwłaszcza tytułowa królowa otoczona usłużnym dworem, ale do tego czarownica, terroryzująca partnerów, a niewygodne postacie zamieniająca w dzikie zwierzęta. Skomplikowaną intrygę przedstawił w sposób dynamiczny tancerz i choreograf Jacek Tyski, a w rolę Alciny wcieliła się najlepsza z najlepszych Olga Pasiecznik. Nie tylko wspaniale śpiewa, ale i aktorsko przeistacza się z radosnej kochanki we wściekłą zazdrośnicę, a wreszcie w opuszczoną intrygantkę. Podobny los spotyka ponętną Morganę, która zmienia kochanków jak rękawiczki. Skąd my to znamy?

Bronisław Tumiłowicz

**Jerzy Fryderyk Haendel, „Alcina", kierownictwo muzyczne Lilianna Stawarz, reżyseria i choreografia Jacek Tyski, spektakl w ramach IV Festiwalu Oper Barokowych „Dramma per Musica", premiera 14 września 2018**

DOKUMENT W TV

## RYTUAŁY

Seria dokumentująca zwyczaje kultur na całym świecie. Widzowie zobaczą, jak amazońskie plemię przekłuwa uszy i maluje ciała swoich dzieci, a chińskie nastolatki znajdują miłość za sprawą tańca, do którego dziewczęta wkładają nakrycia głowy z wplecionymi włosami przodkiń, i jak przebiegają indonezyjskie ceremonie pogrzebowe. Pradawne rytuały łączą społeczności, ale praktykowane ceremonie zmuszają niekiedy ludzi do ekstremalnych wyrzeczeń.

**BBC EARTH, PONIEDZIAŁKI, OD 24 WRZEŚNIA, GODZ. 23.00**

MIĘDZY OKŁADKAMI

Sarah Hilary

## CISZEJ NIŻ ŚMIERĆ

**tłum. Agnieszka Brodzik**
**Czwarta Strona, Poznań 2018**

Komisarz Marnie Rome nie zazna spokoju. Wprawdzie morderca jej rodziców siedzi już w więzieniu, ale nowa sprawa, brutalnych pobić, też jakoś się wiąże z tamtymi wydarzeniami. Więcej, zostaje zaatakowane małżeństwo wynajmujące rodzinny dom Marnie. I to nie był po prostu napad rabunkowy. Ślady wskazują zaś na... dzieciaki. Londyn u Hilary, w czwartym tomie cyklu, to ponure miasto gett i gangów, w którym bać się należy nawet dziewięciolatka. Udało jej się stworzyć szczególną atmosferę – i zagrożenia, i smutku, choć czasem poetyzuje za bardzo. A że zaciera granice między ofiarami i oprawcami, stawia bohaterkę i jej ekipę przed dylematami moralnymi: „O ile łatwiej pracować przy śledztwie, gdy współczuje się ofiarom". A jeśli zaczyna się współczuć mordercy? Jak głęboko trauma wżera się w psychikę ofiary? Czy skazanie sprawcy wyrównuje rachunki?

Aleksandra Pańko



eprasa.pl 3233531b64

NA EKRANACH

## KLER

**reż. Wojciech Smarzowski,**
**prod. Polska, w kinach od 28 września**

„Kler" nie jest antyklerykalny – jest antysystemowy. U Smarzowskiego księża to grupa zawodowa, która niczym się nie różni od policjantów z „Drogówki", jest tak samo uprzywilejowana i pozostaje bezkarna, bo sutanna jak mundur – daje immunitet. Reżyser wchodzi z kamerą na plebanię i do kurii, gdzie toczy się walka o władzę i pieniądze. Głównym rozgrywającym jest Lisowski (Braciak), który apartament w Krakowie chce zamienić na więcej słońca w Rzymie, równolegle śledzimy losy Trybusa (Więckiewicz), który wygodne życie wiejskiego proboszcza umiłował tak mocno jak gosposię, i Kukuły (Jakubik) – ten lubi zapraszać ministrantów do zakrystii. A parafianie dobrze znają grzechy pasterzy. I choć lubią sobie o tym pogadać, to za plecami. Wiernych i księży łączy hipokryzja, uleganie słabościom, ale i wola odkupienia, co wybrzmiewa dzięki fenomenalnej grze aktorów i żelaznej dyscyplinie reżyserskiej. Smarzowski nie potępia. Oczekuje, że zrobimy to sami.

Artur Zaborski

FESTIWAL

## GRAND FESTIVAL RÓBREGE

Zapraszamy na czwartą po reaktywowaniu edycję najstarszego festiwalu muzyki alternatywnej w stolicy, która wciąż w nowoczesny sposób podąża za trendami, popularyzując tradycję oraz dorobek artystyczny polskiej sceny niezależnej. W tym roku wydarzenie jest dedykowane zmarłemu w czerwcu Robertowi Brylewskiemu, współtwórcy tej imprezy. Róbrege odbędzie się podobnie jak w minionych latach w namiocie festiwalowym pod Pałacem Kultury i Nauki (od strony ul. Świętokrzyskiej). Zagrają: Paweł Sky & nowy+eren 101% improwizacji, Ziggie Piggie & goście, Armia, Maleo Reggae Rockers & goście, Izrael & goście, Joint Venture Sound System gra Brylewskiego. Szczegóły: **www.facebook.com/robrege.**

**WARSZAWA, 29 WRZEŚNIA**

## 61. MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL MUZYKI WSPÓŁCZESNEJ WARSZAWSKA JESIEŃ

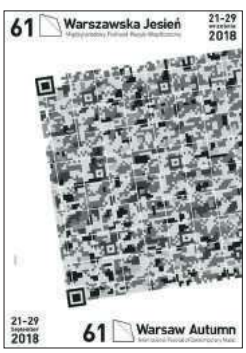


Warszawska Jesień w związku ze zbliżającymi się wydarzeniami rocznicowymi będzie pełna rozmaitych przypomnień. Dzieciom i dorosłym w ramach Małej Warszawskiej Jesieni przypomni się o wyborach – poprzez głosowanie na partie, z których każda ma inny pomysł, jakiej muzyki słuchać. W Muzeum Warszawy instalacja „Kucie kos" inspirowana obrazem Wojciecha Fangora przypomni powstanie styczniowe i inne wydarzenia z historii Polski i Europy. Wysłuchamy też czterech współczesnych oper, m.in. na podstawie dramatu Elfriede Jelinek „Anioł zagłady", a Paweł Mykietyn przypomni wątki dawne i z ostatnich lat w dziele „Herr Thaddäus" odwołującym się do „Pana Tadeusza".

**DO 29 WRZEŚNIA**

ZAJRZYJ TU

## CO PO CYBISIE?

Przekrojowa wystawa malarstwa XX i XXI w. gromadzi dzieła wybitnych polskich twórców związanych z najważniejszymi nurtami historii sztuki i aktualnymi prądami artystycznymi. „Poszukując »niemożliwego«, czyli obiektywnego kryterium w tworzeniu takiego przeglądu, postanowiliśmy sięgnąć do twórczości artystów z kanonu polskiej sztuki współczesnej – laureatów Nagrody im. Jana Cybisa", piszą organizatorzy. Kto i za co został nagrodzony? W Zachęcie zobaczyć można m.in. klasyków współczesności (Gierowski, Lebenstein, Nowosielski, Dobkowski), konceptualistów (Dłużniewski, Winiarski, Koji Kamoji), pedagogów i eksperymentatorów (Tarasewicz, Owidzki), a także malarstwo kobiet, pozostających w mniejszości wśród laureatów (Jonscher, Rosenstein, Pągowska, Maziarska, Jachtoma, Sawicka).

**WARSZAWA, ZACHĘTA, DO 18 GRUDNIA**

Kolumny przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, KINO ŚWIAT



eprasa.pl 3233531b64

# Czy napaść na Polskę umożliwił dopiero pakt Ribbentrop-Mołotow?

Gdyby Hitler rzeczywiście uzależniał atak na Polskę od konsultacji ze Stalinem, nie wydałby aż tylu decyzji przesądzających o napaści

Eugeniusz Guz

Liczni polscy historycy, nie mówiąc już o publicystyce historycznej, na postawione w tytule pytanie odpowiadają twierdząco. Przekonanie o słuszności tej tezy utrwaliło się po transformacji ustrojowej, która dała historykom zielone światło do badań w czasach PRL zablokowanych. W książce „Zmowa" Andrzeja Leszka Szcześniaka wydanej w 1990 r. czytamy, że „zawierając sojusz z Hitlerem, Stalin umożliwił i pomógł Niemcom w napaści na Polskę" (s. 76). Bogusław Wołoszański w programie TVP z 1991 r. „Encyklopedia II wojny światowej – Mołotow" informuje telewidzów, że „Hitler potrzebował zgody Stalina, gdy ruszy na Polskę. Układ o nieagresji Ribbentrop–Mołotow dawał Hitlerowi wolną rękę do ataku na Polskę". Takie rozumowanie stopniowo stało się abecadłem wiedzy o ostatecznym źródle 1 września 1939 r. Gdy zbliża się ta rocznica, media przypominają o pakcie jako zapalniku napaści. Podobnemu rozumowaniu uległ nawet obecny w Moskwie podczas rokowań niemiecki dyplomata Hans von Herwarth, który w książce „Między Hitlerem a Stalinem" powtarza tę, bzdurną w istocie, opinię: „Niemiecki dyktator przez zbliżenie się ze Stalinem chciał sobie zapewnić neutralność ZSRR na wypadek konfliktu zbrojnego z Polską" (s. 263).

W Muzeum II Wojny Światowej otwartym w 2017 r. w Gdańsku, które firmowało grono wybitnych historyków, możemy przeczytać: „Podpisanie układu ze Związkiem Radzieckim otwierało Niemcom drogę do napaści na Polskę. Zmniejszało także szanse na rzeczywistą pomoc wojskową dla Polski ze strony Francji i Wielkiej Brytanii". Zdumiewa również umieszczona w muzeum wzmianka o alianckiej pomocy. Z absolutną pewnością wiadomo, że alianci nie podjęli jednoznacznej decyzji o wsparciu militarnym Polski.

Hitler wiedział, że Stalin nie kiwnie nawet palcem, by pomóc akurat skrajnie antykomunistycznej i antyradzieckiej Polsce. Ta zresztą oświadczyła, że nie życzy sobie obecności Armii Czerwonej na jej terytorium. Napaść była wyłącznie niemiecką decyzją bez udziału Stalina. Już na długo przed 23 sierpnia 1939 r., kiedy o pakcie Ribbentrop–Mołotow nikomu się jeszcze nie śniło, a Stalin deklarował publicznie wrogość wobec III Rzeszy, inicjując montowanie anglo-francusko-radzieckiego sojuszu polityczno-wojskowego przeciwko Hitlerowi, Niemcy podejmowały przygotowania militarne do napaści na Polskę.

**Pakt Ribbentrop-Mołotow o Polsce w ogóle nie wspomina.**

Decyzją Hitlera już w końcu marca 1939 r. dowódcy rodzajów sił

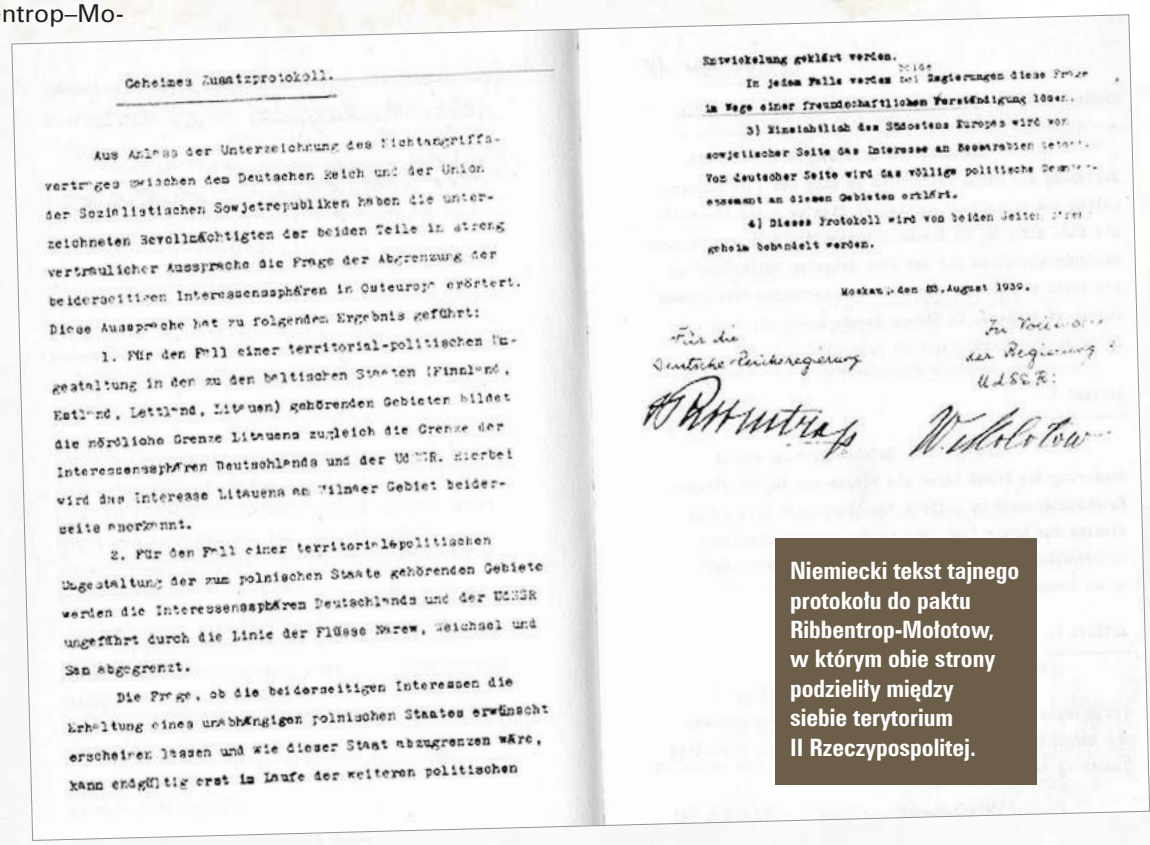

Geheimes Zusatzprotokoll.

Aus Anlass der Unterzeichnung des Nichtangriffsvertrages zwischen dem Deutschen Reich und der Union der Sozialistischen Sowjetrepubliken haben die unterzeichneten Bevollmächtigten der beiden Teile in streng vertraulicher Aussprache die Frage der Abgrenzung der beiderseitigen Interessensphären in Osteuropa erörtert. Diese Aussprache hat zu folgendem Ergebnis geführt:

1. Für den Fall einer territorial-politischen Umgestaltung in den zu den baltischen Staaten (Finnland, Estland, Lettland, Litauen) gehörenden Gebieten bildet die nördliche Grenze Litauens zugleich die Grenze der Interessensphären Deutschlands und der UdSSR. Hierbei wird das Interesse Litauens am Wilnaer Gebiet beiderseits anerkannt.

2. Für den Fall einer territorial-politischen Umgestaltung der zum polnischen Staate gehörenden Gebiete werden die Interessensphären Deutschlands und der UdSSR ungefähr durch die Linie der Flüsse Narew, Weichsel und San abgegrenzt.

Die Frage, ob die beiderseitigen Interessen die Erhaltung eines unabhängigen polnischen Staates erwünscht erscheinen lassen und wie dieser Staat abzugrenzen wäre, kann endgültig erst im Laufe der weiteren politischen Entwickelung geklärt werden.

In jedem Falle werden die Regierungen diese Frage im Wege einer freundschaftlichen Verständigung lösen.

3) Hinsichtlich des Südostens Europas wird von sowjetischer Seite das Interesse an Bessarabien betont. Von deutscher Seite wird das völlige politische Desinteressement an diesen Gebieten erklärt.

4) Dieses Protokoll wird von beiden Seiten streng geheim behandelt werden.

Moskau, den 23. August 1939.

Für die Deutsche Reichsregierung

Ribbentrop

In Vollmacht der Regierung der UdSSR:

W. Molotow

Niemiecki tekst tajnego protokołu do paktu Ribbentrop-Mołotow, w którym obie strony podzieliły między siebie terytorium II Rzeczypospolitej.



eprasa.pl 3233531b64

zbrojnych otrzymali wstępne wytyczne do planu kampanii wojennej przeciwko Polsce, oznaczone kryptonimem „Fall Weiss" (Wariant Biały). Opierając się na nich, dowództwo Wehrmachtu wydało 3 kwietnia 1939 r. dyrektywy do ataku. Zgodnie z założeniami „Fall Weiss" Naczelne Dowództwo Wojsk Lądowych (OKW), kierowane przez gen. Walthera von Brauchitscha, rozpoczęło w kwietniu prace przygotowawcze. 15 czerwca plan przekazano dowództwom grup armii w postaci zarządzeń wykonawczych. Przygotowania należało tak realizować, by atak na Polskę mógł nastąpić w nieprzekraczalnym terminie do 1 września.

Już 23 maja 1939 r. Hitler oświadczył zgromadzonej na odprawie generalicji: „Nie chodzi tu o Gdańsk. Nam chodzi o to, by rozszerzyć przestrzeń życiową na Wschodzie i zapewnić sobie dostawy żywności, a także rozwiązać problem państw nadbałtyckich".

Minister spraw zagranicznych Józef Beck.

W wielkiej sali Berghofu, alpejskiej willi Hitlera, 22 sierpnia gospodarz wygłosił kilkugodzinne przemówienie do zgromadzonych tam wyższych dowódców Wehrmachtu, którzy mieli kierować działaniami przeciwko Polsce. Tym razem nie pozostawił już cienia wątpliwości, że dojdzie do walki zbrojnej" (Warlimont, s. 23). Na konferencji tej usłyszano również przestrogę: „Zachowanie tajemnicy o planach przeciwko Polsce jest decydującym warunkiem powodzenia. Wytknięte cele muszą pozostać tajemnicą, także dla Włoch i Japonii".

Przygotowania wojenne biegły swoim torem, kiedy o pakcie Ribbentrop-Mołotow nie ćwierkały nawet wróble. Od 16 czerwca Niemcy zaczęli przerzucać w pobliże polskiej granicy swoje dywizje.

Do ataku propagandowego na Polskę włączył się Goebbels. Rozkaz uruchomienia „Fall Weiss" Hitler wydał 15 sierpnia, wyznaczając datę napaści na 26 sierpnia. Decyzja zapadła więc przeszło tydzień przed podpisaniem paktu, gdy Berlin nie wiedział jeszcze na pewno, czy do spotkania w Moskwie dojdzie, a jeśli tak, to jakie będą jego wyniki. Gdyby Hitler rzeczywiście uzależniał napaść na Polskę od uprzedniej konsultacji ze Stalinem, nie wydałby aż tylu decyzji przesądzających o napaści. Rozumowanie, że nie był pewien, czy Stalin nie przyjdzie wówczas Polsce z pomocą, jest wręcz śmieszne. Wtłaczanie opinii publicznej przekonania, że Hitler czekał na porozumienie ze Stalinem, by zdobyć się na odwagę i najechać na Polskę, nie znajduje najmniejszego oparcia w faktach historycznych. Pakt zawarł on nie z powodu Polski, o której losach przesądzono w tajnym protokole, lecz po to, by mieć pewność, że gdy ruszy na podbój Europy Zachodniej – przede wszystkim Francji – Stalin zachowa neutralność. Nie będzie więc musiał walczyć na dwa fronty. Zapowiedział zresztą generalicji, że po opanowaniu Polski uderzy zaraz na Francję. Później z tej wypowiedzi się wycofał.

**Hitler wiedział, że Stalin nie kiwnie nawet palcem, by pomóc antykomunistycznej i antyradzieckiej Polsce.**

Obawy Hitlera, że Stalin nie będzie się przyglądał, gdy Niemcy ruszą zbrojnie na zachód Europy, były zrozumiałe. Przecież Moskwa jeszcze kilka tygodni przed przybyciem Ribbentropa do Moskwy próbowała zmontować z Wielką Brytanią i Francją sojusz przeciwko zaborczości Hitlera. Dlatego triumfował, że po podpisaniu paktu Ribbentrop-Mołotow może pokazać Zachodowi figę z makiem, bo przeciągnął Moskwę na swoją stronę. A ta uczyniła to chętnie, widząc, że od Hitlera otrzyma więcej. O to szła gra, a nie o Polskę. W podzięce za tę neutralność Hitler podarował Stalinowi połowę Polski, choć mógł ją opanować całą. Na życzenie Stalina podarunek udokumentowano tajnym załącznikiem, precyzując w nim podział na strefy wpływów w Europie Środkowo-Wschodniej.

Oto tekst owego tajnego protokołu:

„[...] Z okazji podpisania paktu o nieagresji między Rzeszą Niemiecką a ZSRR podpisani pełnomocnicy obu stron przedyskutowali w ściśle poufnych rozmowach sprawę rozgraniczenia ich wzajemnych stref interesów w Europie Wschodniej. Rozmowy te doprowadziły do następujących ustaleń:

1. W wypadku przemian terytorialnych i politycznych na obszarach należących do państw bałtyckich (Finlandia, Estonia, Łotwa i Litwa) północna granica Litwy będzie stanowiła granicę stref wpływów Niemiec i ZSRR. Obie strony uznają interesy Litwy na obszarze Wilna.

2. W razie zmian terytorialnych i politycznych na obszarach należących do Państwa Polskiego strefy interesów Niemiec i ZSRR będą rozgraniczone mniej więcej wzdłuż linii rzek Narwi, Wisły i Sanu. Zagadnienie, czy interesy obu stron czynią pożądanym utrzymanie odrębnego Państwa Polskiego i jakie mają być granice tego państwa, może być ostatecznie rozstrzygnięte dopiero w toku dalszych wydarzeń politycznych.

FOT. PRZEDRUK Z KSIĄŻKI: EUGENIUSZ GUZ, SOJUSZ HITLER-STALIN, BŁĘDY I PRZEOCZENIA HISTORYKÓW. BELLONA WARSZAWA



eprasa.pl 3233531b64

W każdym razie oba rządy rozwiążą tę sprawę w drodze przyjaznego porozumienia.

3. Jeżeli idzie o Europę Południowo-Wschodnią, to strona radziecka podkreśla swoje zainteresowanie Besarabią. Ze strony niemieckiej stwierdza się zupełne *désinteréssment* odnośnie tego terytorium.

4. Protokół niniejszy traktowany będzie przez obie strony jako ściśle tajny.

**Podpisano:**
Za rząd Rzeszy Niemieckiej
J.J. Ribbentrop
Za rząd Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich
W. Mołotow"

Hitler oczywiście zakładał, że porozumienie z Moskwą bardzo osłabi gotowość zachodnich aliantów do przyjścia Polsce z pomocą wojskową. Kiedy decyzja w Moskwie zapadła, nie posiadał się z radości, że tak trafnie to przewidział. Helmut Metzmacher w swojej drobiazgowej analizie niemiecko-angielskich sondaży politycznych latem 1939 r. kilkakrotnie wskazuje, że „Hitler był przekonany, iż Anglia w żadnym wypadku nie wywiąże się ze swych zobowiązań po ataku niemieckim na Polskę" (s. 402).

Niezależnie od przekonania bądź powątpiewania w brytyjską gotowość pomocy zbrojnej decyzja napaści na Polskę była przesądzona. Przesuwała się tylko data ataku, bo np. włoski dyktator Benito Mussolini zapowiedział, że do wojny nie jest przygotowany. Datę przesuwano, bo Polska nieoczekiwanie zawarła sojusz wojskowy z Wielką Brytanią. Trzeba było również poczekać, by się przekonać, czy podpisany w Moskwie tajny protokół, zapowiadający rozbiór Polski, nie skłoni jednak Warszawy do podjęcia rozmów w Berlinie. A zatem rozkaz ataku przesuwały sprawy obiektywne. Generał Warlimont pisze, że gdy 25 sierpnia Hitler wstrzymał atak na Polskę i ktoś przyszedł do Kancelarii Rzeszy uradowany, że wojny nie będzie, to Rudolf Schmundt, adiutant w Sztabie Generalnym, powiedział: „Niech się pan nie cieszy, to tylko odroczenie o kilka dni". Te kilka dni zarezerwowano na przybycie polskiego negocjatora z Warszawy.

Przesądzoną już wówczas decyzję napaści na Polskę Ribbentrop zdradził włoskiemu ministrowi spraw zagranicznych, przyjmując go w połowie sierpnia w swojej rezydencji na stoku Obersalzbergu. Na pytanie Włocha: „Panie Ribbentrop, czego chcecie, korytarza do Gdańska czy sam Gdańsk?", odparł: „Chcemy wojny". Nie było jeszcze wówczas mowy o pakcie Ribbentrop–Mołotow. To kolejny dowód, że napaść na Polskę była już przesądzona i nie zapadła dopiero podczas rokowań w Moskwie.

W Polsce już wcześniej dostrzegano niebezpieczeństwo napaści ze strony Niemiec; 4 marca 1939 r. odbyła się w polskim Sztabie Głównym pierwsza odprawa dowódców, by opracować plan operacyjny na wypadek agresji, a 23 marca powstały sztaby operacyjne pięciu armii oraz Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Narew".

**Napaść była wyłącznie niemiecką decyzją bez udziału Stalina.**

Wokół paktu o nieagresji narosło wiele nieporozumień. Zdrowy rozsądek podpowiada, że pakt o nieagresji nie może jednocześnie być paktem agresji. Czytelnikowi nasuwa się pytanie, dlaczego miałby wywołać wojnę. Przykładowo: Polska zawarła w 1932 r. pakt o nieagresji z ZSRR i następnie go przedłużyła. Taki pakt zawarła Polska także z Niemcami w 1934 r., a krok ten komentowano jako sukces. Historyk Marek Kornat pisał: „26 stycznia 1934 r. podpisano w Berlinie polsko-niemiecką deklarację o niestosowaniu przemocy. Dla Polski układ z Niemcami wydawał się ze wszech miar korzystny, jawił się jako największe osiągnięcie polskiej dyplomacji od czasu podpisania traktatu wersalskiego" (s. 43).

**Zło tkwiło w tajnym załączniku do paktu, przesądzającym o czwartym rozbiorze Polski.**

Dla Hitlera i Stalina pakt niemiecko-radziecki także był „największym osiągnięciem", bo zgodzili się pozostać wobec siebie neutralni, wykluczając agresję. Polska okazała się w tych kalkulacjach marginesem. Hitler zakładał, że szybko się z nią upora, szczególnie że, jak już wspomniano, paktem odwiedzie Anglię i Francję od angażowania się w pomoc dla Polski. Najważniejsze jednak, że gdy ruszy na Francję, Stalin pozostanie bierny. Takie było praźródło narodzin paktu Ribbentrop–Mołotow. Zło tkwiło w tajnym załączniku do tego paktu, przesądzającym o czwartym rozbiorze Polski. Naiwnością grzeszyli wówczas także zachodni alianci. Sądzili, że gdy Hitler połknie Polskę, uzyska bezpośrednią granicę z ZSRR i wówczas ruszy na Związek Radziecki, a nie na Zachód.

Zagraniczni historycy nie mają z tematem problemu. Ideę paktu rozumieją przede wszystkim w kontekście zabezpieczenia się przez Hitlera neutralnością ZSRR, gdy rozpanoszy się militarnie po Europie Zachodniej. Dopiero w drugiej kolejności dostrzegają oni pakt jako element zniechęcający aliantów do przyjścia Polsce z pomocą. Alan Bullock w dwutomowej książce „Hitler i Stalin. Żywoty równoległe" dochodzi do wniosku, że: „Najważniejszy był dla niego podpis Stalina pod paktem, który oznaczał neutralność Rosji, kres zagrożenia paktem anglo-francusko-rosyjskim, uniemożliwiającym realizację niemieckich zamiarów w Europie Wschodniej oraz izolację Polski" (s. 101). I rozwija wątek następująco: „Hitler zaczął od wyjaśnienia, że chciał najpierw zaatakować Zachód, ale stało się jasne, że gdyby tak postąpił – Polska uderzyłaby na Niemcy od tyłu. Konflikt z Polską był prędzej czy później nieunikniony. Lepiej załatwić to od razu" (s. 105).

Związek paktu z planowaną przez Hitlera agresją na zachodzie Europy dostrzega Roger Moorhouse, pisząc: „Jednak dla Hitlera najważniejsza była zapewne kwestia *Rückendeckung* [asekuracji]: fakt, że układ ze Stalinem zabezpieczał niemieckie zaplecze, umożliwiając przerzucenie większości sił na zachód, likwidując zagrożenie wojną na dwóch frontach" (s. 133).

Pakt Ribbentrop–Mołotow o Polsce w ogóle nie wspomina. Tekst został zresztą opublikowany w obu



eprasa.pl 3233531b64

stolicach. W Berlinie bardziej wątpiono, niż obawiano się, że Anglia i Francja przyjdą Polsce z pomocą. Niemcy mieli w Londynie rozbudowaną sieć informatorów, którzy sygnalizowali, że Wielka Brytania nie kwapi się wesprzeć militarnie skutecznie Polski.

Rozmowy dyplomatyczno-wojskowe w trójkącie Wielka Brytania – Francja – Polska nie robiły na Hitlerze większego wrażenia. W ich przebiegu Niemcy byli zorientowani, mimo to nadal planowali swoje, idąc szlakiem przygotowań do agresji. Uruchamiali także swoją piątą kolumnę w Polsce.

Stalin z kolei, bezustannie naciskany kanałami dyplomatycznymi przez Berlin, by wkroczył do Polski, zdecydował się na to dopiero 17 września, gdy polska armia znajdowała się w rozkładzie, a jednostki Wehrmachtu przekroczyły już o kilkadziesiąt kilometrów obszar przyznany Moskwie w tajnym załączniku paktu Ribbentrop–Mołotow. Zaskoczenie błyskawiczną ofensywą Wehrmachtu przyspieszyło atak Armii Czerwonej.

Polska nie miała najmniejszych szans, żeby oprzeć się dwóm agresorom. „Jak wspominał Beck – zadał [marszałkowi Edwardowi] Śmigłemu [Rydzowi] pytanie, czy dysponuje w Małopolsce Wschodniej siłami zdolnymi powstrzymać Sowietów. Marszałek odparł, że opór jest beznadziejny. Około godziny 16 Śmigły pojawił się w nadgranicznych Kutach dla – jak pisze Beck – scharakteryzowania Prezydentowi RP beznadziejności sytuacji wojskowej, dodając, że opuszczenie granic państwa przez Rząd i Prezydenta RP wydaje się sprawą najbliższego czasu" („Ale Historia" nr 37/16).

**Hiler zakładał, że porozumienie z Moskwą bardzo osłabi gotowość zachodnich aliantów do przyjścia Polsce z pomocą.**

Agresja radziecka na Polskę 17 września była Hitlerowi jak najbardziej na rękę, bo chciał, żeby świat zobaczył brudne ręce Stalina. Niemiecki dyktator był zadowolony z takiego współagresora. Nie oznacza to jednak, że bez udziału Stalina nie byłoby napaści dokonanej 1 września.

Dlaczego, według niektórych naszych historyków, Hitler miałby zabiegać u Stalina o przychylny stosunek do ataku na Polskę, skoro Stalin za pośrednictwem komunikatu TASS już 22 marca 1939 r. oświadczył, dementując plotki, że ZSRR zamierza włączyć się automatycznie do obrony Polski: „Moskwa nie zamierza narzucać się nikomu z pomocą na wypadek agresji. W ogóle nie zamierza wyciągać cudzych kasztanów z ognia"?

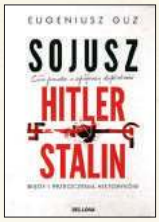


**Fragmenty książki Eugeniusza Guza *Sojusz Hitler – Stalin. Błędy i przeoczenia historyków*, Bellona, Warszawa 2017**

eprasa.pl 3233531b64

# UTOPIA DLA REALISTÓW

Dlaczego powinniśmy każdemu dawać pieniądze za nic

Rutger Bregman

Londyn, maj 2009 r. – trwa tu eksperyment, którego przedmiotem jest 13 bezdomnych mężczyzn. Niektórzy z nich są prawdziwymi weteranami, od 40 lat sypiają na zimnych chodnikach Square Mile, europejskiego centrum finansowego. Koszty, jakie generują (w tym interwencje policji, koszty sądowe oraz pomoc społeczna), szacuje się na mniej więcej 400 tys. funtów (650 tys. dol.) rocznie.

To zbyt duże obciążenie finansowe dla służb miejskich i lokalnych organizacji charytatywnych. Londyńska organizacja pomocy Broadway decyduje się więc podjąć radykalne działania: trzynastka doświadczonych włóczęgów ma być traktowana jak VIP-y. Koniec z kuponami na jedzenie, darmowymi zupami i schroniskami dla bezdomnych.

Owi kłopotliwi, śpiący pod gołym niebem ludzie mają otrzymać zdecydowane i natychmiastowe wsparcie finansowe.

A dokładnie rzecz ujmując: bezzwrotną pożyczkę na własne wydatki w wysokości 3 tys. funtów. Tylko od nich zależy, co zrobią z pieniędzmi. Ale jeśli chcą, mogą skorzystać z pomocy doradcy. Z ofertą tą nie wiążą się żadne zobowiązania. Nie chodzi o to, by przyłapać bezdomnych na niegospodarności.

Zadaje im się tylko jedno pytanie: jak sądzisz, czego ci potrzeba?

## PRACE OGRODNICZE

„Nie wiązałem z tym projektem jakichś nadzwyczajnych nadziei", wspominał później jeden z pracowników socjalnych. Potrzeby włóczęgów okazały się wyjątkowo skromne. Każdy z nich miał własne preferencje – telefon, słownik, aparat słuchowy. Prawdę mówiąc, większość bezdomnych była wręcz oszczędna. Przez rok każdy z nich wydał średnio zaledwie 800 funtów.

Weźmy np. Simona, który od 20 lat był uzależniony od heroiny. Pieniądze odmieniły diametralnie jego życie. Przestał brać narkotyki i zapisał się na kurs ogrodniczy. Jak później opowiadał: „Z jakiegoś powodu po raz pierwszy w moim życiu wszystko zagrało. Zacząłem dbać o siebie, myję się i golę. Myślę o powrocie do domu, mam dwójkę dzieci".

Półtora roku po rozpoczęciu eksperymentu siedmiu z 13 bezdomnych posiadało już dach nad głową, a dwóch miało się wkrótce wprowadzić do własnych mieszkań. Wszyscy podjęli istotne kroki, aby stać się niezależni finansowo i zadbać o rozwój osobisty. Zapisali się na różne zajęcia, uczyli się gotować, byli na odwyku, odwiedzali swoje rodziny i robili plany na przyszłość.

**Przeważająca opinia: biedni nie potrafią gospodarować pieniędzmi.**

„Daje on ludziom poczucie kontroli nad własnym życiem oraz możliwości wyboru. Jestem przekonany, że może się przyczynić do zmiany na lepsze", tak o spersonalizowanym budżecie mówił jeden z pracowników socjalnych. Dziewięciu notorycznych włóczęgów po latach bezowocnego naciskania, pomagania, pobłażania, karania, ścigania i ochraniania w końcu opuściło ulice. Ile to kosztowało? Około 50 tys. funtów rocznie, wliczając w to wynagrodzenie pracowników socjalnych. Innymi słowy, realizacja tego projektu nie tylko pomogła 13 osobom, ale również pozwoliła znacznie obniżyć wydatki. Nawet „The Economist" musiał przyznać, że „najbardziej skuteczną metodą pomocy bezdomnym może się okazać dawanie im pieniędzy".

## TWARDE DANE

Biedni nie potrafią gospodarować pieniędzmi. Taka jest przeważająca opinia; w zasadzie to truizm. Przecież jeśliby wiedzieli, w jaki sposób zarządzać swoimi finansami, to dlaczego byliby biedni? Zakładamy, że wydadzą pieniądze na śmieciowe jedzenie i napoje gazowane zamiast na świeże owoce i książki. Opracowaliśmy więc niezliczoną ilość genialnych programów, które miały im „pomóc". Wymagało to mnóstwa papierkowej roboty, opracowania systemów rejestracji oraz całej armii kontrolerów. (…) W ostatnich latach pomoc rządowa w coraz większym stopniu powiązana jest z zatrudnieniem. Jej odbiorcy muszą składać podania o pracę, zapisywać się na kursy pomagające im wrócić do pracy oraz brać udział w obowiązkowym „wolontariacie". Reklamuje się to jako przejście „od zasiłku do programu pomocy społecznej", a przesłanie tych działań jest jasne: rozdawanie pieniędzy czyni ludzi leniwymi.

Tyle że dowody świadczą o czymś zgoła przeciwnym.

Przyjrzyjmy się przypadkowi Bernarda Omondi. Przez całe lata zarabiał 2 dol. dziennie, pracując w kamieniołomie w podupadłym regionie we wschodniej Kenii. Pewnego ranka dostał bardzo osobliwy SMS. „Po jego przeczytaniu aż podskoczyłem", opowiada Bernard. Właśnie wtedy przelano mu na konto 500 dol., czyli prawie równowartość jego rocznych zarobków.

Kilka miesięcy później wioskę, w której mieszkał Bernard, odwiedził dziennikarz „New York Timesa". Sprawiała wrażenie, jakby wszyscy mieszkańcy wygrali coś na loterii. Pieniądze nie zostały jednak przepite; dzięki nim naprawiono domy i założono małe firmy. Bernard zainwestował w sprowadzony z Indii nowy motocykl Bajaj Boxer i wożąc nim ludzi, zarabiał od 6 do 9 dol. dziennie. Jego zarobki wzrosły ponad trzykrotnie.

„W ten sposób dajemy biednym ludziom prawo wyboru – mówi Michael Faye, założyciel organizacji GiveDirectly, odpowiedzialnej za ten niespodziewany zastrzyk gotówki dla



eprasa.pl 3233531b64

Bernarda – prawdę mówiąc, ja sam nie wiem, czego potrzebują ubodzy". Faye nie daje ludziom wędki, ani nawet nie uczy ich, jak łowić ryby. Daje im gotówkę, wychodząc z założenia, że eksperci od potrzeb biednych sami są w jakimś sensie biedni. Gdy zapytałem go, dlaczego na stronie internetowej GiveDirectly jest tak mało atrakcyjnych filmów i zdjęć, wyjaśnił, że nie chce za bardzo grać na emocjach: „Nasze dane są wystarczająco przekonujące".

Faye ma rację: według badań przeprowadzonych przez Massachusetts Institute of Technology, granty gotówkowe organizacji GiveDirectly doprowadziły do stałego wzrostu dochodów, stanowiły bodziec do kupna domów i trzody chlewnej (wzrost o 58%) oraz zmniejszyły o 42% liczbę dni w roku, w których dzieci chodziły głodne. Ponadto 93% każdej z tych darowizn dociera bezpośrednio do odbiorców. Po zapoznaniu się z tymi danymi firma Google sama przekazała organizacji darowiznę w wysokości 2,5 mln dol.

Szczęście mieli jednak nie tylko Bernard i mieszkańcy jego wioski. W 2008 r. rząd Ugandy zdecydował się na obdarowanie ok. 12 tys. osób w wieku od 16 do 35 lat kwotą w wysokości blisko 400 dol. na głowę. Pieniądze te otrzymali po prostu za nic, jedynym warunkiem było przedstawienie biznesplanu. Po pięciu latach efekty okazały się szokujące. Dochody beneficjentów, którzy zainwestowali w swoją edukację i w przedsięwzięcia biznesowe, wzrosły prawie o 50%, a szanse na uzyskanie zatrudnienia o ponad 60%.

W ramach innego programu zrealizowanego w Ugandzie ponad 1800 biednych kobiet mieszkających na północy kraju dostało po 150 dol. Rezultat był podobny: ich dochody wzrosły prawie dwukrotnie. Kobiety, które otrzymały dodatkowe wsparcie od pracownika organizacji humanitarnej (koszt 350 dol.), zyskały nawet nieco więcej. Naukowcy obliczyli potem, że bardziej opłacalne jest dorzucenie do worka z darowiznami pensji pracownika. Z ich raportu wynika jasno, że uzyskane dzięki tym zmianom efekty wskazują na konieczność „dokonania poważnych zmian w programach walki z biedą w Afryce i na całym świecie".

22-letni Titus z Kenii mówi, że dzięki programowi GiveDirectly jego życie stało się lżejsze, może poświęcić czas na naukę, a świadectwo szkolne pomoże mu znaleźć pracę.

## REWOLUCJA NA POŁUDNIU

To, że rozdawanie pieniędzy jest skuteczne, potwierdzają badania przeprowadzone na całym świecie. Wynika z nich również, że takie bezwarunkowe obdarowywanie ma wpływ na zmniejszenie przestępczości, śmiertelności dzieci, niedożywienia, liczby ciąż u nieletnich i częstotliwości chodzenia na wagary. Ma również korzystny wpływ na wyniki nauczania, wzrost gospodarczy oraz równość płci. Ekonomista Charles Kenny zauważa, że: „głównym powodem, dla którego biedni ludzie są biedni, jest to, że nie mają oni wystarczającej ilości pieniędzy. Nie powinien więc być dużym zaskoczeniem fakt, że dawanie im gotówki jest świetnym sposobem na zmniejszenie skali tego problemu".

**Gdy biedni dostają gotówkę bez żadnych zobowiązań, to pracują efektywniej.**

W książce „Just Give Money to the Poor" (2010) uczeni z Uniwersytetu w Manchesterze podają niezliczone przykłady pozytywnych skutków bezwarunkowego (albo obwarowanego drobnymi warunkami) rozdawnictwa pieniędzy. W Namibii dramatycznie spadły dzięki temu wskaźniki niedożywienia (z 42% do 10%), liczba wagarowiczów zmniejszyła się z 42% do prawie zera, a liczba przestępstw spadła o 42%. W Malawi wskaźnik skolaryzacji wśród dziewcząt wzrósł o 40%, i to niezależnie od tego, czy gotówka była przekazywana pod pewnymi warunkami czy bezwarunkowo. Bardzo często największymi beneficjentami takiej pomocy są dzieci. Cierpią one mniej z powodu niedożywienia i chorób, są wyższe, lepiej się uczą, zmniejsza się również prawdopodobieństwo zmuszania ich do pracy.

Od Brazylii po Indie, od Meksyku po Republikę Południowej Afryki programy rozdawania gotówki zyskały na południowej półkuli ogromną popularność. Gdy Organizacja Narodów Zjednoczonych formułowała w 2000 r. swoje Milenijne Cele Rozwoju, takie programy nie były nawet brane pod uwagę. Ale do roku 2010 objęły one już ponad 110 mln rodzin w 45 krajach.

Badacze z Uniwersytetu w Manchesterze podsumowali zalety tych programów: 1. Gospodarstwa domowe przeznaczają pieniądze na pożyteczne cele, 2. Spada wskaźnik ubóstwa, 3. Pojawiają się rozmaite długoterminowe korzyści dotyczące dochodów, zdrowia oraz wpływów z podatków, 4. Generują one niższe koszty w porównaniu z innymi rozwiązaniami. Dlaczego więc mamy



eprasa.pl 3233531b64

wysyłać kosztujących krocie białych ekspertów poruszających się po terenie SUV-ami, jeśli możemy po prostu przekazać ich pensje ubogim? Szczególnie gdy pozbędziemy się w ten sposób problemu lepkich rąk pracowników służby cywilnej. Poza tym rozdawanie pieniędzy napędza całą gospodarkę: ludzie więcej kupują, a to prowadzi do wzrostu zatrudnienia oraz dochodów.

Niezliczone organizacje pomocowe oraz rządy są przekonane, że wiedzą, czego potrzeba biednym: inwestują więc w szkoły, panele słoneczne albo w bydło. To oczywiste, że lepiej jest mieć krowę, niż jej nie mieć. Ale jakim kosztem to się odbywa? Z przeprowadzonych w Rwandzie badań wynika, że dostarczenie jednej cielnej krowy kosztuje ok. 3 tys. dol. (łącznie z dojarką). To pięciokrotność rocznych zarobków mieszkańca tego kraju. Przyjrzyjmy się teraz rozmaitym kursom przeznaczonym dla biednych: kolejne

## Rozdawanie pieniędzy czyni ludzi leniwymi? Dowody temu przeczą.

badania pokazują, że są one bardzo kosztowne, a ich efekty mizerne, niezależnie od tego, czy uczy się na nich łowienia ryb, czytania czy prowadzenia firmy. „Ubóstwo związane jest zasadniczo z brakiem pieniędzy, nie z głupotą – podkreśla ekonomista Joseph Hanlon. – Jeśli nie masz butów, to nie pociągniesz się do góry, chwytając za cholewkę".

Wielką zaletą pieniędzy jest fakt, że ludzie mogą za nie kupować rzeczy, których potrzebują, a nie te proponowane przez samozwańczych ekspertów. I tak się składa, że biedni nie wydają otrzymanej gotówki na alkohol i wyroby tytoniowe. Przeprowadzone w Afryce, Ameryce Łacińskiej oraz Azji i zakrojone na szeroką skalę badania Banku Światowego pokazały, że w 82% przypadków sprzedaż takich produktów w rzeczywistości spadła.

Jeszcze bardziej zaskakujące wyniki dał eksperyment przeprowadzony w Liberii. Rozdawano tam po 200 dol. wyciągniętym ze slumsów i budzącym najmniejsze zaufanie ubogim, czyli alkoholikom, narkomanom oraz drobnym kryminalistom. Trzy lata

52-letni Martin z Ugandy, beneficjent programu GiveDirectly: – Zacząłem budować dom i wkrótce z rodziną będziemy mieli gdzie spać.

później zbadano, na co wydali oni otrzymane pieniądze. Okazało się, że na żywność, ubrania, lekarstwa oraz małą działalność gospodarczą. „Jeśli tacy ludzie nie zmarnowali pieniędzy, to kto miałby to zrobić?" – zastanawiał się jeden z badaczy.

Mimo to wciąż wysuwany jest argument „leniwych biedaków". Powszechność występowania takiego poglądu skłoniła naukowców do sprawdzenia, czy jest on prawdziwy. Kilka lat temu prestiżowe czasopismo medyczne „Lancet" podsumowało wyniki tych badań. Okazało się, że gdy biedni dostają gotówkę bez żadnych zobowiązań, to pracują bardziej efektywnie. W końcowym raporcie z tego przeprowadzonego w Namibii eksperymentu zamieszczono przytoczony przez biskupa tekst biblijny wyjaśniający, dlaczego powinniśmy rozdawać pieniądze wszystkim potrzebującym: „Przeczytajcie uważnie rozdział 16 Księgi Wyjścia, w którym uciekający z niewoli Izraelici otrzymują mannę z nieba. Nie uczyniło to ich leniwymi, lecz umożliwiło dalszą wędrówkę…".

### UTOPIA

Rozdawnictwo pieniędzy to koncepcja proponowana już kiedyś przez niektórych wielkich myślicieli. Marzył o tym Tomasz More w wydanej w 1516 r. książce „Utopia". W jego ślady poszli później niezliczeni ekonomiści i filozofowie, wśród nich również laureaci Nagrody Nobla. Orędownikami tej koncepcji byli lewicowcy i prawicowcy, a nawet prekursorzy neoliberalnej myśli Friedrich Hayek i Milton Friedman. Artykuł 25 Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka (z 1948 r.) zapowiada realizację tej idei.

W formie bezwarunkowego dochodu podstawowego.

I to nie zaledwie przez kilka lat i nie jedynie w krajach rozwijających się oraz nie tylko dla biednych. Mają to być pieniądze za nic dla wszystkich. I nie jako przywilej, ale jako prawo. Możecie to nazwać „kapitalistyczną drogą do komunizmu". Miesięczne kieszonkowe wystarczające do normalnego funkcjonowania w społeczeństwie, otrzymywane bez kiwnięcia palcem. Jedynym warunkiem jest „dawanie oznak życia". Bez pomocy

## Bezwarunkowy dochód podstawowy to idea, której czas właśnie nadszedł.

inspektorów sprawdzających, czy mądrze gospodarujemy otrzymanymi pieniędzmi i badających, czy na nie zasłużyliśmy. Koniec ze specjalnymi programami wsparcia i pomocowymi; co najwyżej może istnieć jakaś dodatkowa zapomoga dla seniorów, bezrobotnych oraz niezdolnych do pracy.

Bezwarunkowy dochód podstawowy to idea, której czas właśnie nadszedł.

### PROJEKT MINCOME, KANADA

W Winnipeg w Kanadzie, w znajdującym się na poddaszu magazynie,



FOT. .GIVEDIRECTLY

eprasa.pl 3233531b64

leżą prawie 2 tys. zakurzonych pudeł. Wypełnione są danymi – w postaci wykresów, tabel raportów oraz wywiadów – dotyczącymi jednego z najbardziej fascynujących eksperymentów przeprowadzonych po II wojnie światowej.

Nosił on nazwę Mincome.

Evelyn Forget, profesor Uniwersytetu Manitoba, dowiedziała się o tych materiałach w 2004 r. Przez pięć długich lat próbowała je odnaleźć, aż wreszcie odkryła je w Archiwach Narodowych. (…) Gdy Forget weszła po raz pierwszy na poddasze, nie mogła uwierzyć własnym oczom. Znalazła prawdziwy skarbiec informacji dotyczących wprowadzenia w życie marzenia Tomasza More'a sprzed pięciu stuleci.

Wśród prawie tysiąca ukrytych w pudłach wywiadów był też ten przeprowadzony z Hugh i Doreen Hendersonami. Gdy przed 35 laty rozpoczynano realizację eksperymentu, on był dozorcą w szkole średniej, ona zaś gospodynią domową opiekującą się dwójką ich dzieci. Hendersonom nie było łatwo. Aby zapewnić wystarczającą ilość jedzenia dla całej rodziny, Doreen uprawiała ogród i zajmowała się hodowlą kurczaków. Każdy dolar był na wagę złota.

Aż pewnego dnia w drzwiach ich domu stanęło dwóch elegancko ubranych mężczyzn. „Wypełniliśmy formularze, a oni chcieli tylko zobaczyć nasze rachunki", wspomina Doreen. Potem kłopoty finansowe Hendersonów po prostu się skończyły. Hugh i Doreen zaczęli brać udział w projekcie Mincome – pierwszym przeprowadzonym na szeroką skalę eksperymencie społecznym w Kanadzie i największym jak do tej pory na świecie eksperymencie dotyczącym bezwarunkowego dochodu podstawowego.

W marcu 1973 r. gubernator prowincji przeznaczył na ten cel kwotę 83 mln dol. amerykańskich. Na miejsce przeprowadzenia eksperymentu wybrał Dauphin – 13-tysięczne miasteczko w północno-zachodnim Winnipeg. Każdy z jego mieszkańców miał mieć zagwarantowany bezwarunkowy dochód podstawowy, nikt więc nie powinien żyć poniżej progu ubóstwa. W praktyce oznaczało to, że raz w miesiącu 30% mieszkańców miasteczka – w sumie tysiąc rodzin – dostawało pocztą czek. Dla czteroosobowej rodziny było to ok. 19 tys. dol. rocznie otrzymywanych bez zadawania żadnych pytań.

Gdy eksperyment się rozpoczynał, w miasteczku pojawiła się cała armia pracowników naukowych. Ekonomiści mieli sprawdzać, czy mieszkańcy mniej pracują, socjologowie byli po to, aby badać wpływ eksperymentu na życie rodzinne, a antropologowie przebywali w społeczności, aby obserwować pierwsze reakcje ludzi.

**Zaletą pieniędzy jest fakt, że ludzie mogą kupować rzeczy, których potrzebują, a nie proponowane przez ekspertów.**

Przez cztery lata wszystko świetnie funkcjonowało, dalsze plany eksperymentatorów zostały jednak pokrzyżowane przez wyniki wyborów. Do władzy doszedł konserwatywny rząd. Nowy kanadyjski gabinet nie widział potrzeby kontynuowania tego kosztownego projektu, finansowanego w trzech czwartych przez rząd federalny. Gdy stało się jasne, że nowa administracja nie ma najmniejszego zamiaru zapłacić za analizy rezultatów eksperymentu, naukowcy postanowili zapakować wszystkie zebrane materiały do ok. 2 tys. pudeł.

Rozczarowanie mieszkańców Dauphin było ogromne. Gdy Mincome ruszał jako program pilotażowy w 1974 r., wydawało się, że szybko upowszechni się w całym kraju. Teraz wszystko wskazywało na to, że zostanie skazany na zapomnienie. (…)

Kiedy prof. Forget po raz pierwszy usłyszała o projekcie Mincome, nikt nie miał pojęcia, co faktycznie wykazał ten eksperyment. Tak się jednak złożyło, że mniej więcej w tym samym czasie, w 1970 r., rozpoczęto w Kanadzie realizację programu Medicare. W jego archiwach Forget odnalazła mnóstwo danych pozwalających na porównanie sytuacji w Dauphin z pobliskimi miasteczkami oraz z innymi grupami kontrolnymi. Przez trzy lata poddawała je wnikliwie wszelkim rodzajom analiz statystycznych. I zawsze uzyskiwała te same wyniki.

Projekt Mincome okazał się spektakularnym sukcesem. (…)

**Fragmenty książki Rutgera Bregmana *Utopia dla realistów*, przekład Sławomir Paruszewski, Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2018**

eprasa.pl 3233531b64

# SATELITA DLA KAŻDEGO

Bronisław Tumiłowicz

Nie mamy własnego kosmodromu, nie budujemy wielkich rakiet, ale dysponujemy specjalistami od kosmicznych technik komunikacyjnych i przede wszystkim mamy ogromne potrzeby sprawnej łączności. Na nasz ciągle jeszcze niewielki sektor kosmiczny ożywczo działa idea opłatania świata internetową siecią za pośrednictwem nowych konstelacji satelitów, aby każdy z nich w każdym momencie mógł się łączyć z internetem. Do tego celu potrzeba tysięcy nowych satelitów, z pewnością mniejszych i tańszych niż produkowane obecnie, ale bardzo efektywnie wykonujących zadania zaprogramowane na Ziemi. Amerykańska frima OneWeb, wcześniej znana pod nazwą WorldVu Satellites, zamierza uruchomić zakład docelowo produkujący tygodniowo nawet 15 satelitów w cenie 1 mln dol. sztuka.

Polskie konsorcjum złożone z trzech firm: GMV Innovating Solutions, Centrum Badań Kosmicznych PAN oraz Hertz Systems, buduje prototyp urządzenia służącego do precyzyjnego wyznaczania pozycji małych satelitów na orbicie okołoziemskiej. Pierwsze skrzypce w tym konsorcjum gra polski oddział międzynarodowej firmy GMV Innovating Solutions. Jego specjaliści pracują nad stworzeniem oprogramowania, które będzie wykorzystywane w małych satelitach do ich precyzyjnej lokalizacji. Projekt jest realizowany w ramach programu NAVISP Europejskiej Agencji Kosmicznej. Z kolei Centrum Badań Kosmicznych zaprojektuje elektronikę odbiornika, a Hertz Systems przeprowadzi jego testy na Ziemi. Trzeba się śpieszyć, bo test kosmiczny może być wykonywany w rakiecie ARION-1 hiszpańskiego start-upu, który zapowiada jej wysłanie w kosmos już w 2020 r.

– Czy nie będzie opóźnienia ze startem rakiety? – pytam Pawła Wojtkiewicza, dyrektora ds. sektora kosmicznego GMV Innovating Solutions. – Hiszpański start-up PLD Space, który na razie zatrudnia 40 osób, choć udało mu się już zainteresować inwestorów z milionami euro, na razie sprzedaje tylko kubki i koszulki ze swoim logo.

Polskie konsorcjum buduje system do precyzyjnego lokalizowania małych satelitów

– ARION-1 to poważny projekt i sądzę, że termin zostanie dotrzymany. Zbudowanie małej rakiety, która osiągnie pułap powyżej 1 tys. km, nie jest dziś aż takim problemem. Nasz Instytut Lotnictwa dysponuje jedną niewielką rakietą, również gdyńska firma Space Forest przymierza się do konstrukcji takiego urządzenia, które będzie wracać na Ziemię. Ponoć nasze usługi w transportowaniu ładunków na orbitę mają być najtańsze na świecie.

– A wy?

– W konstrukcji odbiornika wykorzystujemy wieloletnie doświadczenie firmy i korzystamy ze specjalistycznego oprogramowania. Stan prac jest zaawansowany i nie będzie opóźnienia przy prototypie urządzenia, a następnie jego wykonaniu i testach na Ziemi, które przeprowadzi Hertz Systems, niewielka polska firma zajmująca się hardware'em. Chcemy, by w przyszłości właśnie ona zbudowała prototyp urządzenia. Po pomyślnych testach w kosmosie będzie można już zająć się wdrożeniem prototypu do produkcji i sformułować ofertę sprzedaży.

– Kiedy to nastąpi?

– Będziemy się starali, aby stało się to jak najszybciej, ale może zająć to nawet dwa lata. Trzeba się jednak śpieszyć, bo konkurencja w sektorze kosmicznym na pewno będzie coraz większa.

– Warunkami powodzenia projektu budowy odbiornika dla satelitów i małych rakiet są m.in. jego miniaturyzacja i niskie koszty. Jakiej wielkości będzie wasze urządzenie?

– Nie powinno być większe od czterech ułożonych jeden na drugim telefonów komórkowych. Ważna jednak jest nie tylko miniaturyzacja urządzenia, ale i jego oprogramowanie, które, mówiąc w uproszczeniu, będzie można po prostu zainstalować na komputerze pokładowym prawie każdego nowego satelity. Odbiornik musi być maksymalnie efektywny i energooszczędny. Na małym satelicie trzeba bardzo oszczędzać miejsce i energię.

Nowa era podboju kosmosu zakłada coraz intensywniejsze korzystanie z małych i relatywnie tanich satelitów oraz rakiet, także wykorzystywanych turystycznie. Przewiduje się, że będzie to realizowane coraz taniej, bardziej dostępnymi środkami, wręcz masowymi. Otwiera się więc ogromny rynek zbytu na produkty i usługi kosmiczne. Ci, którzy wcześniej do niego dołączą, w niedalekiej przyszłości mają niemal pewne czołowe pozycje. ■

FOT. GMV.COM



eprasa.pl 3233531b64

# Siódme życie Europejczyka

Edward Mikołajczyk

W styczniu 1988 r. napisałem list do przewodniczącego Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego w sprawie ważnej dla Polski, jak mi się wtedy wydawało. Nie wiedziałem wówczas, że Polski nie ma, bo nic jeszcze nie zapowiadało nadejścia geniusza nauk historycznych mgr. Mateusza Morawieckiego. Przewodniczącym MKOl był Juan Antonio Samaranch, a ja się podpisałem (zgodnie z prawdą) jako Head of Sports Department Polish Television.

Wystąpiłem o przyznanie złotych medali olimpijskich dwóm najwybitniejszym na Ziemi himalaistom: Reinholdowi Messnerowi i Jerzemu Kukuczce. Messner, a zaraz po nim Kukuczka, jako pierwsi obywatele globu wspięli się na wszystkie 14 wierzchołków świata powyżej 8000 m. O ile ranga wyczynu nie wzbudzała zastrzeżeń, o tyle sam wniosek jak najbardziej. Wysokogórska wspinaczka nigdy nie była konkurencją olimpijską (i niech tak na zawsze zostanie), więc cokolwiek bezczelna była prośba, którą napisałem w imieniu redakcji. Z powodów regulaminowych nie zasługiwała na więcej niż miejsce w koszu.

Uratował nas precedens, o którym przypomnieliśmy panu Samaranchowi. Otóż w roku 1924 w Chamonix udekorowano złotym medalem olimpijskim Charlesa G. Bruce'a za osiągnięcia w alpinizmie. Podobne medale wręczono później w Los Angeles w roku 1932 i w Berlinie w 1936.

Przewodniczący nie odpisał, co oczywiście składam na karb mojej zbyt niskiej pozycji zawodowej i finansowej. Przecież nie mogę niczego zwalić na wyniosłość adresata ani jego rozterki, czy Polska jest, czy jej nie ma. Ale, o dziwo, stało się. W depeszy nadanej z Calgary 10 lutego 1988 r. PAP doniosła, że Międzynarodowy Komitet Olimpijski odznaczył srebrnymi medalami Orderu Olimpijskiego Włocha Reinholda Messnera i Polaka Jerzego Kukuczkę. Obu zaliczono do grona najwybitniejszych alpinistów wszech czasów. Podobno decyzję o odznaczeniu zebrani przyjęli oklaskami. Katowicki „Sport" napisał w tytule na pierwszej stronie: „Na wniosek TVP". A to nieprawda. Wniosek był mój, samowolny, przeze mnie podpisany i sformułowany w imieniu mojej redakcji, bez konsultacji z kierownictwem telewizji i jakąkolwiek władzą zewnętrzną.

Jerzy Kukuczka zginął w górach kilkanaście miesięcy później. Zdążył odebrać odznaczenie. Czy odebrał je Messner, nie wiem, bo on zawsze miał zdanie odrębne we wszystkich sprawach, które dotyczyły i nadal dotyczą technik wspinaczkowych, form rywalizacji, a nawet samej istoty alpinizmu; sławny himalaista traktuje wspinaczkę jako przygodę, a więc coś innego i ważniejszego od sportu. Nie mam wątpliwości, co by Messner zrobił, gdyby ten medal, który mu przyznano w Calgary, był złoty, a nie srebrny, i gdyby go dostał tylko on jeden jedyny. Chorzy na wielkość cierpią z powodów, które reszcie ludności świata wydają się często dziwne. Reinhold, proszę, przyjmij moje usprawiedliwienie: ja prosiłem o złoto dla ciebie.

Mam słabość do Reinholda Messnera, człowieka osobnego. Nie wiedziałem za młodu, dlaczego tak się dzieje.

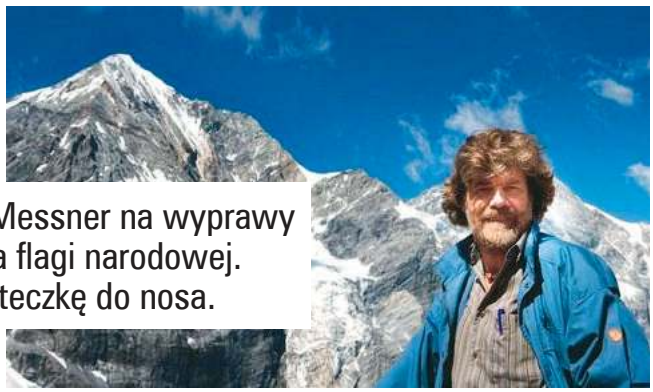

Reinhold Messner na wyprawy nie zabiera flagi narodowej. Woli chusteczkę do nosa.

Bywało przecież, że cały świat alpinistyczny był przeciwko Messnerowi, a uczciwie trzeba przyznać, że miał kilka ważnych powodów. Może więc wtedy była to tylko moja przekora, żeby stać obok, nie dołączać do chóru. Dzisiaj, kiedy Messner zaczyna więcej mówić o życiu niż o wspinaczce (ma za sobą kadencję włoskiego europosła!), widzę, że dobrze zrobiłem, podążając za intuicją.

Messner ma 74 lata i jak mówi Dominikowi Szczepańskiemu („GW", 15.09.2018), ma za sobą „kilka żyć". W pierwszym, jako pięciolatek, wspiął się na pierwszą w życiu górę powyżej 3000 m. W siódmym życiu realizuje film, jak zmieniła się wspinaczka wysokogórska w ciągu ostatnich 250 lat. Twierdzi, że w każdym z tych żyć był i jest innym człowiekiem. Gdyby był Polakiem, musiałby napisać prośbę do IPN, żeby mu założyli siedem różnych teczek, oczywiście do oddzielnego użycia w zależności od kierunku wiatru historii. W Tyrolu Południowym nie ma tego problemu. Reinhold ma włoski paszport, mówi po niemiecku (po włosku i angielsku też), ale nie jest ani Niemcem, ani Austriakiem, ani Włochem, jest Tyrolczykiem i Europejczykiem. I deklaruje się jako wróg „narodowych wypraw" na jakąkolwiek górę. Nie zabiera flagi narodowej. Woli chusteczkę do nosa. ■

FOT. OFFSPORT.PL



eprasa.pl 3233531b64

# Ściema z witaminą C

Nie ma twardych dowodów na to, by witamina C podnosiła odporność, działała przeciwgrypowo czy zwalczała raka

Barbara Jagas

Jedni w nią wierzą, drudzy – nie. Tak jak w moc innych witamin. Na pewno jest najpopularniejszą i jedną z najczęściej reklamowanych. Wśród lekarzy zdania w sprawie właściwości witaminy C, bo o niej mowa, są podzielone, choć większość z nich nam ją zaleca. Jednak dokładnych badań na ten temat nie prowadzono. Faktyczną skuteczność witaminy C postanowił sprawdzić dopiero niedawno prof. Andrzej Stańczak, kierownik Zakładu Farmacji Szpitalnej Uniwersytetu Medycznego w Łodzi. Badania wykazały, że nie ma twardych dowodów na to, by witamina C podnosiła odporność, działała przeciwgrypowo czy zwalczała raka. – To wszystko, co się mówi na jej temat, nie ma podstaw naukowych. Aby potwierdzić działanie jakiejś witaminy, trzeba zrobić badania kliniczne. A nie przeprowadzono takich badań działania witaminy C – mówi prof. Stańczak.

Największa ściema w wypadku witaminy C polega na wmawianiu ludziom różnicy między działaniem witaminy lewoskrętnej (ostatnio podobno najlepsza) a prawoskrętnej. – To jest niezły pic na wodę – mówi jasno prof. Stańczak. – Producenci wymyślili to na użytek zwiększenia popytu na ten preparat. Wielu klientów aptek dało się na to nabrać.

W rzeczywistości chodzi o ten sam kwas askorbinowy. Ale interes kwitnie.

## PANACEUM NOBLISTY

Witaminę C jako panaceum na wszystkie choroby wylansował w latach 80. amerykański fizyk i chemik Linus Pauling, który chorował na raka i nią się leczył. W każdym razie wierzył, że pomaga mu w zwalczaniu nowotworu. A ponieważ żył 93 lata, ludzie w tę historię uwierzyli, zwłaszcza że przydarzyła się ona dwukrotnemu nobliście. – Pauling stał się dla wielu osób autorytetem w stosowaniu witaminy C. Chociaż nie był ani lekarzem, ani farmakologiem – mówi prof. Andrzej Stańczak.

Wmawianie ludziom różnicy między działaniem lewoskrętnej i prawoskrętnej witaminy C to chwyt marketingowy.

Uczony ogłosił całemu światu, że witamina C zwalcza raka oraz przedłuża życie, i w książce, którą napisał, zachęcał do jej przyjmowania. Prof. Tadeusz Parnowski, prezes Polskiego Towarzystwa Psychogeriatrycznego, jest sceptyczny. – To, że Pauling zażywał witaminę C i przeżył ponad 90 lat, nie jest jeszcze dowodem na jej działanie antyrakowe, nie świadczy też o tym, że kwas askorbinowy przedłuża życie – uważa. – W osiągnięciu tak sędziwego wieku pomogły mu po prostu dobre geny, a nie żadne witaminy – twierdzi prof. Parnowski. – Ani witamina C, ani jajka od kurek zielononóżek nie zatrzymują procesu starzenia. Kwas askorbinowy nie pomaga na pamięć, nie zapobiega też chorobom. Największe znaczenie ma stymulacja pracy mózgu i tego należy pilnować, aby dobrze się czuć mimo PESEL-u – dodaje prof. Parnowski.

## WITAMINOWY BIZNES

Skoro witamina C miała mieć działanie antyrakowe, aby przyśpieszyć i wzmocnić jej działanie zaczęto nawet stosować zastrzyki, wierząc, że pomoże to zwalczyć nowotwór. Jak grzyby po deszczu zaczęły powstawać przychodnie lansujące tego typu terapię. Wmawiano ludziom, że tylko witamina C pomaga na raka, reszta – to chemiczne świństwa. Niestety, wiele osób w to uwierzyło.

Jedynie w przypadku chemioterapii zastosowanie witaminy C łagodziło jej uboczne skutki. Chociaż solidnych badań na ten temat również nie ma. – Znam tylko dwa badania, które potwierdziły pozytywne wyniki łagodzenia skutków chemioterapii – mówi prof. Stańczak. – Natomiast nie ma żadnych dowodów na to, że wlewy z witaminą C działają przeciwnowotworowo.

Ostatnio poszła fama, że lewoskrętna witamina C leczy grypę. Polacy zaczęli więc ją przyjmować garściami, w nadziei, że wyzdrowieją. Ale to nieprawda, nawet najlepsza witamina nie zastąpi dobrej szczepionki przeciwgrypowej. Natomiast może pomóc w zwalczeniu infekcji, bo poprawia trochę odporność. – Sam biorę ją na przeziębienie, szczerze mówiąc, z nawyku. Ale jeśli ktoś pożegna się z grypą już po kilku dniach, to nie znaczy, że był to efekt działania witaminy C, tylko walki organizmu – tłumaczy prof. Andrzej Stańczak.

## UWAGA NA PRZEDAWKOWANIE

Nikt nie kwestionuje tego, że witamina C jest nam potrzebna. Dzięki niej nie chorujemy na szkorbut. Organizm sam jej nie wytwarza. Ale



FOT. FOTOLIA

eprasa.pl 3233531b64

## Gdzie szukać naturalnej witaminy C (zawartość w 100 g)

| | | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|
| Suszone owoce dzikiej róży | –1800 mg | Chrzan | – 114 mg | Kiwi | – 59 mg | Limonka | – 29 mg |
| Suszone owoce rokitnika – do 1100 mg (surowe są niejadalne) | | Brukselka | – 94 mg | Kapusta czerwona | – 54 mg | Pomidory | – 23 mg |
| Dereń | – do 200 mg | Papryka zielona | – 91 mg | Cytryna | – 53 mg | Kapusta kiszona | – 16 mg |
| Czarna porzeczka | – 183 mg | Kalafior | – 69 mg | Pomarańcza | – 50 mg | Ziemniaki wczesne | – 16 mg |
| Natka pietruszki | – 178 mg | Szpinak | – 68 mg | Kapusta biała | – 48 mg | Ziemniaki późne | – 11 mg |
| Czerwona papryka | – 144 mg | Truskawki | – 66 mg | Czerwona porzeczka | – 46 mg | Jabłka | – 9 mg |
| | | Pomelo | – 61 mg | Grejpfrut czerwony | – 38 mg | Ogórki | – 8 mg |
| | | Poziomki | – 60 mg | Grejpfrut biały | – 34 mg | Cebula | – 6 mg |

jeśli spożywamy dostateczną ilość warzyw i owoców, nie powinniśmy mieć jej niedoborów. Na jej brak organizm reaguje osłabieniem, krwawieniami z dziąseł, długotrwałym gojeniem się ran, a także spadkiem wagi. Kwas askorbinowy jest bowiem niezbędnym składnikiem procesu powstawania tkanki łącznej, spajającej tkanki organizmu i usprawniającej transport składników między nimi. A dzięki kolagenowi wytwarzanemu pod wpływem kwasu askorbinowego szybciej goją się rany, złamania, siniaki, mniejsze są krwotoki. Witamina C jest również cenna z uwagi na właściwości przeciwutleniające, jak wiele innych antyoksydantów. – Ale nie przeceniajmy jej, nie wymiata wszystkich wolnych rodników. Zresztą są one w rozsądnych ilościach organizmowi bardzo potrzebne – zabijają bakterie i komórki nowotworowe – wyjaśnia prof. Parnowski.

Co się dzieje, kiedy ulegamy modzie na witaminę C i sięgamy po nią przy każdej okazji? – Przecenianie jej zalet prowadzi do tego, że ludzie biorą ją w ilościach, które mogą zaszkodzić. Przestrzegam przed uleganiem modzie na duże dawki witaminy C, zwłaszcza podawane dożylnie. Optymalną dawką jest 200 mg. Przy większych witamina działa jak utleniacz i może być szkodliwa – ostrzega prof. Elżbieta Anuszewska z Narodowego Instytutu Leków.

Z kolei prof. Andrzej Stańczak przypomina, że witamina C przyjmowana w wielkich dawkach może się utlenić do kwasu szczawiowego i prowadzić do powstania kamieni w organizmie. Tak więc ostrożnie z witaminą C. Bierzmy ją z umiarem, wtedy, gdy trzeba, a nie na zapas. ■

eprasa.pl 3233531b64

Przemysław Miller

# JEŻ BYLE CZEGO NIE ZJE

To zwierzę towarzyskie, szybko przywiązuje się do człowieka

Fakty: jest największym sprzymierzeńcem parków w walce z groźnymi owadami, których populacja każdego roku wzrasta. Mity: nigdy nie transportuje jabłek nabitych na swoje kolce!

Pierwsze jeże pojawiły się na Ziemi ok. 30 mln lat temu, w erze oligoceńskiej. Dziś w Europie Środkowej żyją dwa gatunki jeża – zachodnioeuropejski i wschodnioeuropejski. W miejscach, gdzie występują, nie są ani szczególnie rzadkie, ani bardzo pospolite.

Jeż to zwierzę towarzyskie, szybko przywiązuje się do człowieka, pod warunkiem że ten nie robi mu krzywdy. Aktywny o zmierzchu i w nocy, za dnia chowa się w kryjówce. Tylko po ulewnym deszczu i późną jesienią można go zobaczyć za dnia. Węsząc, zawsze sprawdza drogę przed sobą. Ma wyśmienity słuch, węch i szybko się uczy nowych zachowań. Nie lubi wody, ale w potrzebie bardzo dobrze pływa i pokonuje różne przeszkody, wspinając się na nie. Cechuje go bardzo dobrze rozwinięty zmysł smaku. Jest wybredny, bo jeżeli zje lub powącha coś niedobrego, natychmiast opluwa swoje kolce białą pianą. Jest płochliwy i w razie zagrożenia zwija się w kolczastą kulę.

Jeż to największy sprzymierzeniec parków w walce z groźnymi owadami.

Drepcząc w poszukiwaniu pożywienia, jeż wydaje charakterystyczny chrapliwy głos, często pomrukuje, kaszle, a ścieląc gniazdo, głośno szeleści. Zdenerwowany fuka i prycha, potrafi nawet warczeć, a w bardzo niekorzystnej dla niego sytuacji przeraźliwie wrzeszczy.

Podstawowe pożywienie jeża na terenach miejskich stanowią: owady, dżdżownice, ślimaki, żaby, ptasie jajka i młode gryzonie, np. myszy. Zdarza się, że ten parkowy owadożerca zjada pisklęta ptaków gniazdujących na ziemi, ale nie gardzi pokarmem roślinnym, np. żołędziami, buczyną, grzybami i opadłymi z drzew dojrzałymi owocami. W razie dużego głodu atakuje nawet zwierzęta jadowite.

Kryjówki jeża znajdują się najczęściej w stertach liści, chrustu, w starych drzewach, zabudowaniach parkowych, gdzie zwierzę może sobie wymościć legowisko. Kiedy zbliża się zima, buduje izolowane gniazdo. Jak? Starannie mości budulec, nadając kryjówce odpowiedni kształt. Szczelne, zamknięte zimowe gniazdo jeża przypomina kłąb słomy, siana, liści, mchu i porostów, a ukryte jest w najgęstszych i trudno dostępnych zaroślach lub w zagłębieniu ziemi. Rzadziej jeż sam wykopuje dziurę o głębokości 30-40 cm i wypełnia ją suchymi liśćmi, trawą lub mchem. Zimą w gnieździe panuje stała temperatura, nigdy nie spada poniżej 0 st. C, niezależnie od aury na zewnątrz.

Późną jesienią jeże stają się ociężałe i powoli zapadają w pięciomiesięczny sen. W tym czasie odżywiają się tłuszczem nagromadzonym przez wiosnę, lato i jesień. Wraz ze spadkiem temperatury następuje w ich organizmie spowolnienie procesów przemiany materii, pracy serca i układu oddechowego, temperatura ciała może spaść do nawet 1 st. C. W okresie odrętwienia zimowego działa precyzyjna termoregulacja. Jeżeli robi się bardzo zimno, śpiący jeż nie zamarza, bo do systemu nerwowego zostaje przekazany sygnał, który przyśpiesza przemianę materii, a w związku z tym do 5 st. C podnosi się też temperatura ciała.

W kwietniu i w maju po pięciu-sześciu tygodniach ciąży samice rodzą małe. Noworodki są rzadko pokryte białymi, miękkimi kolcami. Oczy zaczynają otwierać dopiero pod koniec trzeciego tygodnia życia. W gnieździe pozostają z matką, która karmi je swoim mlekiem do ośmiu tygodni. ■

FOT. PRZEMYSŁAW MILLER



eprasa.pl 3233531b64

# Wirtuozi dyplomacji

Dla polskiej dyplomacji nie był to najszczęśliwszy tydzień. O zdjęciu prezydenta Dudy podpisującego na stojąco, obok rozpartego Donalda Trumpa, polsko-amerykańską deklarację napisali już wszyscy. Dodajmy zatem do tego tylko dwa elementy. Po pierwsze, to nie było tak, że tę wpadkę zobaczyły i rozdmuchały nieprzychylne Dudzie „lewackie media". To zobaczyli wszyscy. Na przykład dziennik „Washington Post" (czy to też lewackie medium?), który napisał najprościej jak można: Andrzej Duda obrażony przez Donalda Trumpa. Dodając: „Przesłanie jest jasne, Amerykanie nie mają szacunku dla Polaków".

Po drugie, trzeba jasno powiedzieć, że to wina Polaków, że pozwolili na ten ostentacyjny brak szacunku. To wina Andrzeja Dudy, który chyba zapomniał, że jest prezydentem RP, i przybrał pozę ni to turysty, ni to lokaja. Widać, że rola prezydenta go przerasta. Ale winny jest też Protokół Dyplomatyczny. Urzędnicy MSZ powinni wcześniej dopracować wszystkie elementy wizyty. Tak, żeby Andrzej Duda wiedział, jak ma stanąć do pamiątkowego zdjęcia przed wejściem do Białego Domu, a nie kręcić się w kółko. No i żeby nie było tej kompromitującej wpadki z podpisywaniem na stojąco.

I tu aż się prosi zawołać, że trzeba kogoś wyrzucić, najlepiej dyrektora Protokołu Dyplomatycznego, który tego nie dopilnował! Kłopot w tym, że to stanowisko jest akurat nieobsadzone, nie ma dyrektora, nie ma kogo zwolnić.

Poza tym, co się czepiać protokołu, skoro wyżsi rangą popisywali się błyskotliwymi wypowiedziami. Krzysztof Szczerski, minister w Kancelarii Prezydenta RP, mówił *àpropos* feralnej sceny tak: „(Prezydent) tyle razy słyszał ostatnio, że będzie siedział, że postanowił postać tym razem".

A Jacek Czaputowicz przekonywał, że to „wielki zaszczyt" być dopuszczonym do biurka Donalda Trumpa. Ręce opadają…

A jeśli już jesteśmy przy zdjęciach i dyplomatycznych sytuacjach, warto zaznajomić się z wpisem na FB wiceministra Andrzeja Papierza z niedawnego spotkania Trójmorza.

Oto on:

„*À propos* skarpet. Wczoraj na gali biznesu siedziałem obok delegacji Macedonii… o pardon, prawie już Macedonii Północnej… gwarzę ci ja z jegomościem i wzrok mi utkwił na jego skarpetce, bo dostatni mięsień piwny pozwalał mu tylko na wyciągnięcie nóg, otóż co widzę, jedna skarpetka jakby tu powiedzieć, niby była, ale w połowie jakby zjedzona przez psa czy mole, a może kozę. Nawet chciałem dyskretnie cyknąć fotkę, ale PAD przemawiał, a jak skończył, to Macedończyk dał nogę".

Na te słowa nie wytrzymał jeden z facebookowych znajomych Papierza i próbował go prostować, trochę pompatycznie: „Andrzej, skup się do cholery nad tym, co mówią. Los nasz się waży, a Ty o trzewikach…".

Mógł potem przeczytać taką odpowiedź:

„Nie wypadało mi fotografować tylnej części chorwackiego ciała prezydenckiego, więc wybrałem wyjście pośrednie".

Oczywiście trudno poważnie potraktować kogoś, kto przekonuje, że podczas spotkania inicjatywy Trójmorza i przemówienia Andrzeja Dudy jakikolwiek los mógł się ważyć. To może rozśmieszyć. Ale nawet dobry humor nie upoważnia do tego typu zwierzeń, które zaprezentował wiceminister.

A może tylko tyle do niego docierało? No to ogólnie, od Dudy po Papierza – zgroza.

*Attaché*

Krokodyl o imieniu Gustave Junior po wyleczeniu ran od sideł został wypuszczony na wolność w Parku Narodowym Rusizi w Burundi.

FOT. AFP/EAST NEWS



eprasa.pl 3233531b64

# JOLKA

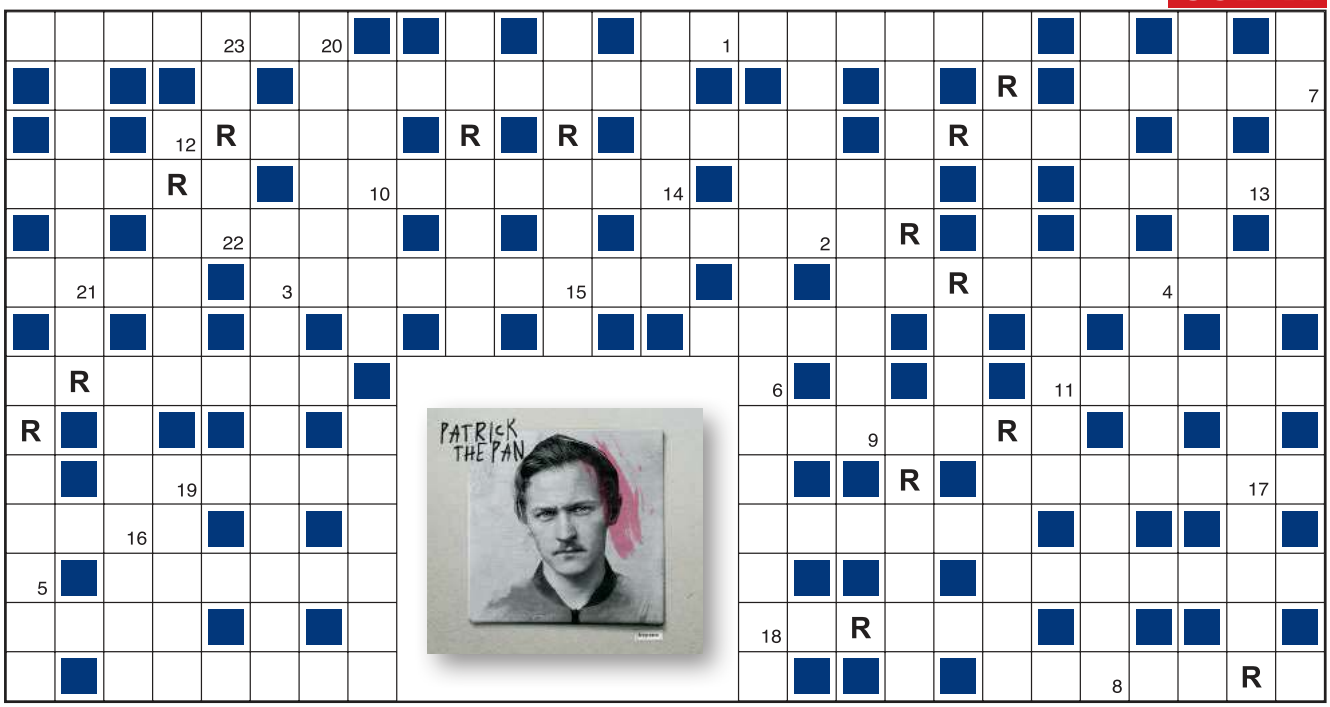


| 1 | 2 | 3 | 4 | 5 | 6 | 7 | 8 | 9 | 10 | 11 | 12 | 13 | 14 | 15 | 16 | 17 | 18 | 19 | 20 | 21 | 22 | 23 |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- amerykańska w Warszawie lub RP w Waszyngtonie
- np. Car-puszka na Kremlu
- z nim na pocztę po przesyłkę
- Stańczyk na dworze królewskim
- ma w nim, kto pijany
- płaty gleby przerośniętej trawą
- w geometrii lub figura stylistyczna
- utonął w niej książę Poniatowski
- imię Škody, czeskiego inżyniera
- podstawowy taktyczny pododdział lotniczy
- płynie przez Chiny, Indie, Pakistan
- urzędnik kontrolujący, dozorujący
- tkanina z kokonów
- były na cukier, mięso itd.
- na niej przewożone auta
- Chopina lub Roissy-Charles-de-Gaulle
- łodygi kartofli
- miasto w Andaluzji i wino
- drugie po Śniardwach pod względem powierzchni
- i czasu, i żywności – niewskazane
- grupa działaczy z największą przyszłością
- …hybrydowy to silnik spalinowy + elektryczny
- plażowicz w stroju adamowym
- Atlantycki lub Arktyczny
- stan z Portland i Salem
- rzucają nim lekkoatleci
- połówka ćwierćnuty
- zgrana przyjaciół
- domowa, dyplomowa, zarobkowa
- strzelanie seriami, szybka jazda
- krzyżakowy albo nadgarstek
- z nim – ironicznie
- uniesienie sztangi bezpośrednio ponad głowę
- ozdobna uprząż do jazdy wierzchem
- rodzaj atłasu
- utwór ośmieszający obyczaje, stosunki społeczne
- niewolnica tego, co trendy
- ma trzy rozsuwane nogi
- modna piosenka
- stały się elitą w „Folwarku zwierzęcym”
- imię malarza Axentowicza
- prawie jak złoto
- napięcie przed wyjściem na scenę
- ciało prócz głowy i kończyn
- 12 sztuk czegoś
- śmiechu co niemiara
- rzęsisty deszcz
- z nimi barszcz czerwony
- lubi się włóczyć po świecie
- kobieta uwodzicielska i demoniczna
- stupolowe z szachownicą 10 x 10
- wyborczy w kampanii
- urlopowy lub o paszport
- utożsamiany z greckim Hefajstosem
- kontur i wstępny projekt
- es-flores
- złożone u rzemieślnika to obstalunek
- organizują strajki

## KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-876”. Do rozlosowania płyty „Trzy.Zero” ufundowane przez wytwórnię Kayax. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 30 września 2018 r.

**Rozwiązanie „JOLKI-873” z 9 września: *Przyjemność podnosi cenę.* Nagrody otrzymują: Wojciech Kłosowski z Warszawy, Olga Obara ze Świebodzina, Monika Stankiewicz ze Zgorzelca.**



eprasa.pl 3233531b64

# PENETRACJE

**Press** **ANDRZEJ SKWORZ,** REDAKTOR NACZELNY

Medialne zainteresowanie rządzi się swoimi prawami. Jednym nie dajemy żyć za życia, innych przesadnie chronimy. Piszemy o najdrobniejszej chorobie znanej aktorki, nie piszemy o chorobie najpotężniejszej osoby w państwie. „Nie rozumiem, jak można nie ustalić, w jakim stanie zdrowia jest Prezes. Irytują mnie te bydgoskie i szaserskie plotki. Jak czarna wołga. Przecież w szpitalach nie pracują funkcjonariusze PiS, nie obstawia ich policja, są lekarze, pielęgniarki, administracja szpitalna. Wiem, że obowiązuje ich tajemnica. Ale wiem, że dziennikarze mają obowiązek chronić źródła informacji. I dotrzymują tego" – denerwował się na byłych kolegów po fachu Jerzy Sawka na Facebooku.

**DUŻY FORMAT** **ANDRZEJ DĄBROWSKI,** WOKALISTA JAZZOWY, WYKONAWCA PRZEBOJU WSZECH CZASÓW „DO ZAKOCHANIA JEDEN KROK"

Najpierw było „Zielono mi". Poszedłem raz do klubu Wandy Warskiej na Stare Miasto w Warszawie, zaśpiewałem kilka standardów po angielsku. Wtedy Andrzej Jaroszewski, redaktor z radiowej Jedynki, z którym znałem się jeszcze z Krakowa, zaproponował mi nagranie „Zielono mi". Dostałem tekst, myślę, Jezu, co to jest? Ja tego w życiu nie zaśpiewam. To takie… damskie. Przyszedłem na Myśliwiecką i nagrałem. Pierwszą moją piosenkę w języku polskim. Po miesiącu, jestem w Szwecji na kontrakcie, dostaję wiadomość, że piosenka zwyciężyła w plebiscycie na piosenkę miesiąca i jest wytypowana na festiwal w Opolu. Przyjechałem więc do Opola prosto ze Szwecji, ucząc się po drodze tekstu na pamięć, bo na Myśliwieckiej nagrywałem, czytając z kartki. I z wielką tremą zaśpiewałem. Po raz pierwszy w życiu w wielkim amfiteatrze, przed ogromną publicznością.

**VIVA!** **JAN PESZEK,** AKTOR

Nasze domy się znały. Ojciec Teresy był pacjentem mojego ojca, który był dentystą. Moja mama wysyłała mnie, jako małe dziecko, do pani Zofii, matki Teresy po sztamowe róże. Przy okazji jednej z takich wizyt, ściskając te róże na schodkach, oświadczyłem pani Zofii – dokładnie mi to zdanie zacytowano, ponieważ zostało zapisane na kartce przez panią Zofię i włożone do szafy, między pościel – „że ze wszystkich dziewcząt w przedszkolu najbardziej odpowiada mi Teresa i ja się z nią ożenię". Miałem wtedy sześć lat i dorosłym trudno było pojąć… Nie powiedziałem, że Tereska mi się podoba albo że ją kocham, tylko: „odpowiada mi". Myślę, że to „odpowiada mi" było zapowiedzią jakiegoś nienormalnego przetrwania tego związku. Razem mamy prawie 150 lat, ale trzymamy się bardzo dzielnie. Są takie trafy w życiu.

Co na to protokół dyplomatyczny? Szef Komisji Europejskiej Jean-Claude Juncker wita brytyjską premier Theresę May podczas nieformalnego szczytu UE w Salzburgu.

FOT. AFP/EAST NEWS

## Aby język giętki…

**WOJCIECH SMARZOWSKI O KOŚCIELE**
Pierze mózgi dzieciom i wychowuje ich w przesądach.

**MAREK BOROWSKI O MATEUSZU MORAWIECKIM**
Co miesiąc jakaś wizja i od rana do wieczora sławiąca go telewizja publiczna.

**JAROSŁAW WAŁĘSA O PAWLE ADAMOWICZU**
Niech ze wszystkiego tłumaczy się przed sądem. Z walizki pełnej pieniędzy przywiezionej przez dziadka żony też.

**WITOLD GINTOWT-DZIEWIAŁTOWSKI O SŁAWOMIRZE SIERAKOWSKIM**
Miał duży wpływ na rozwiązanie przez Olejniczaka koalicji Lewica i Demokraci.

**EWA WACHOWICZ O ZDROWYM JEDZENIU**
Powinniśmy jeść to, co wyrosło lub zostało wyhodowane najdalej 50 km od miejsca, w którym mieszkamy. Tak jest najzdrowiej i najsmaczniej.

**ADAM BIELECKI O JEDZENIU W HIMALAJACH**
Naszą bronią jest zestaw smakołyków. Na dużych wysokościach jemy to, co najbardziej lubimy.

**ŁUKASZ FABIAŃSKI O POŻEGNANIU ZE SWANSEA**
Kiedy dziękowałem trybunom, łzy lały mi się ciurkiem. Ludzie dziękowali mi na stojąco, mimo że spadliśmy z ligi.

**EWA KASPRZYK O MŁODYCH TANCERZACH**
Uwielbiam młodych ludzi i pracę z nimi. Po prostu starość przyciąga młodość i odwrotnie.

**JOANNA KRUPA O MĘŻU**
Myślał, że jestem aktorką, której nie udało się zaistnieć, i zajmuje się wyprowadzaniem psów.

**MICHAŁ URBANIAK O APASZKACH**
Mam ich grubo ponad setkę. Każda moja podróż kończy się kupieniem jakiejś apaszki. Bez niej czułbym się, jakbym chodził nago.

**KLAUDIA HALEJCIO O RÓWIEŚNIKACH**
Zawsze byłam od nich dojrzalsza. To, co ich cieszyło, mnie cieszyło kilka lat wcześniej.

eprasa.pl 3233531b64

## Pizza na skórze

Domino's Pizza musiała błyskawicznie zakończyć kampanię promocyjną w Rosji. Oferowała w niej dożywotnio pizzę tym, którzy wytatuują sobie logo pizzerii. Okazało się, że chętnych było zbyt wielu. Już po pięciu dniach kampanii firma postanowiła ją przerwać, gdyż została zasypana zdjęciami nowych tatuaży. Sieć oferowała 100 sztuk pizzy rocznie przez 100 lat.

## Nocny grajek

Mieszkaniec Katanii na Sycylii przez prawie rok grał w swoim domu na gitarze elektrycznej. Problem w tym, że robił to nocami. Wszystko po to, żeby zmusić dwie sąsiadki do wyprowadzki. Na ich miejsce miała wprowadzić się jego teściowa. Gitarzysta odpowie za hałas, zakłócanie wypoczynku i nękanie sąsiadek.

## Karanie deską

Szkoła w Hephzibah w stanie Georgia poprosiła rodziców o wydanie zgody na stosowanie wobec uczniów kar cielesnych. Dzieci miałyby być bite drewnianą deską o długości ponad 60 cm, szerokości 15 cm i grubości 2 cm. Co trzeci rodzic wyraził na to zgodę.

## Bez telefonów

Liceum sportowe w Piacenzy na północy Włoch jako pierwsza szkoła w kraju wprowadziło system blokujący telefony. Uczniowie są zobowiązani do deponowania telefonów u nauczycieli, którzy będą oddawać je uczniom dopiero po zakończeniu zajęć. Używanie telefonów jest niedozwolone nie tylko na lekcjach, ale także na przerwach.

## Fałszywa pochwała

Na dziewięć miesięcy więzienia skazany został mężczyzna, który pisał fałszywe pochlebne opinie na temat włoskich hoteli i restauracji. Oszust okazał się właścicielem agencji marketingowej PromoSalento w Puglii. Mężczyzna został dodatkowo obciążony kosztami procesu oraz odszkodowani (ok. 800 euro).

## Marycha na żywo

Elon Musk udzielił ostatnio komikowi Joemu Roganowi wywiadu, który był na żywo transmitowany w internecie. Tematem była m.in. sztuczna inteligencja, ale kiedy rozmowa przeszła na legalizację marihuany, Musk zapalił papierosa z dodatkiem marihuany, którego otrzymał od komika. Przyznał, że w przeszłości zdarzyło mu się raz skorzystać z tej używki.

MEMY BEZ ŚCIEMY

Przegląd
„PRZEGLĄD" NA ANTENIE
RDC
Warszawa 101 FM
DAB+



eprasa.pl 3233531b64

Przyszli i obecni stróże porządku podczas parady w Santiago z okazji 208. rocznicy niepodległości Chile.

## Atak mew

Dziennik „The New York Times" opisał Rzym jako miasto zaatakowane przez gigantyczne mewy. Eksperci uważają, że inwazja mew jest związana z zamknięciem przed pięciu laty największego w Europie peryferyjnego wysypiska śmieci. Stamtąd ptaki przeniosły się do miasta, gdzie polują na jedzenie i demolują kosze oraz pojemniki na odpady.

## Dom w kapsule

Firma z Barcelony wprowadziła na rynek nieruchomości nową ofertę – mieszkania kapsułowe. W takich mieszkaniach 15 osób ma mieszkać na 100 m kw. Kapsuła dla jednej osoby ma 120 cm szerokości i 200 cm długości. Firma zakłada, że rozwiązanie to będzie przeznaczone na wynajem, zwłaszcza dla ludzi z problemami ekonomicznymi. Władze Barcelony sprzeciwiają się takiemu rozwiązaniu ze względu na niespełnianie minimalnych warunków bytowych.

FOT. DEMOTYWATORY (2), RA DUCH, AFP/EAST NEWS (2)


**ADRES REDAKCJI**
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
**Telefony** +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
**fax** +48 22 635 84 10 wew. 119
**przeglad@tygodnikprzeglad.pl**

www.tygodnikprzeglad.pl

**Redaktor naczelny:** Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
**Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:** Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
**Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:** Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
**Sekretarz redakcji:** Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
**Zastępca sekretarza redakcji:** Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

**ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:**
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Kacper Leśniewicz, Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

**Stali felietoniści:** Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
**Rysownicy:** Grzegorz Bąkowski, Kain May, Małgorzata Tabaka
**Studio graficzne:** Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak
**Dyrektor artystyczny:** Izabela Mierzejewska
**Fotoedytor:** Magdalena Głuska
**Fotoreporterzy:** Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

**Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:**
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
**Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:**
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
**Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji:**
Sandra Zawadzka
**Dział Kolportażu:**
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
**Wydawnictwa książkowe:**
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

**Prenumerata.** Prenumeratę krajową i zagraniczną od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
**Sprzedaż elektroniczna:** www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.



**Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione.** Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

**Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.**



**Druk:** Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

**WYDAWCA:**
**Fundacja Oratio Recta**
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
**KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL**
**Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821**

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY


eprasa.pl 3233531b64

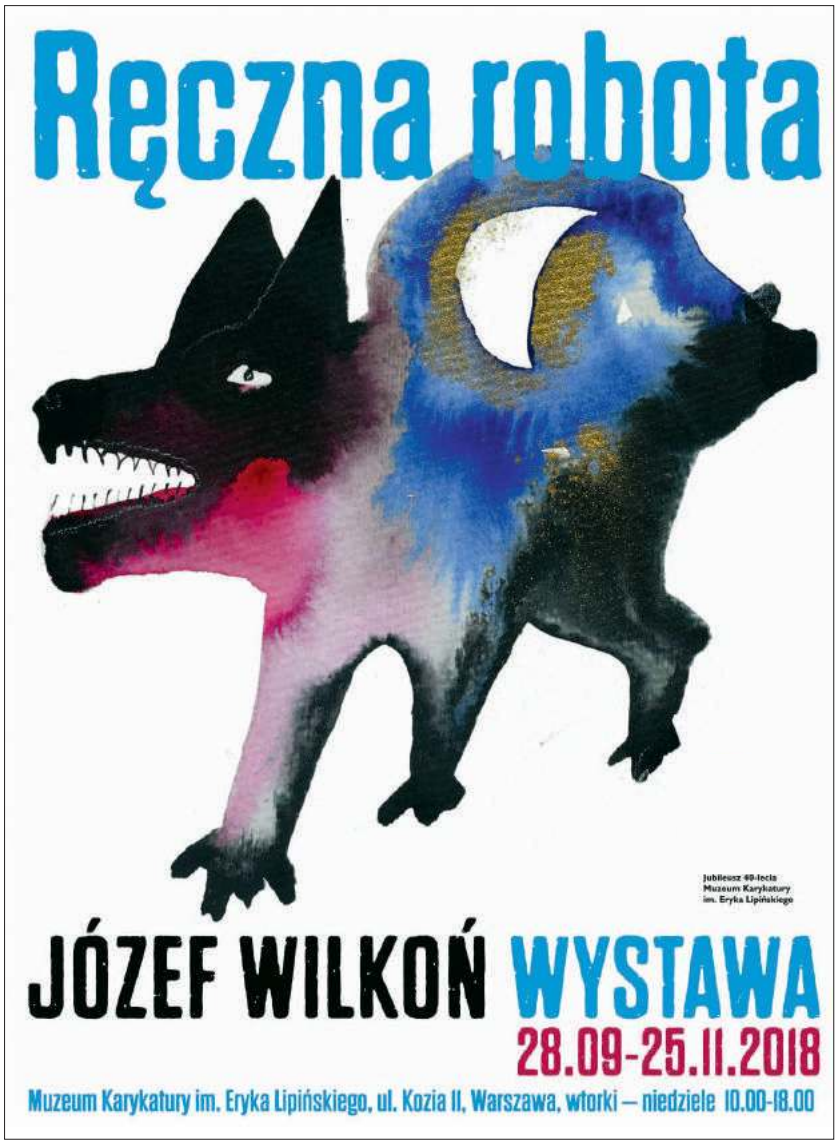

Wystawa w Muzeum Karykatury to próba prezentacji wybranych wątków z bogatego dorobku twórcy, a także ukazania różnych technik i sposobów pracy nad projektami. Są wśród nich ilustracje do dzieł literackich innych autorów i do twórczości literackiej samego Józefa Wilkonia. Wybór oryginalnych rysunków i rzeźb wzbogaca wyjątkowy eksponat – duży gobelin z Wilkoniową kompozycją. Całość uzupełnia przegląd plakatów i książek oraz pokaz ilustracji wykonanych w technice cyfrowej.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 3233531b64

# RÓŻEWICZ OPEN FESTIWAL

## 3 – 9 X 2018

ZAWSZE W RADOMSKU!
ZAWSZE W PAŹDZIERNIKU!

Twórczość Janusza, Tadeusza i Stanisława Różewiczów prezentowana w mieście, gdzie rodziły się ich artystyczne inspiracje.

**03-05.10.2018** Środa, Czwartek, Piątek

**Godz. 16.00-20.00** pracownia plastyczna MDK
**„List do Ciebie" – warsztaty teatralno - scenograficzne prowadzenie dr Marek Chowaniec prof. ASP w Warszawie**

**04.10.2018** Czwartek

**Godz. 17.00** czytelnia MBP, wstęp wolny
**Spotkanie z Marcinem Filipowiczem i Piotrem Śmiałowskim. Wspomnienia o Stanisławie Różewiczu**

**Godz. 18.00** czytelnia MBP, wstęp wolny
**„Głos z tamtego świata" - projekcja filmu w reż. Stanisława Różewicza**

**05.10.2018** Piątek

**Godz. 17.00** galeria MDK, wstęp wolny
**„Zawsze fragment" - otwarcie wystawy Teresy Kępowicz**

**Godz. 17.30** sala kameralna MDK, wstęp za wejściówkami
**„Skąd się bierze zło ?" - czytanie w wyk. Sceny Poezji, reż. Małgorzata Wesołowska**

**godz.18.00** hol Miejskiej Biblioteki Publicznej, wstęp wolny
**„Tadeusz Różewicz - prywatnie" - otwarcie wystawy zdjęć Janusza Stankiewicza**

**godz. 19.00** sala widowiskowa MDK, wstęp za wejściówkami
**„Kartoteka rozrzucona" - spektakl w wyk. Teatru Studio w Warszawie, reż. Radosław Rychcik, wyst.: Dominika Biernat, Tomasz Nosinski, Dominika Ostałowska, Bartosz Porczyk, Natalia Rybicka, Mateusz Smoliński**

**06.10.2018** Sobota

**godz. 16.00** hol górny MDK, wstęp wolny
**„Różewicz – Radomsko – Retrospekcja" – rozstrzygnięcie konkursu fotograficznego**

**godz. 16.30** foyer MDK, wstęp wolny
**„List do Ciebie" - finał warsztatów teatralno – scenograficznych przygotowanych pod opieką prof. Marka Chowańca.**

**godz. 17.00** sala taneczna MDK, wstęp wolny
**rozstrzygnięcie X Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Janusza Różewicza**

**godz. 19.00** sala kameralna MDK, wstęp za wejściówkami
**„Głodomór" - monodram w wyk. Kamila Suszczyka, reż. Michał Rzepka**

**07.10.2018** Niedziela

**godz. 15.00** zbiórka - MDK w Radomsku
**Śladami braci Różewiczów - spacer po Radomsku**

**godz.17.30** sala kameralna, wstęp za wejściówkami
**„Dzieciństwo – czas" - teatralny pokaz warsztatowy przygotowany przez Olgę Sawicką**

**godz. 19.00** sala widowiskowa, wstęp za wejściówkami
**„Świadkowie" - spektakl w wyk. Teatru „Barakah" w Krakowie, reż. Piotr Jędrzejas, wyst.: Aneta Wirzinkiewicz, Marcin Kalisz**

**08.10.2018** Poniedziałek

**godz. 9.00, 11.00** I LO im. F. Fabianiego, II LO im. K.K. Baczyńskiego
**„Różewicz, czyli świat" - warsztaty litearturoznawcze z dr Joanną Lisiewicz**

**godz.17.30** sala kameralna MDK, wstęp wolny
**„W kręgu dramatu" - forum z udziałem Wojciecha Pszoniaka, Bronki Nowickiej, Joanny Lisiewicz**

**godz. 19.00** sala widowiskowa MDK, wstęp za wejściówkami
**„Koncert muzyki filmowej" w wyk. Galicyjskiej Orkiestry Straussowskiej „Obligato"**

**09.10.** Wtorek

**godz. 19.00** sala widowiskowa, bilety: 20 zł.
**spektakl „Na czworakach" w wyk. Teatru Polonia w Warszawie, reż. Jerzy Stuhr, wyst.: Jerzy Stuhr, Anna Karczmarczyk, Dorota Stalińska, Michał Breitenwald, Andrzej Glazera, Wiesław Komasa, Wojciech Chorąży, Macieja Kosmala**

**Inne wydarzenia:**

**Wystawa ze zbiorów MDK (zdjęcia, rękopisy, wielkoformatowe prezentacje) - eksponaty przekazało Muzeum Literatury w Warszawie** hol dolny MDK

**Wystawa pokonkursowa „Różewicz – Radomsko – Retrospekcje"** hol górny MDK

www.mdkradomsko.pl
www.rozewiczopen.pl

Organizator: Miejski Dom Kultury w Radomsku / Partner: Miasto Radomsko
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków: Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Organizatorzy: Miejski Dom Kultury w Radomsku, Radomsko

Sponsorzy: Miejska Specjalna Strefa Ekonomiczna, PGE Górnictwo i Energetyka Konwencjonalna S.A.

Patronat medialny: Kultura Dostępna, Kultura, Dwójka, Przegląd, Typ3, Nil, Strefa fm, ePfotrkow.pl, Teatr, odra, e-teatr.pl, teatralny, teraz teatr, Gazeta Radomszczańska, Co-Nowego, naszemiasto, Radomsko

eprasa.pl 3233531b64

teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca

fot. Natalia Kabanow

# Gniew

**Adamczak, Artman, Dąbrowski, Koncewicz, Kwiatkowski, Ludwiniak, Łasowski, Olszowy, Prowaliński, Sadowska, Stoczyński, Wdowik, Ziółek**

**premiera 21.09.2018**
**kolejne pokazy 25.09, 29 i 30.11**
**oraz 01, 02.12.2018**

Twórcy spektaklu zadają pytanie: kto jest „strażnikiem" wyrażania gniewu? W jaki sposób się go tłamsi? Połączenie dorastających chłopców (w wieku 12–15 lat) i dorosłych mężczyzn (aktorów) daje możliwość pracy nad kategorią gniewu jako dynamiczną emocją. Fantazja o byciu mężczyzną, o byciu chłopcem, sentyment o chłopcu uwięzionym w mężczyźnie i mężczyźnie w chłopcu. Co właściwie łączy mężczyzn, których dzielą pokolenia?

Festiwal Miasto Szczęśliwe

miasto szczęśliwe

Zadanie zostało zrealizowane dzięki wsparciu finansowemu miasta stołecznego Warszawy w ramach Zintegrowanego Programu Rewitalizacji m.st. Warszawy do 2022 roku.

Patroni medialni

wyborcza

wyborcza.pl WARSZAWA

cojestgrane24

AKTIVIST